

M.B.
L.V.
w total

1987

- Młodzi naukowcy krytykują uniwersytet — str. 3
- Jak żyje się w Belchatowie? — str. 4
- O człowieku, który nie chciał być bity — str. 5
- Wspomnienia popularnego aktora — str. 10
- Czy Stalin był dobrym dowódcą? — str. 13



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 15 (1515)

ROK XXX

11 KWIETNIA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

Goło, boso, a nawet bez ostróg

— czytaj str. 6

NA PÓŁNOC OD CENTRUM: Codzienne kłopoty o siedla. Gdy się już ma mieszkanie, rodzą się nowe potrzeby. Jak dojechać? Skąd zadzwonić? Gdzie kupić? Ale są i pozytywne.

Mała sypialnia z dużymi problemami

JACEK GŁĘBSKI



Foto: Grzegorz Gulasinski

Radogoszcz-Zachód, osiedle, w którym wybudowano już wszystkie bloki, liczy 18 tys. mieszkańców, natomiast Radogoszcz-Wschód, na którym ciągle jeszcze wznoszone są nowe budynki, liczy około 12 tys. mieszkańców. Gdy inwestycje „mieszkanłowski” zapieczętowane zostaną na ostatni guzik, Radogoszcz zamieszkać będzie ponad 40 tys. osób. Ludzie — co prawda — najpierw marzą tylko o kluczach do mieszkania, ale gdy już je zdobędą, pomstują na brak sklepów, placówek handlowo-usługowych, przedszkoli, szkół, domów kultury i na fatalną komunikację.

Jeśli rzeczywistość nie zaszkodzi, są szanse, by Radogoszcz-Wschód zburzył mit o szarości i monotonii nowo budowanych osiedli. Do tej pory wykonano około 83 proc. planu zabudowy, ale widać już, że osiedle jest nietypowe w dobrym tego słowa znaczeniu. Otóż zamiast stojących równolegle budynków, na Radogoszczu-Wschodzie są place okołone blokami na kształt śródmiejskich podwórek. Ograniczona budynkami przestrzeń pełna będzie zieleni, akwerek, laweczek, alejek. Także podwórka otoczone będą estetycznym, symbolicznym ogrodzeniem, będą też bramy lub furtki. Ulice wysadzone drzewami, poprowadzą do centralnego Placu Słonecznego. Tak będzie o ile plany architektoniczne i cieszące oko makiety pokryją się z rzeczywistością do końca, bowiem finansujące inwestycje banki często mają różne wątpliwości. Pytają: — czy to jest konieczne? A może zrezygnować, a może odłożyć?

Banki, najpierw martwią się o pieniądze na uzbrojenie terenu, a dopiero na końcu o sieć handlowo-usługową, małą architekturę i inne „głupstwa”. Banki niechętnie dają kredyty na obiekty wolno stojące, jeśli nie ma pewności, że użytkownik spłaci kredyt jednorazowo. A ponieważ główny użytkownik takich obiektów „Społem”, w ramach reformy musi liczyć na własną i — niestety — bardzo skromną kieszę, przeto obiektów wolno stojących, pawilonów, sklepów jest na Radogoszczu niewiele. I dlatego plany sobie, a życie sobie.

I dlatego mimo zakończenia budowy mieszkań na Radogoszczu-Wschodzie i mimo upływających terminów oddania do użytku sklepów, szkół, placówek usługowych na Wschodzie, budownictwo towarzyszące ciągle jest w realizacji albo tylko w planach. Lista potrzeb jest długa i na dobrą sprawę można powtórzyć te same po-

trzeby i problemy, które sygnalizują mieszkańcy Retkini lub Widzewa Wschodu.

Na pierwszy plan wysuwa się

BRAK SZKÓŁ

Najgorzej sytuacja przedstawia się we wschodniej części Radogoszcza. Co gorsza, problem ten należy do „spraw nie do rozwiązania” (?). Otóż wybudowano jedną szkołę, co zagrażło nieco sytuacji, ale za dwa lata dojdzie do katastrofy. Szkoła nr 184 miała być, co prawda, oddana do użytku dopiero pod koniec 1987 roku, ale dzięki zaangażowaniu „Chemo Budowa”, już w 1986 roku uruchomiono dwa pawilony lekcyjne. Wprawdzie sale lekcyjne oddano do użytku wcześniej, ale za to budowa sali gimnastycznej, basenu i zaplecza szkolnego na pewno nie będzie zakończona zgodnie z planem w 1987 roku.

Druga szkoła podstawowa jest jednak koniecznością wobec przeładowania pierwszej i wobec ciągle wzrastającej liczby mieszkańców. I chociaż są plany, a może nawet nie byłoby kłopotów z wykonawcami i materiałami, szkoły budować nie można! Teren przeznaczony pod budowę szkoły zajmują bowiem Zakłady Sprzętu Przemysłowego. I zajmować będą dopóty, dopóki nie będzie dla nich nowej siedziby. A podobno siedziba znajduje się dopiero w 1990 roku! Uwzględniając cykl budowlany, nowa szkoła, nie tylko potrzebna, ale wręcz niezbędna, może być oddana do użytku dopiero około połowy lat dziewięćdziesiątych. Jest to właśnie sytuacja nie do rozwiązania. Mam jednak nadzieję, że tylko pozornie i że jakieś rozwiązanie znaleźć się musi, bo w przeciwnym razie dzieci z Radogoszcza będą musiały uczyć się na... kompletach!

Nie lepiej przedstawia się sytuacja z przedszkolami. Można znów wytykać wykonawcom niedotrzymanie terminów, narzekać na trudności obiektywne, ale wystarczy powiedzieć, że brakuje teraz około 400 miejsc. Dzieci będą musiały zatem tłoczyć się w „przedszkolach zastępczych” mieszczących się głównie w partach bloków. Ale cóż, skoro na przykład LKB-Zachód miał oddać przedszkole przy ul. Wiklinowej w 1985 r., a zobowiązał się wreszcie, że odda w 1987 roku. A „Chemo Budowa” nie chce być gorsza i buduje przedszkole przy SP nr 184 z pośpiechem.

7

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białejewski,
Bohdan Gadowski, Jacek
Głębski, Witold
Kasperkiewicz,
Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzemiński,
Marek Mamos, Zenon
J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Stryjski, Maciej Świerkocki,
Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódz-
kich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
Oddziałów RSW „Prasa — Książka
— Ruch” opłacają prenumera-
tę wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczo-oddawczych właściwych dla
miejsc zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 28
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045-139-11 Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
począzki jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę
— do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 1005. H-2

Przegląd prasy

Niepokój budzi stan teorii
marksistowskiej. Nie ma wy-
bitnych myślicieli i koncepcji.
Mówią o tym zebrani w re-
dakcji miesięcznika „NOWE
DROGI” (nr 2) filozofowie, e-
konomicy, socjologowie. Pun-
ktem wyjścia dyskusji był ar-
tykuł Stanisława Rainki. Już
na wstępie autor stwierdza, że
od dłuższego czasu marksizm
pozostaje w stanie wyraźnego
zastoju. Po śmierci György Lu-
kácsa i zamknięciu Louisa
Althussera brakuje wybitnych
indywidualności. Marksizm —
czytamy — „nie zdobywa no-
wych zwolenników i traci
wpływ w świadomości społe-
cznej. Świadectwem tego jest
m.in. że samopoczucie mar-
kistów, którzy coraz częściej
zamiast podejmować takie lub
inne konkretne problemy dys-
kutują o samych sobie i kry-
zysie marksizmu”.

Zdaniem doc. S. Rainki nie
ma jednak powodu do pesy-
mizmu i kłopotu. Marksizm
bowiem jest taki, jaki być mo-
że. Stan teorii i ideologii za-
leży od czasu historycznego.
Obecnie natomiast pojawiły się
nowe wyzwania i dzięki temu
otwiera się nowy rozdział w
dziejach marksizmu. Będzie to
prawdopodobnie ciekawszy e-
tap niż aktualnie przeżywamy.
Wszyscy dyskutanci uznali
artykuł wprowadzający za in-
teresujący i godny uwagi. Nie-
którzy sformułowali pewne za-
rzuty, lecz nikt nie kwestio-
nował tezy zasadniczej, że

MARKSIZM PRZEŻYWA KRYZYS

Zgodzono się też, że zastój te-
oretyczny nie oznacza bynaj-
mniej totalnego kryzysu. Mar-
kizm przeżywa trudności, lecz
istnieje niemal we wszystkich
państwach świata.

W przeszłości na stan myśli
marksistowskiej często miały
wpływ względy taktyczno-polity-
czne. Niekiedy było godzi-
mą rolę naukowca i działacza.
„Nie zawsze było tak — mó-
wi prof. Jerzy Wiatr — że te-
oretykowi ktoś z zewnątrz ka-
zał czy zakazał. Często było
tak, że kierując się powagą ra-
cji taktycznych teoretycy mar-
kistowskiej sami ograniczali
szerokość swą wypowiedzi.
Różnie to było w różnych o-
kresach. Czasem było bardzo
dramatycznie; w szczytowym
momencie kultu jednostki by-
ły to sprawy ocierające się o
największą tragedię. Przykła-
dem mógłby być epilog dysku-
sji między dwoma nurtami fi-
lozofii radzieckiej czy kon-
tekst polityczny dyskusji lenin-
gradzkiej w sprawie azjaty-
ckiego sposobu produkcji. Cza-
sem nie było dramatów, były
elementy farsy — zwłaszcza u
nas na przestrzeni ostatnich
kilkunastu lat”.

Włodzimierz Lebedziński
(docent z Uniwersytetu Gdań-
skiego) obserwuje w dysku-
sjach niektórych marksistów
unikanie problemów drażli-
wych. W szczególności nie chcą
oni narazić się na prominentom.
Przez to o prawidłowości po-
głądów decyduje miejsce w
hierarchii politycznej. „Apolo-
giczna machina niepostrzeżenie
nabiera coraz większego pędu.
Tymczasem politykę uprawia-
ją na swój sposób różni ludzie
na różnych szczeblach, kieru-
jąc się rozmaitością celów i
motywów, w tym nieraz oso-
bistych. Kto w pełni chciałby
je uwzględnić, musiałby mil-
czeć”.

Pod koniec swego wystąpie-
nia doc. W. Lebedziński po-
wiedział, że prawdziwych mar-
kistów uważa się dziś zwykle
za dogmatyków i sekciarzy, a
nawet przeciwników Polski
Ludowej. Modą stało się zamy-
kanie im ust. „Odnoszę wrażenie
— mówi marksista z Gdań-
ska — że od pewnego czasu w
kraju wytwarza się i pogłębia
zamykająca sytuacja ideowa.
Systematycznie kurczą się
wpływy marksizmu. Mówię o
faktycznym, a nie deklaratory-
nym stanie rzeczy. Zaczynają
dominować nurty pragmatyczne
i technokratyczne. Otwie-
rają one wrota ideologiom
marksistowskim i antymarksis-
towskim, obejmującym coraz
szersze polacie świadomości
społecznej, w tym części kla-
sy robotniczej”.

Według prof. Bronisława
Minca, znanego teoretyka e-

kononii, nauka marksistow-
ska nie zdobyła się na wyja-
śnienie przyczyn zjawisk u-
jemnych, które w latach sie-
demdziesiątych i osiemdziesią-
tych wystąpiły w krajach so-
cjalistycznych. Marksisci prze-
ważnie bezkrytycznie aprobu-
ją każdorazową linię partyjną
Ograniczają się do komentowa-
nia i propagowania.

Na uwagę zasługuje nastę-
pujący fragment wystąpienia
prof. B. Minca: „W ostatnim
okresie w coraz większym sto-
pniu okazuje się, że reformy
gospodarcze przeprowadzone
w Jugosławii i na Węgrzech
nie stanowią rozwiązania tra-
piących gospodarkę socjalistycz-
ną problemów i niedomagań.
Są to doświadczenia znacznie
dłuższe od naszych, bo reforma
jugosłowiańska została za-
początkowana 36 lat temu, a
węgierska 19 lat temu. A tym-
czasem reforma polska wyka-
zuje dużą analogię z reformą
węgierską i istotne podobień-
stwo z reformą jugosłowiańską.
Powstaje więc chyba uzasad-
nione pytanie — czy nie wy-
brałmy drogi, która znowu nie
prowadzi do celu. Pytanie to
wymaga zasadniczej odpowie-
dzi, a to tym bardziej, jeżeli
uwzględnimy doświadczenia
płynące z pięciu lat obowiązy-
wania polskiej reformy”.

DOKĄD WIĘC ZMIERZAMY?

Czy obraliśmy właściwy
kierunek rozwoju? Przeciwni
obywateli i członkowie partii nie
bardzo wie, komu spośród
ekspertów wierzyć. O panują-
cej dziś dezorientacji ideowej
świadczą m.in. polemiczny głos
prof. Józefa Lipca: „Jeśli je-
den z towarzyszy w tej dysku-
sji — a ona jest tylko częścią
większej całości — dopomina
się o reaktywowanie dyktatury
proletariatu, to trzeba by
wreszcie poprosić o niedwuzna-
czą konkretyzację: jakiego to
proletariatu, jeśli łaska, oraz
dyktatury wobec jakiegoś to
antagonistycznej klasy? Po-
nieważ nie przypuszczam, iż
byłoby to taką próbą „dykta-
tury proletariatu”, jaka poja-
wiła się w gorących latach
1980/81, pozostała hipoteza, iż
chodzi o ujęcie skrajnie prze-
szościowe i czysto książko-
we, nie ze współczesną rzeczy-
wistością nie mające wspólnego.
A tak na marginesie: czy
nie dość autentycznych i real-
nych kłopotów, aby mnożyć
wymagania?”

O istniejących trudnościach
i kierunkach dokonujących się
w Polsce zmian sporo mówi
nowości, którą zaskoczyła swych
czytelników redakcja „POLI-
TYKI” (nr 14). Po raz pierwszy
w ponad 30-letniej historii
wydano specjalną zakładkę o-
głoszeniową. Jest to sygnum
temporis. My zresztą w „Odg-
łosach” już kilka tygodni
wcześniej zdecydowaliśmy się
— po długich dyskusjach — na
podobny krok. Zamieszczamy
płatne reklamy na chętnie i
uważnie czytanej kolumnie li-
stów, czyli w miejscu, gdzie
każdy chyba znajduje coś cie-
kawego.

W ten sposób reforma eko-
nomiczna ujawnia się w sfer-
ze kultury. Ale przede wszy-
stkim potrzebna jest ona w
gospodarkę, gdzie jedni już od-
czuwają jej skutki, a inni
wciąż czekają. Na temat rze-
czywistej efektywności refor-
my i zgodności z zasadami so-
cjalizmu eksperci mają, nie-
stety, różne zdania. Potrzebna
jest zatem jakaś konfrontacja
intelektualna, która wykaza-
łaby przekonywająco, kto na-
prawdę ma rację.

Mieczysław F. Rakowski pi-
sze: „Mamy mi się wyzoru-
wać takiej sytuacji, w której
autorzy polityki gospodarczej
będą odpowiadali na łamach
prasy bądź też w ośrodku te-
lewizyjnym profesorom Kalcie-
ce, Pajestce, Tymowskiemu i
innym wytrawnym znawcom
przedmiotu, uznając ich rację
bądź też niszcząc je doszczę-
tnie. Owo marzenie rodzi się z
przekonania, że polityka gospo-
darcza w socjalizmie nie jest
nie może być traktowana w o-
derwaniu od ideologii, że zaś
nie może być ograniczona do
formułowania krótko- i dłu-
gotrwających celów obywatelskich
ex cathedra. Ideologia to także
żywa wymiana myśli, mniej
lub bardziej twórcze spory, u-
miejscowienie obrony swoich ra-
cji itp. Nie jest to zajęcie za-
strzeżone dla zawodowych ide-
ologów”.

Jeśli różni specjaliści mogą
otwarcie krytykować (w środ-
kach masowego przekazu) i-
stniejące rozwiązania, to zna-
czy, że dokonali się duży po-

stęp. Wiemy przecież, że nie
tylko ludzie sprawujący wła-
dzą

NIE LUBIĄ KRYTYKI

Na uwagi krytyczne gwałtownie
reagują prawie wszyscy
twórcy. Wiedzą o tym dobrze
krytycy literacy, teatralni, fil-
mowi, muzycy. Straszne skut-
ki krytyki poznała większość
dziennikarzy.

Artur Sandauer w rozmowie
z Aleksandrem Nawrockim na
łamach bydgoskich „FAKTÓW”
(nr 14) powiada, że odwaga nie
opłaca się krytykowi. Dlaczego?
„Po pierwsze — naraża się
tym, o których pisze, a miewa-
ją oni długie ręce i nie prze-
bierają w środkach. Po drugie
— za kolegami stoją określone
sily. Każdy zaś pisarz jest z
taką silą powiązany. Po trze-
cie — krytyk zarabia nie tyle
w pieniądzu, co w niena-
wici. Najbardziej plugawo wy-
rażenia, jakimi dysponuje je-
zyk polski, były np. stosowane
do mnie”.

Witold Wirpsza nazwał prof.
A. Sandauera „parchem”.
Adolf Rudnicki — „mocnikiem”.
Skąd ten drugi epitet? „Bo
Rudnicki — czytamy — pozba-
wiony jest kultury. Na każdy
epitet służy odświeżaczem, ale
przecież o tym nie warto roz-
mawiać. Daje tylko przykłady.
W jakich warunkach pracuje
w Polsce krytyk i jaka jest
kindsztuba naszych pisarzy”.

Artur Sandauer negatywnie
ocenia nie tylko polskich pi-
sarzy, lecz również krytyków.
Jego zdaniem, w Polsce nie ma
krytyki. Mówi on: „Trudno np.
za krytyka uważać Henryka
Berezę i pozostałą szczerwalnie
z „Twórczości”. Trudno się też
po krytykach spodziewać nor-
malnej kindsztuby i normal-
nego wykształcenia. Wobec te-
go można ich uważać za nie-
istniejących. (...) Krytyk prze-
de wszystkim ma istnieć. I
sądy jego mają się sprawdzać.
Jeśli ktoś przez całe lata lan-
duje „W barszczu przysłod”,
jak to czyni Bereza, a rezulta-
ty są — jak groch o ścianę, to
trudno powiedzieć, że czegoś
dokonał. Do krytyki na ogół
biorą się ci, którzy nie umie-
ją znaleźć sobie innego zawo-
du. Tymczasem krytyk winien
być filozofem narodowej kul-
tury, popularyzatorą jej kształ-
towania, jak to czynili: Brzozowski,
Irzykowski, Boy. Chociaż tr-
udno powiedzieć, czy im się to
udało. Z działalności krytycz-
nej Boya niewiele wyszło, nie
udało się zaszczyć kulturze
polskiej francuskiego racjona-
lizmu. Ale najistotniejsze, że
w ogóle czegoś chcieli”.

Z prof. A. Sandauerem roz-
mawia także Zenon Skuza w
„ARGUMENTACH” (nr 14). Z
tygodnika ruchu laickiego wy-
bieram jednak do przeglądu
ciekawy tekst Ewy Sikury o
szkodliwości azbestu. Mineral
ten ma wiele zalet technicz-
nych, lecz jest niezwykle

GROŹNY DLA ZDROWIA

Cieniotka, elastyczne włók-
na azbestu, gdy przedostaną
się do organizmu, zostają tam
już na zawsze. Działają one
narządy wewnętrzne i wywo-
lują zmiany chorobowe. Nie
ulegają wątpliwości, że azbest
może spowodować następujące
choroby: azbestozę (rodzaj py-
licy płuc), raka płuc, nowo-
twory krani, nerek, jelit i in-
ne. Nie wszystkie wprawdzie
odmiany minerału są jednako-
wo niebezpieczne, ale obecność
teń nie wolno lekceważyć.

W wielu krajach wprowadzo-
no rygorystyczne ograniczenia
stosowania azbestu. Natomiast
w Polsce obowiązujące normy
państwowe nie uwzględniają
istotnych zagrożeń. Instytut
Techniki Budowlanej i Pań-
stwowy Zakład Higieny wydały
w lutym 1986 roku „Wskazania
ogólne stosowane w budownict-
wie materiałów i wyrobów za-
wierających azbest”, lecz zale-
ceniami tymi — według au-
torów — nikt się nie przejął.
Nie mamy jeszcze planu za-
stąpienia azbestu innymi ma-
teriałami. Milczą nawet instytu-
cje zajmujące się ochroną
zdrowia i warunkami pracy.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Minął wiek złoty

Pamiętam z młodych lat, jak ludzie ówczesnego starszego po-
kolenia wspominali z rozrównieniem, ile to niegdyś można było
kupić za kopiejkę. Wszelkie porównania carskiej kopiejkki i rubla
z groszem i złotówką wypadają na niekorzyść polskiego pienią-
dza lat międzywojennych. Ale ten mit drogiej kopiejkki i tanie-
go towaru, zupełnie nie liczył się z faktem, że zarobić pieniądza
w zafolanej carskiej Rosji szaremu człowiekowi (pominawszy fa-
chowców) było jeszcze trudniej niż w „sanacyjnej” Polsce, nie
zaliczanej przecież do bogatych krajów europejskich. To nie do
Polski przyjeżdżali imigranci zarobkowi z Niemiec, Francji, Bel-
gii, czy USA...

Ile można było kiedyś, przed kilkunastoma laty i dawniej, kupić
za złotówkę, a ile teraz, to częsty temat rozmów, zwłaszcza po
podwyżkach cen, zwanych elegancko regulacją. Podobno w spo-
łeczeństwie amerykańskim starsi ludzie też wspominają, jak można
było się najeść za dolara. I jest coś w tym, że człowiekowi od-
ruchowo pogarsza się samopoczucie, kiedy wartość pieniądza spa-
da, i za ten sam towar trzeba płacić znacznie drożej niż kiedyś.

Wielu powie na to, że to przecież oczywiste, iż ludzie zawsze
i wszędzie martwią się pogorszeniem się warunków życia, na
co jednak odpowiem, że ja tu mówię o czym innym, o czym innym,
niż o ubożeniu społeczeństwa, lecz tylko o spadku wartości pie-
niądza, co wcale nie musi się pokrywać, więc utożsamianie jed-
nego z drugim, bywa nie przemyślane, a niekiedy demagogiczne.
Bo istota sprawy polega na tym (i każdy to niby rozumie), co
wzrasta szybciej — zarobki czy ceny, sam natomiast „ruch cen
w górę” — uznawany powszechnie za prawidłowość ekonomiczną
— jest dla poziomu życia czymś właściwie obojętnym.

Otóż bynajmniej nie chcą tu powiedzieć, że np. ostatnia pod-
wyżka cen jest bez znaczenia dla warunków życia znacznej czę-
ści społeczeństwa. Ludzie zresztą podają w wątpliwość samą za-
sadę ruchu cen i plac w górę, uważając, że wyszłoby to na jedno,
nó, gdyby ceny i place w tych samych wzajemnych relacjach
spadały. Słyszy się też pytanie — czy nie lepiej byłoby utrzymy-
wać stałe ceny, a w miarę możliwości podwyższać place, jak to
do niedawna było stosowane bodaj w większości państw socja-
listycznych.

Przypomnijmy, że praktyka stałych cen, utrzymywanych wsku-
tek dopłat skarbu państwa (a więc z kieszeni obywatela), była
beźsilnie wyszydzana przez zachodnią propagandę radiową i
naszą krajową opozycję. Otóż uświadomimy po prostu, że było w
tej krytyce sporo racji (czym daliśmy dowód, iż system socja-
listyczny jest reformowalny), i staramy się obecnie zastosować do
naszych warunków udzielane nam tak szczodrze rady i pouc-
zenia, rozumiejąc, że dla poprawy sprawności gospodarowania, po
osiągnięciu obecnego stanu rozwoju, powinniśmy zacząć uwzględ-
niać w cenach rzeczywiste koszty wytworzenia towarów i zachod-
zące między nimi relacje, na czym polega właśnie owa „regula-
cja”, (ekonomista pewnie zżymały się na te moje uproszczenia).

Reformujemy więc gospodarkę, ale w niesprzyjających warun-
kach osobliwego kryzysu, polegającego nie na braku pieniądza i
względnej „nadprodukcji towaru”, (który trzeba nieraz niszczyć,
dla utrzymania ceny, jak w krajach kapitalistycznych), lecz na
niedostawie towarów i usług w stosunku do względnej obfitości
pieniądza, co podobno nie sprzyja oddziaływaniu zachęt finanso-
wych, i rodzi paradoksalną troskę, by towar zbyt łatwo nie ma-
żał nabywcę.

Czynimy gorączkowe, zapewne nieraz chaotyczne wysiłki, żeby
jakoś nieszczęsną gospodarkę wyregulować i zacząć też spłacać
zagraniczne długi, zanim przywala nas po czubek głowy nara-
stające odsetki, ale tym usiłowania rządu nie towarzyszy z ja-
ko strony, jak zarzucają zwierzki zawodowe, dostatecznie kon-
sekwentna i skuteczna walka z niegospodarnością i marnot-
rawstwem, ponoszącymi część winy za ciągły wzrost cen. Są też
opinie, że powinniśmy postępować jeszcze radykalniej, ogranicza-
jąc przejściowo konsumpcję, jeśli nie chcemy w nieskończoność
wegutować, jako ubogi kraj narodów Europy (również kraj
wschodniej).

Otóż te reformatorskie usiłowania pozostają przez wielu ludzi
jakby nie zauważane. skupiają oni bowiem całą uwagę na zwy-
kach cen, sugerując nieuczciwie, że jeśli w jakimś okresie ceny
wzrosły przypuszczalnie dwukrotnie, to oznacza to również taki sam
wzrost kosztów utrzymania. Przez szacunek dla czytelnika nie
będę wykazywał, że jest przecież inaczej.

Ale dlaczego ceny w ogóle muszą wzrastać? Ekonomista twier-
dzą, że koszty zwiększania produkcji przemysłowej czy rolniczej,
a zwłaszcza wydobycia surowców, wymagają coraz większych
nakładów inwestycyjnych. Ogólnie biorąc, nie ma się czego cie-
szyc. Na odczuwalną poprawę życia trzeba będzie jeszcze długo
poczekać, co nie oznacza czekania aż rząd nadrukuje więcej pie-
niędzy.

Minął wiek złoty — powszechnej taniości i obfitości, czego po-
prawdzie nigdy i nigdzie nie było, nawet w mitycznych prapoc-
zątkach ludzkości. Czas są twarde, wymagają dostosowania się
do elementarnych prawideł ekonomii. Niemito o tym pisał, mój
też czytać o sprawach zabawniejszych.

JERZY KWIECIŃSKI

Już za tydzień w numerze świątecznym „Odgłosów”

- Co wspólnego mają Żydzi współcześni z plemionami
semickimi żyjącymi w czasach biblijnych na terenie
Palestyny? — zastanawia się JACEK MACIASZEK.
- Panuje cisza, w której słychać jedynie przyspieszo-
ne oddechy. W dionach zwykle, proste różańce
dwadzieścia siedem koralików nanizanych na krót-
kie, kolorowe sznureczki. Każdy koralik — to jeden
pokłon. Ceremonia kończy się po czterech okrę-
żeniach różańca... Tak modlą się polscy wyznawcy
buddyzmu Zen w klasztorze w Warszawie. Kim są
i jak żyją? — wyjaśnia w ciekawym reportażu WI-
TOLD WERNER.
- Chłopa potrzebny jest traktor. Najchętniej kupiłby
„C-330”, ale tych właśnie nie ma. Skazany więc jest
na Ferguson. Co z tego wynika? — pisze RY-
SZARD BINKOWSKI.
- Ankieta dla Czytelników pozwalająca każdemu o-
cenić treść i formę „Odgłosów”, wskazać dobre i
złe teksty oraz ulubionych autorów. Wśród osób,
które nadesłały odpowiedzi na pytania (opłatę pocztową
uścił redakcja) zostaną rozlosowane bardzo cen-
ne nagrody książkowe.
- Ponadto w numerze świątecznym (objętość — 20
stron, cena 35 zł) ukażą się inne atrakcyjne materia-
ły — zapowiedziane już w ubiegłym tygodniu.

Rola i funkcje uniwersytetu w systemach edukacyjnych współczesnych społeczeństw od wielu lat są przedmiotem dyskusji. Zwraca się na nich uwagę, że ten typ szkoły wyższej przeżywa stan kryzysu. Mówi się o niemadaniu na zmieniającym się polu potrzeb społecznych. Trzeba jednak pamiętać, że uniwersytet zawsze zmienił się i zmienia wraz z przemianami społeczno-kulturowymi. Z ewolucją idei uniwersytetu i jego kształtu ustrojowego mamy do czynienia w ciągu całego okresu istnienia tej instytucji począwszy od średniowiecza. Zmiany cywilizacyjne, społeczne i polityczne wymuszały zmiany w funkcjach szkoły wyższej. Jak pisał Karl Jaspers w 1959 r. — „organizowana edukacja na ogół wykazuje swoistość od określonych struktur społecznych. Kształcenie młodzieży można określić jako sposób, dzięki któremu ciała społeczne (kościół, klasa, naród — Z. K.) zapewniają sobie trwanie i pokolenia na pokolenia. Stąd też edukacja przekształca się, gdy następuje rewolucja społeczna”.

Tak więc uniwersytet średniowieczny z jego korporacyjnością i teologią, która była „szczytowym uogólnieniem” społecznej praktyki człowieka średniowiecznego, był wyrazem z jednej strony strukturalnych cech społeczeństw średniowiecznych, z drugiej wyrazem i obrazem ich kultury. Uniwersalizm średniowiecznego uniwersytetu wiązał się z chrześcijańskim charakterem kultury tej epoki. Pisał Jose Ortega y Gasset — „w średniowieczu uniwersytecie wszystko było kulturą ogólną. Wtedy było to systemem idei dotyczących świata i ludzkości, jakie posiadał średniowieczny człowiek, wyznaczał on kierunek egzystencji człowieka”. U podstaw kształcenia uniwersyteckiego leżała humanistyczna, platońsko-arystotelesowska koncepcja nauki. Uniwersytety średniowieczne charakteryzowały się początkowo dużą autonomią. Charakterystyczny z tego punktu widzenia był napis na uniwersytecie w Salerno: „Bez utracenia się i pomocy i popieku i cesarza do nas, który wyrażał naczelną ideę szkoły, jaką było dążenie do prawdy”.

UNIwersytety ŚREDNIOWIECZNE

Do przystosowały się do nowej formacji kulturowej, jaką był Renesans i zaczął się ich schyłek. Okres stagnacji trwał wiele wieków. Dopiero wiek XVIII przynosił odrodzenie i modernizację uniwersytetów — głównie w Niemczech. Tworzy się nowy model ustrojowy — uniwersytet nowożytny i jego szczególna odmiana — uniwersytet liberalny. Główną funkcją stała się badanie naukowe. Założona funkcja wyznacza w znacznym stopniu jego elitarność. Zasad strukturalnych cech społeczeństw średniowiecznych, z drugiej wyrazem i obrazem ich kultury. Uniwersalizm średniowiecznego uniwersytetu wiązał się z chrześcijańskim charakterem kultury tej epoki. Pisał Jose Ortega y Gasset — „w średniowieczu uniwersytecie wszystko było kulturą ogólną. Wtedy było to systemem idei dotyczących świata i ludzkości, jakie posiadał średniowieczny człowiek, wyznaczał on kierunek egzystencji człowieka”. U podstaw kształcenia uniwersyteckiego leżała humanistyczna, platońsko-arystotelesowska koncepcja nauki. Uniwersytety średniowieczne charakteryzowały się początkowo dużą autonomią. Charakterystyczny z tego punktu widzenia był napis na uniwersytecie w Salerno: „Bez utracenia się i pomocy i popieku i cesarza do nas, który wyrażał naczelną ideę szkoły, jaką było dążenie do prawdy”.

Druga połowa XIX wieku przynosiła kolejne zmiany w funkcjach uniwersytetu. Presja potrzeb społecznych powodowała, iż zwiększa się gwałtownie liczba osób studiujących kierunki przygotowujące do konkretnych zawodów (tzw. „Brotstudenten”). Na niektórych uniwersytetach zaczęto wtedy wprowadzać numerus clausus, zmieniając zasadę powszechności dostępu do wyższego wykształcenia na zasadę równych szans. Zaczynają zmieniać się funkcje uniwersytetu, czego wyrazem jest podjęcie przez nie kształcenia profesjonalnego. Powstaje nowa forma ustrojowa — uniwersytet współczesny. Abstrahując od różnic narodowo-regionalnych jest to przede wszystkim uniwersytet wielowydziałowy i najczęściej zdecentralizowany (oprócz uniwersytetów amerykańskich).

Główne zadania badawcze przypadają akademikom nauk, zaś kształcenie zawodowe wyższym szkołom zawodowym. Jest więc często uniwersytet instytucją „kafarową”, która zajmuje się wszystkim „po trochu”. Jak twierdzą niektórzy teoretycy, brak jest idei ogólnej, która integrowałaby działalność tej instytucji. Wzrost zaś znaczenia nauki w rozwoju cywilizacyjnym powoduje, że uniwersytet staje się coraz bardziej podporządkowany interesom społeczno-ekonomicznym i politycznym, wnikając się w cały spój zalewności i tracąc swą autonomię. Ingerencja ośrodków władzy politycznej i traktowanie uniwersytetów w sposób instrumentalny powoduje, że dostojność uniwersytetu chyli się ku upadkowi. Przestał bowiem dawno być „sanktuarium” wzniosłej wiedzy doskonałości człowieka. Dziś według klasyfikacji Roberta Wolfa uniwersytet to albo „zakład świadczący usługi społeczeństwu” albo „masa produkcyjna wypuszczająca masowo ludzi establishmentu”.

Niektórzy spośród teoretyków zajmujących się współczesnym uniwersyteciem zwracają jednak uwagę, że dziś wobec dużej liczby studentów uniwersytet nie może nie zajmować się ich zawodową przyszłością. Świadomość tego faktu wydaje się być coraz powszechniejsza. Hartmut Stieger zwraca uwagę na fakt, że uniwersytety nie działają w próżni społecznej i wobec dużej liczby studentów muszą mieć świadomość funkcji kształcenia zawodowego w zgodzie z zapotrzebowaniem rynku pracy. Jak pisze „szkoły wyższe nie mogą rzucić absolwentów w świat bez troski o to, co z nich będzie”.

Współczesny uniwersytet polski podlega podobnym procesom i przemianom. Jak jest on postrzegany przez młodych pracowników nauki?

CO DZIELI RZECZYWISTOŚĆ OD OCZEKIWAŃ?

Odpowiedź na powyższe pytanie uczyniłam przedmiotem mojego artykułu. Podstawę do tej charakterystyki stanowi analiza 80 prac młodych pracowników nauki, uczestników Studium Doskonalenia Pedagogiczno-Ideologicznego przy UL w r. ak. 1985/86 nt.: „Moja wizja uniwersytetu”. Grupa, której opinie przedstawiam nie jest duża, ale jest ona reprezentatywna dla jednego rocznika najmłodszych pracowników naukowych UL.

Wiele osób podkreśla fakt upolitycznienia uniwersytetów (używając określenia J. Szczepańskiego), które przejawia się w eksponowaniu funkcji kształtowania właściwych postaw społeczno-politycznych (indoktrynacja ideologiczna studentów). Młodzi pracownicy UL wskazują

na ograniczony zakres autonomii uczelni wyższych i będącą tego stanu rzeczy konsekwencją w postaci przesadnej służebności uniwersytetu wobec gospodarki i polityki. Cechą polskiego uniwersytetu jest również, zdaniem autorów, brak rzeczywistej samorządności. Skutki tego są wielorakie. Powoduje to m.in. trudności w kształtowaniu postaw odpowiedzialności i myślenia w kategoriach społecznych, osłabia podmiotowość studentów i pracowników, utrudnia identyfikację z celami i wartościami uczelni.

Asystenci zwracają następnie uwagę na przewagę funkcji dydaktycznych i kształcenia zawodowego nad funkcjami badawczymi, z czym wiąże spadek znaczenia wiedzy humanistyczno-teoretycznej na rzecz ekspertyzy i wiedzy specjalistycznej oraz zaniedbanie kształcenia „człowieka kulturalnego”, który musiał ustąpić przed specjalistą. Niektórzy spośród młodych naukowców widać te fakty ze świadomością polityką wobec uniwersytetów. Dość znamienita

Kogo ma kształcić współczesny uniwersytet? Wszyscy mają krytyczne uwagi pod adresem systemu rekrutacji. Słabe i przestarzałe wyposażenie. Co sądzą młodzi pracownicy nauki o swoich uczelniach?

Oczekiwanie i rzeczywistość

ZDZISŁAWA KAWKA

Jest pod tym względem wypowiedź jednego z respondentów:

„Wzrastają wymagania wobec uniwersytetu jako instytucji wychowującej, zdyscyplinowanych fachowców. Korzystny jest wtedy system rekrutacji zapewniający dopływ kandydatów zdolnych do odtworczego myślenia i działania kierowanego. Samodzielność myślenia jest zarzewiem konfliktu i frustracji wynikającej z niezaspokojenia aspiracji. Dlatego wskazany jest dobór kandydatów ze środowisk zaniebawnych oświatowo. Sam fakt ukończenia studiów jest dla nich awansem społecznym i zaspokaja ich aspiracje życiowe”.

Jakkolwiek ten typ argumentacji i rozumowania nie jest powszechny wśród badanych, to musi budzić pewien niepokój. Tym bardziej, że zdecydowana większość młodych pracowników nauki, wskazując na kolejną cechę polskiego uniwersytetu, jaką jest masowy charakter kształcenia, wiąże z nią oceny negatywne i manifestuje wprost postawy antydemokratyczne w tym zakresie, postulując elitarny charakter kształcenia na poziomie wyższym.

Część osób zwraca uwagę, iż kształcenie w takim rozmiarze jest kształceniem „na niby” (określenie J. Szczepańskiego) i powoduje dysfunkcjonalność szkoły wyższej wobec potrzeb społecznych. Jedną z asystentek napisała:

„Uniwersytet jest błędnym kołem kształcącym coraz więcej gorszych absolwentów, z których część wychowuje i uczy osiagających coraz mniejsze efekty uczniów, część coraz go-

żej pracuje w różnych działach gospodarki narodowej, a część pozostaje na uczelni kształcącej nowych studentów, którzy z kolei...”

Masowość kształcenia ma także wpływ na odpersonalizowanie stosunków student-pracownik a także stosunków młody pracownik—profesor. Mają one w coraz większym stopniu charakter rzeczowy i sfomalizowany. Zaginęły również tradycje stopniowego wprowadzania młodego asystenta w prace badawcze profesora. Piszę o tym z nutą żalu jeden z asystentów z Instytutu Geografii Fizycznej i Kształtowania Środowiska UL:

„Mistrzowie, których notabene coraz mniej, odgródzeni sekretarkami i wyszczynianymi drzwiami pracownicy tłuką w maszyny do pisania, a którzy nie mają maszyn skrupulatnie zapieczętują równym maczkiem kartki papieru, przeliczając je na arkusze wydawnicze i osłaniając ramieniem przed spojrzeniami młodych. A jak tu zdeklasować starą czołówkę, nie wiedząc co ona robi, ani nie mając możliwości podpatrzenia te-

ogranicza się do pytania „to know how” oraz wypracowywania reguł przekształcania przyrody i społeczeństwa. Powoduje to chaos programowy i przeciążanie studentów szczegółowymi, wąskimi programami.

Polski uniwersytet jest, według opinii znacznej części wypowiadających się, sztywny programowo i instytucjonalnie i jak napisał jeden z asystentów „stbiurokratyzowany do absurdu”. Wreszcie autorzy prac podkreślają powszechnie materialne niedoinwestowanie naszych uniwersytetów, na które składa się przestarzała baza laboratoryjna: „Często archaiczne wyposażenie nadaje się raczej do nauczania historii danej dyscypliny, a nie prowadzenia badań wiodących”. Przestarzała jest również baza biblioteczna, w tym obcojęzyczna, co powoduje zwiększający się dystans informacyjny wobec świata. Ponadto duże jest zaniechanie sal i brak aktualnych, dobrych podręczników. Towarzyszy temu pauperyzacja pracowników naukowych. Niedostateczne środki finansowe rozproszone są dodatkowo na liczne katedry i zakłady, co powoduje niewykorzystanie aparatury i sprzętów prowadzonych badań.

Wszystkie wskazane cechy polskiego uniwersytetu powodują, że traci on swój wysoki prestiż. Przyszedł na niego, że jest to

OBRAZ NAMALOWANY DOŚĆ CIEMNYMI BARWAMI.

Być może jest on w części rezultatem przesadnego krytycyzmu młodych, ale i tak nie nastraja optymistycznie i każe obawiać się o motywację do pracy w tak postrzeganej instytucji. Młodzi naukowcy świadomi są faktu, że o takim charakterze polskiego uniwersytetu decyduje cały szereg przyczyn. Najogólniej rzecz biorąc wskazują oni na trzy grupy czynników określających taki wzór uniwersytetu w Polsce. Pierwsze z nich to czynniki makrostrukturalne i realia naszego życia społecznego i gospodarczego. Jak piszą dwaj asystenci z Instytutu Chemii UL:

„Naszymi uczelniami próbowane są różne jak fabryki, za pomocą schematu: plany — realizacja — wykonanie — sprawozdanie. Na nieszczęście dla uniwersytetu nakłady inwestycyjne tu nie tworzą się linowo. Na efekty trzeba długo i cierpliwie czekać, postanowiono więc nie inwestować w niepewny interes — skutkiem czego już nie biega a nęda wyszła z laboratoriów i sal uniwersyteckich”.

Cechą warunkowaną makrostrukturalnie jest także upolitycznienie uniwersytetów. Docenia się bowiem ich rolę jako ważnego czynnika wpływającego na świadomość społeczeństwa. Niektórzy z autorów prac wiążą z tym fakt ograniczenia autonomii uniwersyteckiej. Problem ten ma zresztą charakter ogólniejszy i dotyczy nie tylko uniwersytetów polskich. Z ingerencją ośrodków władzy politycznej i chęcią narzucenia uniwersytetom jednolitego profilu światopoglądowego mamy do czynienia już od średniowiecza. Proces ten miał tylko w niektórych okresach mniej lub bardziej intensywny przebieg.

Podobnie ogólnym czynnikiem, nie mającym charakteru systemowego, wpływającego na kształt współczesnego uniwersytetu, jest wzrost znaczenia nauki, który powoduje, że uniwersytet staje się coraz bardziej podporządkowany interesom społeczno-ekonomicznym i politycznym. Czynnikiem wyraźnie związanym z realiami naszego życia społeczno-ekonomicznego jest natomiast brak „rynku dyplomów”, których wartość winna być mierzona bądź to rangą poszczególnych uniwersytetów, bądź jakością samego dyplomu (ocenami). Ograniczone perspektywy zawodowe wpływają na osłabianie motywacji do nauki.

Drugą grupę przyczyn stanowią przyczyny organizacyjne. Należą do nich według młodych naukowców: masowość kształcenia i związane z tym problemy selekcji kandydatów na studia; organizacja procesu dydaktycznego i finansowania uczelni; nadmierny nawis administracyjny, który utrudnia sprawne kierowanie uczelnią i jej jednostkami; brak działalności usługowej dla innych jednostek uczelnianych lub spoza uczelni, co powoduje niewykorzystanie mocy i aparatury.

Trzecią wreszcie grupę przyczyn stanowią czynniki podmiotowe, czyli postawy studentów i pracowników naukowych. Banalną i powszechną jest prawda, że człowiek dobrze wykonuje swoje zadania, jeśli jest tym zainteresowany i przynosi mu ta działalność wymierne efekty w dającej się przewidzieć przyszłości. Charakterystyczna wypowiedź na ten temat zawiera jedna z prac, której autorzy piszą:

„Wiadomo, że u nas uczyć się nie opłaca. Idealnie jest „3+” i równanie do średniego. Ta redukcja ambicji wydaje się równie ważnym czynnikiem hamującym rozwój uczelni jak i niedostatek nakładów finansowych. Uprawianie nauki wymaga ogromnego wysiłku, a obecnie zajęcie to stało się mocno frustrującym i mało intratnym. System nasz wymaga od naukowców poświęceń, jest więc stosownie raczej dla idealistów. Obecnie jednak mało już kogo podciąga ideał Marii Skłodowskiej Curie pracującej w szopie. W tej sytuacji na uczelni zostają często nie najlepsi z inicjatywą a nieudacznicy nie mający lepszej koncepcji”.

Efektem tego jest obóstwo duchowe przejawiające się w apolitycznych postawach ludzi. Według wielu autorów wśród studentów i pracowników szerzą się postawy bierności.

„Ludzie przestali wierzyć, że ich działalność może przynieść jakikolwiek wpływ. Stwierdzone spustoszenie uczelnianego rytmu w latach 1980-82”.

Autorzy cytowanego wzmiankowanego fragmentu wypowiedzi zakładają, że w wyniku powodzenia pożądanego zmian w systemie kształcenia na poziomie wyższym jest wysoka świadomość świata nauki. Sądzą jednak, że wobec przewartości postaw na skutek wyrażonych lat 70. i 80., czynnik ten może okazać się istotną barierą na drodze przemian uniwersytetu.



Foto: Grzegorz Gajdański

Przyjechała jak na wczasy — z jedną walizką. Trochę ciuchów, drobiazgów, tylko to, co najpotrzebniejsze. Prosto z autobusu przyjrzała się ludziom, domom, ulicom: więc to tak wygląda jej „ziemia obiecana”? Czekala chwile, czy serca nie zabije żywiej.

Nie zabije. Szkoda, byłby ładny początek: „miłość od pierwszego wejrzenia”. „od razu pokochałam to miasto”, „czułam, że spełniają się moje marzenia”, czy coś w tym rodzaju. A tu, niestety, nie z tych rzeczy, żadnej romantyki, żadnego uczucia. Chłodna kalkulacja: jak najwięcej zarobić, jak najszybciej dostać własne mieszkanie. To wszystko.

Taka była i jest filozofia większości nowych mieszkańców Belchatowa — prosta, logiczna i banalna, jak chęć lepszego, dostatniejszego życia. Bo dla młodych liczy się dziś przede wszystkim forsa i możliwość szybkiego startu. Tu obiecywano jedno i drugie. Zjeżdżali więc masowo ze wsi, miasteczek i miast całej chłubki Polski. Taka swoista gorączka złota. Budujące się w wielkim rozmachem kopalnia i elektrownia przyciągały jak magnes — mężczyzn i kobiety, inżynierów i robotników, samotnych i rodziny. Pracy i pieniędzy nie brakowało.

Anna ukończyła studia w 1978 roku. Zaraz też zaczęła szukać jakiegoś ciekawego i dobrze płatnego pracy. Teoretycznie wybór był olbrzymi, bo przemysł potrzebował ludzi wykształconych, ale pełnomocnik do spraw zatrudnienia absolwentów uczelni miał do zaproponowania tylko etaty w jakichś prowincjonalnych zakładach, gdzie ani dużych pieniędzy, ani warunków, ani nawet perspektyw. Anna musiała więc przysiąc, że bez znajomości niczego się w Polsce nie salawat, i przez rodzinę w stołecy szybko znalazła „dojście” do Kopalni Węgla Brunatnego w Rogoźnie pod Belchatowem. Zatrudniono ją od razu, choć wcale nie na jakimś ważnym i ciekawym stanowisku. Ale to, nauczona doświadczeniem, przyjęła już spokojnie i bez żalu. Gdzieś indziej otrzymałaby tyle pieniędzy zaraz po dyplomie i obietnicę samodzielnego mieszkania już w następnym roku?

Inna młoda dziewczyna — absolwentka Akademii Rolniczej, specjalistka od ochrony środowiska — po kilku miesiącach pracy w dziale rekultywacji gruntów przeniesiona została do... administracji. Jej miejsce zajął ktoś po geografii. Może lepiej wiedział, jak ratować zagrożone środowisko, a może też miał po prostu znajomości. W każdym razie i ona musiała się z tym pogodzić. Nie miała innego wyjścia. Poza tym, to tylko mężczyźni lubią bawić się w ambicje zawodowe. Dla kobiet — nawet jeśli początkowo takowe posiadają — w sumie bardziej liczy się dom, rodzina i to, co można włożyć do garnka. Ani jedna, ani druga nie chciała być wyjątkiem od tej reguły.

PRZYJEZDZAJĄC DO ZUPEŁNIE OBCEGO MIASTA

ktoś dzięki węgłowi brunatnemu zrobić miano dużą karierę. Anna myślała także o Jacku, że się pobiorą, że tu znajdą swój własny kąt i trochę szczęścia, o jakim każdy marzy. Jacek właśnie pozwolił kończyć studia mechaniczne, licząc, że również dostanie etat w kopalni. I tak naprawdę to było wtedy najważniejsze.

Na początku, jak prawie wszyscy, Anna zamieszkała w hotelu robotniczym. Mały pokój na dwie kobiety, jedna łazienka na cztery pokoje — bez zamka, towarzystwo mieszane. Lepiej niż w akademiku! Panowie powtarzali codziennie, że bez wody — nudy, potem dobijali się w nocy, tryskając oryginalnością pomysłów wspólnego spędzenia czasu do rana. Panie na ogół usiłowały robić na drutach, czytać, wychodzić po zakupy i być dla siebie mile, co przed czy później i tak zwykle kończyło się nemiło. W pokoju Anny poszło o przyjazd Jacka — raz na dwa tygodnie, raz na miesiąc, a głównie — że nocuje. Nawet kiedy byli już mężem i żoną. Oczywiście Anna rozumiała sytuację współlokatorki, ale on też przecież — do cholery! — gdzieś musiał spać! Dopiero po ślubie, a wtedy walił się tak rzadko... Gdyby mogli, poszliby może do... ho-



Foto: Grzegorz Gałasiński

NASZ BELCHATÓW: Przyjeżdżają tu ludzie, bo jest praca i szybciej niż gdzie indziej można dostać mieszkanie. Ale, jak się już ma to mieszkanie, to zjawiają się zaraz nowe potrzeby. Jak można je w Belchatowie zaspokoić?

Ogród na pustyni

PAWEŁ TOMASZEWSKI

tęta — takiego normalnego, za pieniądze. Tam nie mieli by świadków. Ale w Belchatowie nie było normalnego hotelu, a i dziś jeszcze nie ma — przy ponad pięćdziesięciu tysiącach stałych mieszkańców. Na zdrowy rozum i gdzie indziej rzecz wprost nie do pomyślenia! A tutaj...

Zabrakło wyobraźni. Nikt nie przewidywał, że do tam mogą przyjeżdżać małżeństwa, a do mężów żony, że nie wszyscy mają w domach takie warunki, by przenocować rodzinę, znajomych z daleka. A to się przecież zdarza i wówczas hotel jest niezastąpiony. Ba, nikt nie policzył choćby, ile można by na tym zarobić. Bo można.

Na razie, w Belchatowie zarabiali właściciele prywatnych kwaterek. Im się opłaca. I to jeszcze jak — mówi ulica. Ludzie muszą gdzieś się przecież podzielić — zwłaszcza że nie dla wszystkich wystarczyło miejsce w hotelach robotniczych. Nie każdy też dobrze znośli ich atmosferę, wspólnego z kimś całkiem obcym pokój. Anna była już przyzwyczajona — lata spędzone w akademiku musiały zrobić swoje. A przecież i ona w końcu nie wytrzymała. Poszła do dyrektora kopalni i powiedziała wprost, żeby przydzielił jej jedynkę, gdyż ma już szczerze dość swej współlokatorki. Po długich bojach wywalczyła ją — jako samodzielną pokój na szerokość tapczana w typowym M-8. W pozostałych pokojach mieszkali dwa małżeństwa z dziećmi i dwóch samotnych górników. I znów wspólna łazienka, wspólna kuchnia, ogłędanie się na siebie, kto ma posprzątać w przedpokoju.

Setki belchatowian z wyboru musiały przez to przejść. Bo nawet tu, gdzie o mieszkanie było w Polsce najłatwiej, tempo budownictwa nie nadążało i nie nadąża za potrzebami. Od drugiej połowy lat siedemdziesiątych każdego roku przybywa miastu średnio czterdzieści pięć tysięcy nowych mieszkańców, a nowych mieszkań — tysiąc. Coraz bardziej wydłuża się więc czas oczekiwania na kolejną i powoli kończy mieszkanie eldorado. Kto zdążył już dostać klucze, mógł mówić o szczęściu. I mówił — tyle że na ogół krótko. Ludzie szybko przyzwyczajają się do dobrego — taką już mają naturę. Wczoraj nie mieli nic, dostali dach nad głową, a dziś są znów niezadowoleni, bo chcieliby jeszcze więcej. To im się nie podoba, tamto nie podoba. Żadnej wdzięczności za to, co zrobili dla nich kopalnia, elektrownia, władze miasta. Zapomniał wół... — można nieraz usłyszeć zdenerwowane głosy z wysokości dyrektorskich foteli. Ale ludzi tym się nie przekona. Oni wie-

dzą swoje: punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia. Co światłociś podpierają się też klasycznie: byt kształtuje świadomość.

W BELCHATOWIE WIDĄC TO JAK NA DŁONI

Dwa i pół roku czekali Anna i Jacek na własne mieszkanie. Dwa i pół roku, czyli w porównaniu z Łodzią, Warszawą, Olsztynem prawie tyle, co nic. Gdyby zgodził się na Piotrków Tryb., jak im na wstępie zaproponowano, był może czekałby jeszcze krócej. Ale to nie był dobry pomysł — mieszkanie w Piotrkowie, praca w Belchatowie, choć wiele osób się zdecydowało. Najlepiej, jak wszystko jest gdzieś blisko siebie, na miejscu — nie traci się tyle czasu na dojazd, tyle pieniędzy. Większa wygoda.

Alle mieszkanie to jeszcze nie wszystko. To dopiero początek. Najpierw trzeba poprawić — nim to, co skomolli budowlani, potem jakoś urządzić, umeblować, stworzyć z niego prawdziwy dom.

Stworzenie domu w nowym mieszkaniu kosztuje dużo pieniędzy, wysiłku i dużo czasu — zwłaszcza, gdy ma on być inny od domu sąsiadów z piętra, bloku, osiedla. Takie same meble, dywany, lustra, kryzandole — ludzie zaczynają już mieć dość standardyzacji, uniformizacji i bylejakości. Coraz częściej szukają do mieszkania czegoś oryginalnego, niepowtarzalnego. W Belchatowie przypominają to trochę zakłady nie ogrodu na pustyni. Mimo rozbudowy miasta, tak jak niegdyś każde większe zakupy robi się w Łodzi, Piotrkowie, Częstochowie, nawet w Warszawie. Na miejscu trudno dostać coś naprawdę ciekawego, a niektórych rzeczy prawie w ogóle nie ma w sprzedaży. Dotyczy to między innymi własnych artykułów nazywanych „do wyposażenia wnętrza” — od śrub i samków, przez tapety, armaturę, do niektórych rodzajów mebli, pralek, lodówek, radioodbiorników.

A przecież biorąc pod uwagę koszty oddawanych rocznie mieszkań i na ogół stosunkowo wysokie zarobki, nie tak trudno było przewidzieć, czego potrzebować będą młode małżeństwa i jak dużo to będzie zbytek.

Własne mieszkanie to jeszcze nie wszystko. To dopiero początek drogi. Anna z Jackiem dobrze znają ten ból, lepiej niż ci, którzy teraz dostają klucze. Oni zaczęli w 1981 roku, gdy w ogóle z zaspokojeniem ed-

kraju było krótko. Choć wciąż kredyt dla młodych małżeństw, co już samo w sobie dawało uprzywilejowaną pozycję, i tak prawie wszystko kupowali do domu poza Belchatowem. Segment do pokoju — w Opolu, zestaw wypoczynkowy — w Łasku, pralkę automatyczną — w Warszawie. Tylko meble kuchenne Anna wywalała na miejscu. Kolejka przed sklepem czekała trzy tygodnie: przywiozła dziś, czy nie przywiozła. Była lista, na której codziennie należało zaznaczyć swą obecność, trzy nieobecności pozabawiały miejsca w kolejce. Anna każdego dnia szła rano pod sklep z dzieckiem w wózku, w południe wracała do domu na karmienie i znów. A gdy wróciła przywieźli, każdy brał, co było, nie patrząc na wygląd, jakość, cenę. Ona też.

— *Dość jest już o niebo lepiej* — mówi. — *Chciał i tak Belchatów to wciąż głęboka prowincja.*

Na pierwszy rzut oka sytuacja nie wygląda najgorzej: 352 punkty sprzedaży detalicznej, w tym 99 sklepów spożywczych, 3 przemysłowo-spożywczych, 110 przemysłowych. Powierzchnia handlowa — 13.188 metrów kw., więc krajowy wskaźnik powierzchni na tysiąc mieszkańców też prawie osiągnięty. Ale gdy się przyjrzy temu bliżej... Nawet Jan Bęczkowski, kierownik Wydziału Handlu, Drobnej Wytwarzalności i Usług Urzędu Miasta w Belchatowie przyznaje, że odczuwa społeczeństwa są raczej negatywna. I trudno się temu dziwić.

W najdynamiczniej rozwijającym się mieście Polski lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych jest zaledwie jeden sklep rybny z prawdziwego zdarzenia, jeden papierniczo-sabawkarski, jeden z artykułami elektrycznymi, jedna księgarnia, jedno stoisko na sprzęt sportowo-turystyczny. Jedno z — radiowo-telewizyjnym. Istnieją zaledwie trzy urzędy pocztowo-telekomunikacyjne i trzy apteki oraz trzy sklepy meblowe, przy czym jeden z nich, to właściwie magazyn, do którego klient wchodzi przez... dziurę w płocie. Miesiąc się on tu obok wialobranżowego pawiloku „Skarbek”, nazywanego nie wiedzieć czemu domem towarowym. Ten „dom towarowy” jest tak mały i ciemny, że nie dorównuje nawet budowanym aktualnie pawilonom spożywczym na nowych osiedlach, bo co to jest 500 m kw. powierzchni handlowej na 50 tys. ludzi w samym mieście. Tyle, co kot napłakał, albo jeszcze mniej. I żeby było chociaż czym handlować — ale też nie. Dostawcy wielu artykułów powszechnego użytku sążną ed-

blegają od wielkości składanych zamówień, o potrzebach społeczeństwa już w ogóle nie wspominają.

Kierowniczka rejonu sklepów WPHW w Belchatowie, Krystyna Czajka jako przykład daje koszule, damskie obuwie, radia, magnetofony, telewizory. Tych ostatnich w trzecim kwartale 1986 r. na całe miasto przyszło 23 (słownie: dwadzieścia trzy): 20 czarno-białych i 3 „Heliosy”. Oszałamiająca liczba! No to ludzie kłną na czym świat stoi, bo — jak mówią — nie ma tu właściwie na co wydać ciężko zarobionych pieniędzy. Chyba że na wodę. Z tym nie ma kłopotów, gdyż funkcjonuje 14 punktów sprzedaży alkoholu i półki, broń Boże, nie świecą pustkami. Można też odwiedzić jeszcze miejscowy „Pewex”, choć nigdy nie ma pewności, czy jest otwarty, ponieważ pracuje on w dość dziwnym cyklu: sprzedaż, wiamanie, inwentaryzacja, sprzedaż, wiamanie...

Z usługami nie lepiej: za mało punktów.

ZA MAŁO PRACOWNIKÓW, ODLEGŁE TERMINY.

Brakuje szklarzy, hydraulików, szewców, elektryków, nawet — fryzjerów. Władze miasta przewidują do 1990 roku zwiększenie sieci usługowej o 60 nowych zakładów — prywatnych i uspołecznionych. Przygotowano już na ten temat stosowny memoriał, mają się znaleźć odpowiednie środki. Tylko czy znajdą się pracownicy z odpowiednio wysokimi kwalifikacjami? To samo pytanie dotyczy rzemiosła handlu, w którym przeciętne zarobki oscylują w granicach 18 tys. zł. Dla porównania — w kopalni — ponad 35, a w elektrowni — niewiele mniej.

Jednym z skutków powstania Belchatowskiego Okręgu Przemysłowego jest to, że ludzie uciekają z małoopłatnych zawodów i stanowisk pracy tam, gdzie im więcej dają. Każdy chce zarabiać jak najwięcej i nie w tym niezwykłego. Wysokie pensje górników i energetyków zapewniły napływ do Belchatowa tak specjalistów, jak i robotników, pozwoliły nie martwić się o bytowanie o brak rąk do pracy. Ale konkurencji z kopalnią i elektrownią nie wytrzymują galezie gospodarki bezpośrednio nie związane z wydobyciem węgla i produkcją energii elektrycznej. Nie wytrzymują też oświata, kultura, handel i usługi. I to musi budzić zrozumiałe obawy, wpatliwość, stwarzać napięcia w społeczeństwie. Starzy belchatowianie cieszą się z rozwoju swego miasta, a równocześnie czują, że coś w tym jest nie tak.

W 1986 roku Belchatów liczył 12 tysięcy mieszkańców, którzy mieli do dyspozycji m.in.: 98 sklepów spożywczych i piekarni, 40 masarni i jatek mięsnych, 60 sklepów tekstylnych, galanterijnych i skórzanych, 12 żelaznych, 3 zakładów fryzjerskich, 8 zegarmistrzowskich, 3 stacje benzynowe a kolejką wszędzie należały do rzadkości. Dość kolejką są codziennym obrazem. I dziwne gdyby było inaczej — ponad 50-tysięczny Belchatów ma zaledwie trzy sklepy spożywcze więcej niż przed wojną!

Oczywiście trudno porównywać dawne warunki do obecnych. Inny był styl i ogólny poziom życia, inne realia. Ale nawet takie kulawe porównanie musi nasuwać jakieś wnioski. Podobnie, jak porównanie tego, co miało tu być, a tym co jest.

Aby to sobie uświadomić, warto by chyba zorganizować wystawę niezrealizowanych projektów i planów. Byłoby na co popatrzeć. Słowo honoru. Zresztą jeszcze nie straconego. Trzeba je tylko powyciągać z przepastnych szaf i szuflad, oczyścić z grubej warstwy kurzu... Ktoś mógłby też sporządzić tekturowe makietę — na przykład nie istniejącego dotąd centrum handlowo-usługowego między ulicami: Kwiatowa, 1 Maja, Kościuszki i placem Narutowicza. Dla sprawnego modelarza nie trudnego, zwłaszcza że zachowała się kompletna dokumentacja. Wykonała ją Biuro Studiów i Projektów Handlu Wewnętrznego i Usług w Warszawie już w 1977 roku!

Właśnie mija dziesięć rocznica.

Najgorzej z handlem i nie tylko z handlem jest na osiedlu Dolnośląskim, czyli — jak tu się mówi — w nowym Belchatowie. Tam, gdzie przyszło mieszkać Annie i Jackowi.

NAJWIĘKSZE BELCHATOWSKIE OSIEDLE

mieszkańców liczy dziś ponad 20 tysięcy mieszkańców — dwa razy więcej niż nie tak dawno przedtę całe miasto. O ile jednak stary Belchatów — ten brzydki, parterowy, zaniedbany — długo jeszcze byłby w stanie obchodzić się bez nowego, to nowy samodzielnym miastem nie mógłby być praktycznie ani chwili, gdyż poza betonowymi blokami-mrowiskami nie ma tam prawie nic — nawet ulic w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Brakuje dostatecznej liczby sklepów, punktów usługowych, szkół, placówek kulturalnych, obiektów sportowo-rekreacyjnych, poczt, sprawnie funkcjonującej komunikacji. Zapewne też dlatego buduje się tu teras w pośpiechu... kolejne budynki mieszkalne, wiskające na się siłę między te postawione zgodnie z pierwotnymi założeniami. W urzędniczym żargonie to się nazywa „dogaszczanie” i świadczą o małym o wykorzystaniu istniejących rezerw. Ci belchatowianie, którzy nie mają jeszcze własnego kąta, mogą być a owego „dogaszczania” nawet sadowieni. Ci, którzy mieszkają już na Dolnośląskiej jakiś czas, woliliby w miejsce nowych bloków choćby to, co przed laty zaplanowali tam urbaniści. Choćby — gdyż już sam projekt urbanistyczny nie był wolny od pewnych wad. Ale mimo to, miał przecież jakąś ideę. Dziś nie widzą żadnej poza tym, że było szybko, było więcej, było jak.

Osiedle Dolnośląskie zaprojektowano na początku lat siedemdziesiątych zgodnie z obowiązującymi wówczas tendencjami, normatywnymi, wytycznymi. W założeniach miało być nie tylko nowe, ale i nowoczesne. W miarę upływu lat zaczęły się jednak zmieniać realia, a wraz z nimi kryteria oceny i oczekiwania. Dziś tamta nowoczesność traci więc już trochę myśk. Dziś starzy się budować inaczej. Ale nie to na Dolnośląskiej jest największym grzechem, że zaplanowano tu 4 pawilony ogólnospożywcze na ponad 20 tysięcy ludzi, jeden dom handlowy, jedną szkołę środowiskową i cztery elementarne, tak zwane ciągi pieszo-jedne zamiast ulic, cztery parkingi na obrzeżach osiedla i tak dalej, i tak dalej. Zgrzeszono przede wszystkim tym, że w obecnej swej postaci osiedle spełnia prawie wyłącznie funkcję wielkiej zbiorowej spiżarni.

— *Robienie tu zakupów, wreszcie tylko spożywczych* — mówi Anna — *jest prawdziwą męką, a już w piątki i soboty kolejką się wprost przerażające.*

Po wszystkich artykułach przemysłowe jeżdżąc trzeba do śródmieścia, tak samo do apteki, na pocztę, oddać płaszczy do pralni czy buty do szewca. Jak człowiek wraca z pracy, to chce być spokojnie zjeść, odpocząć, po prostu pobyt w domu — nie może, bo żeby coś dostać, musi ganiać po całym Belchatowie. Autobus do centrum, dwójka, teoretycznie kursuje co dwadzieścia minut, ale często nie ma go i godzinę, więc pewniej chodzić piechotą. Prawie pół godziny w jedną i pół w drugą stronę — to nierzadko się wszystkich odciekawa. A jak już ktoś ma dzie-

ci... — *Sąsiedzi wożą swoje do przedszkola na drugi koniec miasta, na Okrzei* — mówi Anna. — *bo tu nie chcieli im przyjąć z braku miejsc. Złobek załatwił jeszcze trudniej. Szkola...*

Na osiedlu uczą się tylko dzieci z najmłodszych klas — ciągnie. — *Starze muszą jeździć na Czaplinskiej, albo jeszcze dalej. Balagan taki, że szkoda słów. Nieraz rozmawialiśmy z Jackiem, że właściciel należałoby się stać jak najprędzej „wymieść”. Uciekają nam nasze najlepsze lata, życie zmija się to trójkącie: praca, kolejka, dom. Na nie więcej nie wystarcza już czasu ani siły. A żeby gdzieś wyjść, rozzerwać się, zabawić — jak to młodzi... Zresztą tu, w Belchatowie, i tak przecież nie ma gdzie!*

Piszę do pana kierownika Grudza, chociaż od lat dzielę się z nim w zaściankach. Chociaż jednak wie, jak tam z nami jest? Może za gładzi mi pan teraz przez ramie? Może siedzi pan na krześle naprzeciw mnie i zapuszcza żurawia w kartkę?

Na wszelki wypadek, zamiast „W imię Ojca i Syna” piszę, że był pan równy gość, w czym polapałem się raz dwa odkąd przypiętała mi się praca w tym pokreślonym magazynie przy ulicy Pryncypalnej. Co to zresztą za nazwa dla tamtej ulicy? Czy i pan był zdania, że coś tam nie grało?

Dla mnie nie grało od samego początku. Bo najpierw

przed otwartymi szeroko drzwiami czterech gości. Spokojnie palili papierosy, spoglądali w głąb hali, nie spieszyli się. W tamtej dzielnicy widywałem wielu takich ludzi, dysponujących nieograniczonym czasem, palących papierosy nieomal ceremonialnie. Czasami napotykałem ich uważny wzrok, kiedy przechodziłem obok jakiejś zakazanej bramy.

Ujrawszy ich, pomyślałem, że ta wizyta musi mieć jakiś cel. Byłem jednak śmiertelnie zmęczony, więc z butelką zabraną ze stojącej taśmy usiadłem na jednej z palet. Po pewnym czasie podszedł do mnie kierownik Grudza. Był zdenerwowany. Ostrożnym ruchem głowy pokazał mi tamtych czterech:

pojawili się tam na krótko, żeby oddać starą walizkową maszynę do pisania „Ericę” połączoną suchym, administracyjnym wzwaniem. Ale pan, mam nadzieję, że zabrzmi to naturalnie, zaliczał już kosmiczne odległości.

Wtedy po raz ostatni widziałem niewielki plac pokryty spekanym betonem, zagrany stalowymi kontenerami na kółkach — upartymi landarami, z którymi prowadziłem permanentną wojnę przez cały urlop dziekański i nawet nieco dłużej. Dopiekiły mi one bardzo, a jeden z nich omal nie pozbawił mnie życia. Pan, kierownik Grudza, widział to na własne oczy.

Kontenery zjeżdżały do magazynu na skrzyniach ciężar-

czy na trasie kontenera nie znajduje się jakaś przeszkoda. Nawet większe kamyczki odrzucałem na bok. Noga bolała mnie przez kilka tygodni. Z tego powodu musiałem przez pewien czas zawiesić treningi biegowe.

W kwietniu, a więc w siódmym miesiącu pracy w magazynie na Pryncypalnej, byłem już w pełni sił. Stopniał śnieg i moje kawalerskie buty zgrzytały na drobnym żwirze pozostałym na chodnikach po miesiącach zimowych. Słychać je było kilka ulic dalej.

Jak zwykle na wiosnę apetyt miałem koński. Z przyzwyczajenia, a także z niechęci do zrywania trwałych układów nie prosiłem dziewczyny w barze o potrójne leniwe. Prawdopodobnie mógłbym zjeść i poczwórne.

Kulminacja nastąpiła szybciej niż mógłbym przypuszczać, w jeden z tych dni, kiedy wydaje się, że nic nie jest w stanie się zdarzyć. Kiedy kończyłem swoje śniadanie, do stolika przysiadło się trzech gości. Nie mógłbym powiedzieć, kierownikowi Grudza, że zupełnie ich nie znałem. Siedem miesięcy robi swoje. Oni także wiedzieli, kim jestem. Najstarszy z nich, któremu tatuaż wychylał się przez mankiety koszuli, podjeżdżał aż do krtani, powiedział:

— Ty student postawisz nam teraz po piwie.

Wtedy już wiedziałem, że Pryncypalnej muszę powiedzieć: Zegnaj! I nagle wszystko się wyklarowało: zrozumiałem, że trzeba było czegoś takiego, bym zrezygnował z wariackiej wojny z kontenerami, układania pudełek na półkach, podwójnych leniwych ze zdublowanym kakao, wina przed jedenastą i wódki po jedenastej, powrotów tramwajem nr 5, w którym spałem kamiennym snem i niejednokrotnie budziłem się nie tam, gdzie powinienem. Z tego wszystkiego, kierownik Grudza, zeznawałem w jednej sekundzie.

Typowi, któremu tatuaż wychodził z mankiety koszuli na białe, odrażające dłonie, odparłem, siłując się na spokój:

— Takim jak wy mogę postawić po kubku mleka. Ale też trzeba by mnie o to poprosić.

Popatrzyli się na mnie, jakby spadł z Księżycy. Czy Chojny nie należały do nich? Czy tamten bar, tamte ulice podobne do siebie, podobnie dotknięte smutkiem przedmioty nie należały do nich? Czy ktoś mógłby mieć co do tego jakieś wątpliwości?

To młokosze przemówienie mogłem wyczytać w ich przekrwionych oczach, z trawionych alkoholem i nikotyną warg, zepsutych zębów, dion opartych o blat stolika, które niejednemu miały na swoim koncie. Po czym wszyscy trzej wstali i poszli do wyjścia. Każdy z nich obejrzał się na mnie co najmniej dwa razy.

Odsunąłem od siebie talerz z pierogami leniwymi, żeby nie obciążać żołądka i popilem niewielką ilość kakao. Dziewczyna siedząca za kasą rzuciła mi zaciekawione spojrzenie.

Z grubszą miałem już wszystko obmyślane. Dokładnie zapamiętałem kurtkę i podciągnąłem skarpetki w „oficerkach”. Pomyślałem, że nie mogę zrobić wstydu bezzimniemu wachmistrzowi.

Szedłem wolnym krokiem w stronę Pryncypalnej. Kiedy dotarłem do sklepu spożywczego, zobaczyłem ich przed schodkami. Znalazłem ich trasę.

Wszystkie te rzeczy, kierownik Grudza, odbywały się podobnie. Ktoś musiał pierwszy uderzyć. Na kilka metrów przed sklepem wyjąłem ręce z kieszeni, a kiedy jeden z nich ruszył w moją stronę, trafiłem go butem wachmistrza tam, gdzie mężczyzna ma najczulsze miejsce. Drugiego kopnąłem w piszczel, po czym ruszyłem Pryncypalną galopując trzysta metrów nie gorzej, niż kawalerski koń.

Niemożliwością było, kierownik Grudza, nie usłyszeć waleń „oficerki” o płyty chodnika, kiedy galopowałem obok magazynu, wprost na podjeżdżający autobus nr 53. Zdaje się, że słyszano je na całych Chojnach. Chciałem pana o to zapytać w dwa lata później, kiedy pojawiłem się na Pryncypalnej z „Ericą” pod ochłą. Od pani Janeczki dowiedziałem się, że pana tam nie ma. Wtedy powiedziałem do siebie: „Szkoda”.

(III nagroda w konkursie Zarządu Oddziału Łódzkiego SD PRL i „Ogłosów”: „W środku Polski, w środku życia”).

W stronę Paryża?

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Egzotyczna niemal opowieść o człowieku, który nie chciał być bity.

W stronę Pryncypalnej

WŁADYSŁAW MAŁKA

wlokłem się przez pół Łodzi co najmniej dwoma tramwajami, dojeżdżałem do samej krańcówki „piątki”, przechodziłem obok wiaduktu i dopiero idąc kawalkiem Rzgowskiej skręcałem w brukowaną kamieniami polnymi Pryncypalną. Wszystko razem trwało mniej więcej godzinę.

Z wyjątkiem pierwszego dnia, każdego następnego wstępowałem do baru na rogu Rzgowskiej i Antenowej. Po miesiącu dziewczyna z kasą bez słowa wypisywała mi na paragonie podwójną porcję leniwych i również zdublowane kakao. Tak więc przez bitych siedem miesięcy na śniadanie jadłem kopiec leniwych pierogów i piłem pół litra kakao, chyba wyłącznie dlatego, że w tych sprawach brakuje mi wyobraźni.

Z tym niewyszukanym bagażem opuszczałem bar, by w kilka chwil później wyładować na Pryncypalnej. Pan, kierownik Grudza, pewno zerka od czasu do czasu na to miejsce, do którego dzieliło mnie jeszcze jakieś trzysta metrów. Zgodzi się pan, że nie należało ono do najpiękniejszych pod słońcem.

Ale miałem już za sobą niezłą zaprawę: EC III, „Ema-Elester”, „Pepsi Cola”. Zwłaszcza w tej ostatniej, ułokowanej w krajobrazie Łodzi-Górnej, gdzie widywałem zabarwione na czerwono rynsztoki i gdzie powrócił do krańcówki tramwaju nr 6 po drugiej zmianie wymagał określonej strategii.

A jednak nawet tam, nie przydarzyło mi się to, co na Pryncypalnej, mimo że były wszelkie dane ku temu. W wytwórni „Pepsi” pracowałem na drugą zmianę, do południa odbijającą praktykę w archiwum. Tak więc, od zakurzonych papierów i akt przerzucałem się do pracy przy taśmie ze słodką „Pepsi”. Układałem na drewnianej palecie skrzynki z brunatnym napojem, które podrzuciła mi taśma.

Powiem panu szczerze: była to cholerna robota, wysysająca ze mnie wszystkie soki. Stawałem się podobny do robota, wykonywałem ściśle określone ruchy, stale poganiany monotonnym tempem taśmy.

Nie miałem czasu na myślenie. Moje myśli znikły, oddalały się ode mnie, móżg jakby przestawał je produkować. Żeby zmusić się do myślenia recytowałem na głos Inwokację do „Pana Tadeusza”, albo coś innego, najczęściej „Westerplatte”. Zwykle kończyło się na samym początku. Należało przestawać, przekrzykiwać jazgot butelek napelnianych i kapslowanych przez automaty, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Kiedy łapałem się na tym, zaczynałem wszystko od nowa. I tak było cały czas. To znaczy wtedy, gdy chciałem zmusić się do myślenia, jeżeli myślenie można nazwać klepanie wierszy. Nigdy też, w czasie kiedy taśma szła do przodu, nie udało mi się wykrzyczeć do końca ani Inwokacji, ani niebiańskich perypetii żołnierzy z morskiego batalionu.

Na szczęście, tamtego lata, taśma często nieruchomiała. Podczas jednego z tych nieoczekiwanych postojów, niemal pod koniec zmiany zobaczyłem

— Niech im pan powie, że nie ma „Pepsi”!

— Jak to nie ma? — zdziwiłem się na wyrost, bo zacząłem kapować o co chodził — Jest jej aż za dużo.

— Dla nich nie ma! — powiedział kierownik.

„Takie buty!” — pomyślałem i wałęsałem się prosto z mostu:

— Dlaczego pan im tego nie powie?

— Nie mogę — odpowiada. — My tu przychodzimy codziennie do pracy. Od krańcówki do wytwórni jest kawałek drogi. Wie pan, nikt nie chce się narażać. Pan jesteś studentem, dziś pan pracuje, jutro nie. Czy nie jest panu wszystko jedno?

Pocłagałem lyczek „Pepsi”, niewielki, taki na koniec języka, bo byłem nią nasycony jak diabeł — chyba tamtego lipca w moich żyłach płynęło pół krwi i pół „Pepsi Coli”.

— Ile im pan daje tej pepsi?

— pytam w końcu kierownika.

— Za każdym razem biorą skrzynkę!

— Codziennie?

— Codziennie! — odpowiada kierownik z taką miną, jakby mu ktoś ojca skrzywcami zabił. Widzę, że żal mu tej skrzynki, jak nie wiem co i że haracz płacony władcom bram i ulic Łodzi-Górnej wychodził mu już bokiem.

Odstawiam więc swoją butelkę „Pepsi”, biorę skrzynkę z palety i idę w stronę otwartych drzwi. Tamci na mój widok odrzucają niedopałki na płasek dwóch odbiera ode mnie skrzynkę i całą czwórka szukuje się do odesłania.

— Chwilczkę — mówię do nich. Odwracają się zdziwieni. No i widzę, że trzeźwością tak że nie grzeszą. — To jest ostatnia skrzynka! — Mleczka. Spoglądamy na siebie. Wiem, że te słowa mają swoją wagę. Być może nawet wielką wagę. Ja wreszcie odwracam się i wchodzę do hali. Taśma stoi jak zaklęta. Lekko drżącymi palcami biorę swoją „Pepsi”, dopijam ją do końca.

Ale po fajerancie zapaluję się na „szóstkę” bez kłopotu. I tak jest przez kolejnych 5 dni. W tym czasie kończy się moje zlecenie i żegnając się z „Pepsi Colą”, w gruncie rzeczy, kierownik Grudza, byłem zdziwiony: dlaczego przez 5 dni z rzędu pozwolono mi przejść przez wykłintny bruk i kolorowe rynsztoki, podczas gdy tyłu facetów stało po różnych brachach ómal papierosy i niewątpliwie mogło mi to przejście mocno utrudnić?

Być może sprawa dopiero dojrzała, wolno dochodziła do punktu krytycznego, wymagała jeszcze jakiegoś stadium i w takiej postaci zawiła w czasie przeszłym? Co łono było z Pryncypalną. Tam wszystko miało swój początek, środek i koniec. Przy czym stadium pierwsze trwało siedem miesięcy, a finał siedem minut.

Pan, kierownik Grudza, pewno zastanawiał się, z jakiego to powodu z dnia na dzień rzuciłem magazyn, w którym nie trzymałem jak w „Pepsi Coli”, a jedynie umiętnie trzymałem rękę na pulsie i nie dopuszczałem do tego, żeby powstawały wielkie zaległości. W dwa lata później chciałem panu o tym powiedzieć, kiedy

wych samochodów. Następnie po opuszczonej klapie ściągane były na betonową rampę przyklepioną do jednego z trzech baraków otaczających plac. Rampa była za krótka i to było naszym prawdziwym niebezpieczeństwem. Z jej niewystarczających rozmiarów wynikał ostry kąt nachylenia, po którym staczaliśmy kontenery na dziedzińce magazynu.

Była to cyrkowa ekwilibristyka. Bodaż półtorej tony żelastwa trzymany w ryzach ręcznym hamulcem. Wystarczył jeden niepewny ruch, by zaczęło się to zwałować na lew, na szyć. Mimo to ja i Rysio nieźle sobie radziliśmy. Na ogół windowaliśmy je na plac we dwóch, ale zdarzało się, że trzeba było to zrobić samemu.

Tamtego dnia na rampie stały dwa kontenery. Ten pierwszy w fatalnej pozycji: ręczny hamulec sterował zwrócony w stronę spadku rampy. O wiele lepiej i bezpiecznie było, gdy sterowało się taką landarą idącą za nią z tyłu. W razie czego, po prostu waliła w ścianę magazynu. Ponieważ rampa była ciasna jak damskie figi, na manewry nie było miejsca. Rad niera, wziąłem za stalowy dyszel, a drugą ręką przycisnąłem płozę hamulca. Powoli zsuwałem kontener w dół, stawiając drobne kroki do tyłu. Byłem już na samym dole i skręcałem dyszelem na dziedzińce, kiedy moje nogi ugięły się z zaskakującą o zostawiony przez kogoś stalowy kosz. Połączenie na beton, puszczając wszystko z rak. Półtorej tony nagle ożywiło się, dyszel zamigotał mi przed oczami i przemieknął gdzieś pod pachą, ja zaś razem z koszem zostałem dopchnięty do ściany. Lewa noga utkwiła mi pod kontenerem i tam w ulamkach sekund wszystko znieruchomiało. Zdążyłem jeszcze zauważyć pańską twarz, kierownik Grudza, za szybą baraku. Słowo daje, nie miał pan wesołej miny!

Później okazało się, że noga jest w porządku. Była tylko mocno siłczona. Od złamania uratowało ją to, że kontener skierowałem trochę w bok, tak że miał gdzie wyhamować. Dzięki temu nie dostałem też stalowym dyszelem prosto w brzuch, co byłoby najfatalniejszą zmyślną wyświec.

Lewa noga, która znalazła się pod kontenerem miała jeszcze jeden dodatkowy atut: aż do kolana ukryta była w wysokim kawalerskim bucie. Chodziłem wtedy w „oficerkach”, mimo że nie były zbyt lekkie — trochę dla efektu, a trochę z przekory. Kupiłem je na bazarze od pewnej kobiety. Należały do jej męża, wachmistrza jakiegoś pułku ulanów. Żał mi było, że te piękne buty, dotykające niegdyś końskich boków, pozostają bezczynne, zignorowane przez coś tak enigmatycznego jak moda. Żeby ich zbyt nie eksponować, nogawki dłuższą wciągałem na cholewy. Pan, kierownik Grudza, dziwi się zapewne, dlaczego poświęcam im tyle uwagi? Otóż, proszę o trochę cierpliwości — „oficerki” odegrały na Pryncypalnej pewną rolę.

Co do samego wypadku wystarczy, że powiem, iż nie miał on żadnego wpływu na moje odejście z magazynu. Od tamtego dnia byłem tylko bardziej ostrożny, zawsze sprawdzałem,



DO WARSZAWY JEŹDZIMY (a przynajmniej wielu z nas) co najmniej kilka razy w roku. Czas między załatwieniem spraw służbowych a odjazdem pociągu przemierzamy przeważnie na zwiedzanie sklepów. Tym razem więc kilka informacji dla tych, którzy w najbliższym czasie wybierają się do stolicy.

UWAGA BILETY — w Warszawie już zdołała komunikacja miejska. Przejazd tramwajem i autobusem zwykłym kosztuje 8 zł, linia pospieszna — 18 zł.

WARTO ODWIEDZIĆ SKLEPY SPOŻYWCZE — zwłaszcza większe placówki. Można w nim kupić cytryny, których w Łodzi na razie brakuje, olej sojowy, który w naszym mieście pojawia się rzadko, przeważnie tylko dla chorych na cukrzycę oraz nieco inny zestaw konserw rybnych, warzywno-mięsnych i mięsnych. Tych ostatnich jest zresztą znacznie więcej.

DUŻY WYBÓR TAPET winylowych z importu, welurowych i papierowych, a także rozmaite akcesoria łazienkowe (m. in. brodziki, umywalki, deski do WC — w kilku pastelowych i modnych, ciemnych kolorach) w sklepie przy ul. Marszałkowskiej 16 w pobliżu Placu Unii Lubelskiej. Sprzedawcy zapewniają, że utrzymywana jest ciągłość sprzedaży.

SKLEPÓW WARZYWNYCH możemy stolicy pozazdrościć. W państwowych placówkach tej branży jest czysto, towary ułożone estetycznie, ekspedientki bez żadnych nagabywań ze strony klientów pakują w papier (co prawda są to tylko stare gazety) nawet marchew i buraki. Zaopatrzenie również znacznie lepsze niż u nas — w każdym sklepie dostać można dorodną paprykę oraz rozmaite mało znane warzywa, jak skorzonera i patisony.

ŁÓDZKI AKCENT w centrum stolicy to sklep patronacki zakładów „Latona”. Po sukienki, bluzki i inne damskie i dziewczęce stroje ustawiają się tu gigantyczne kolejki. Nie dziwnego — wybór jest duży, a wszystkie modele atrakcyjne. Takich samych w Łodzi nie dostaniemy, bowiem handlowe władze stolicy jeszcze przed otwarciem placówki zastrzegły sobie krótkoseryjność i wyłączenie wzorów.

BEZ TRUDU, w każdym kiosku kupić można „Carmeny”, „Caro”, kilka rodzajów papierosów z importu i co najmniej cztery rodzaje naszych tanich gatunków. Ciałami kartonami kupują je już na dworcu przybysze z Łodzi. Przyjezdni z innych miast nie robią „hurtowych” zakupów. Widocznie u nas zaopatrzenie jest najgorsze.

CO Z PAPIEROSAMI W ŁODZI? Niemal wszyscy palacze spodziewali się, że po ogłoszeniu nowych cen w kioskach i sklepach znacznie poprawi się wybór. Nadzieje zawiodły. O prognozę zaopatrzeniową poprosiliśmy dyr. Józefa Tomczaka ze Składowi Wyróbów Trytoniowych.

— Ilościowo — powiedział — mamy pełne pokrycie zapotrzebowania. Z asortymentem jest znacznie gorzej. Od lat nasz przemysł nie może uporać się z trudnościami. W tym roku, podobnie zresztą jak w zeszłym, struktura dostaw na rynek będzie się kształtować następująco: 80 proc. papierosy „Popularne” i „Klubowe”, 20 proc. — pozostałe gatunki, w tym także najbardziej poszukiwane „Carmeny” i „Caro”. Do 25 proc. zmalała w tym roku produkcja „Ekstra Mocnych”. „Carmenów” dostajemy 10 mln miesięcznie — co na ogół prawie wystarcza. Obecne trudności są wynikiem wzmożonego popytu, spowodowanego niedawną przerwą w dostawach. W ciągu miesiąca sytuacja powinna wrócić do normy. Zaopatrzenie uzupełnią w niewielkim stopniu dostawy papierosów z importu „Riviera”, „Genty” i „DS” po 10 mln sztuk, nieco więcej „Wiarusów” długich i krótkich. Chętnie kupowane „Yugo” dopiero w IV kwartale.

Tyle wyjaśnienia dyrektora. Może więc po prostu rzuć palenie.

PIZZERIA PICCOLO — taką nazwę nosi niewielki lokalik Społem, przy ul. Rydzowej, w którym sprzedawano frytki, kiełbasę na gorąco, pieczone kurczaki i oczywiście pizzę. Dwa rodzaje tego przysmaku były w ciągłej sprzedaży. Niedawno w lokaliku przeprowadzono drobny remont, wymieniono personel. Obecnie — w ciągłej sprzedaży rybne hamburgery, niezbyt świeże, pizza — bywa czasem, za to wszystkie stoliki okupują niestrzeżwi — choć nie ma tu alkoholu.

W latach siedemdziesiątych do Poznania na Targi Krajowe przyjeżdżali wszyscy — kto chciał i kto nie chciał, ale musiał, bo zjednoczenie mu kazało. Powierzchnia wystawiennicza była wówczas gęsto wypełniona rozmaitymi towarami od supernowoczesnych urządzeń gospodarstwa domowego poprzez najmodniejsze wzory odzieży aż po frysy w eksportowych opakowaniach. Co z tego można było później kupić w sklepach — sami wiemy, ale z pewnością warto było do Poznania przyjechać choćby wyłącznie po to, aby obejrzeć ekspozycję.

Po niezwykle trudnym i burzliwym początku obecnej dekady, kiedy nie tylko półki sklepowe ale i targowe stoiska świeciły pustkami z roku na rok ta największa krajowa impreza handlowa rozwija się — przynajmniej jeśli chodzi o liczbę wystawców i wielkość zajmowanej przez nich powierzchni. Dla porównania: „Wiosna '86” — 1300 wystawców, 69,3 tys. m kwadratowych powierzchni, „Wiosna '87” — blisko 1500 wystawców, 76 tys. m kwadratowych powierzchni.

Z roku na rok zwiększa się również wartość targowej oferty. O ile wiosną 1986 roku wynosiła ona 212 miliardów zł — w tym roku była o 30 proc. (65 miliardów zł w cenach bieżących) wyższa i wynosiła około 270 mld zł.

Posługując się wyłącznie tymi danymi można by wyciągnąć całkiem przyjemne wnioski: impreza targowa rozwija się i nabiera coraz większego znaczenia dla całego rynku krajowego, a różne branże przemysłowe — skoro potrzebują coraz więcej powierzchni dla zaprezentowania się — produkują wciąż więcej atrakcyjnych towarów, które dzięki operatywności handlowców wkrótce (konkretnie — w ciągu II półrocza br.) trafią będą do sklepów.

Wystarczyło jednak tylko przespacerować się

„Wiosna '87” bez optymizmu.

Goło, bosó a nawet bez ostróg

TERESA JERZYKOWSKA

po targowych pawilonach, oglądając — nawet dość pobieżnie — kartki informacyjne obok ekspozycji, aby z tak optymistycznych wniosków zrezygnować.

TO, CO WIDĄĆ

Są Poznańskie Targi Krajowe przede wszystkim wystawą potencjalnych możliwości przemysłu czy też imprezą o charakterze roboczym? — dyskusje na ten temat trwają od lat. Niezależnie jednak od tego, jak powinna brzmieć ostateczna odpowiedź na to pytanie — poglądy zawsze było co. Trafiły się oczywiście w każdej branży wzornicze hule, nieładnie urządzone stoiska, w większości przypadków jednak po wszystkie wystawione towary — gdyby przeznaczono je do sprzedaży — ustawiliby się gigantyczne kolejki.

W tym roku po raz pierwszy przegląd ekspozycji nie dostarczał wielu wrażeń estetycznych. Wiele wystawek urządzono mało starannie, jakby w pośpiechu, bez żadnej koncepcji. Tu i ówdzie nawet manekiny straszły odwracaną łapką, czy łysą głową, z której zginęła peruka, większość z nich można by dodatkowo udekorować hasłem Chochola (z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego): „ubrałem się w coś ta miał”.

Nie była to więc ani awangarda, zgodna z najnowszymi zaleceniami mody (na którą, prawdę mówiąc, nie stać ani naszego przemysłu, ani przeciętnego klienta) ani dobry choć nieco ponadczasowy standard. Dość nijakie wzory, przypadkowa kolorystyka, a zwłaszcza bardzo mierna jakość tkanin i dzianin. Zawód sprawiły zwłaszcza zakłady kluczowe branży odzieżowej — przygotowując ekspozycję nie lepszą, a może nawet gorszą od spółdzielczości pracy choć przecież posiadają znacznie większe możliwości zaopatrzeniowe i techniczno-technologiczne. Nieliczne, przyciągające wzrok modele opatrzone były informacją: oferta 500 (do 2000) sztuk. Tego przecież nie kupią nawet ekspedientki — wszystko rozejdzie się wśród pracowników hurtowni.

Nieco inaczej było w branży dziewiarskiej. Zakłady, zwłaszcza duże, kluczowe, choć także i niektóre spółdzielnie obok wyrobów dziewiarskich, jakie zawsze znajdowały się w sklepach i nigdy nie były i nie będą ładnie i modne, zaprezentowały trochę takich swetrów, sukienek i innych dzianych strojów, że przodujący w dziewiarskiej Włosi mogliby zazdrościć. Jakim cudem udało się je wykonać na maszynach w większości przypadków przestarzałych z przedz dalekich od doskonałości — pozostanie tajemni-

cą producentów. Większość z nich pokazana była bez informacji o wielkości oferty, cenie itp. Słusznie — bowiem wyroby te nie trafiają na rynek.

Zupełnie odrębną grupę wystawców, od kilku co najmniej lat zasługującą na szczególną uwagę stanowią w Poznaniu rzemieślnicy. Jesienią 1986 roku po raz pierwszy podjęli oni próbę innego, bardziej nowoczesnego i funkcjonalnego zorganizowania ekspozycji, przygotowując kilka stoisk tematycznych, gromadzących wyroby różnych producentów jednej branży lub kilku branż pokrewnych. Zapowiadano rozszerzenie tej formy. Tymczasem — w tym roku po wystawach tematycznych prawie nie było śladu — nie licząc jednej, bardzo skromnej, pod hasłem „wszystko dla ucznia”. W dwóch dużych pawilonach tłoczyli się przede wszystkim rzemieślnicze spółdzielnie wielobranżowe, pokazując wymieszane wszystko — od części samochodowych po klipsy z mosiężnego drutu.

Zawód sprawiły nawet pawilony, w których pod szyldem „Inter-Polcomu” prezentują się przedsiębiorstwa zagraniczne (zwane popularnie, choć nieprawidłowo firmami polonijnymi). Pawilony te tradycyjnie już w ostatniej kolejności odwiedzają handlowcy, natomiast najtętniej przybywają do nich zwiedzający. Tak było i tym razem — ale większość osób przechodziła dość szybko, nie zatrzymując się przy poszczególnych stoiskach. Były mniej kolorowe niż zwykle, uboższe — zarówno pod względem formy, jak i treści. I tu także panowała atmosfera taka, jakby producenci przybyli do Poznania nie po to, aby pozyskać klientów, zawrzeć korzystne umowy, wypaść lepiej od konkurentów (a tak przecież, przynajmniej teoretycznie, być powinno), ale po prostu z przyzwyczajenia.

W sumie więc — ekspozycja była znacznie

my — programy operacyjne działają już szósty rok, system zamówień rządowych — piąty). Zakłady, początkowo ubiegające się o zamówienia rządowe, dające im gwarancję pokrycia materiałowego, oprócz tej niewątpliwie korzyści zaczęły dostrzegać również związane z ich realizacją skutki negatywne i obecnie chętnych jest coraz mniej.

Na rok bieżący — a przecież mamy już początek drugiego kwartału — oferta przemysłu nie pokrywa 50 proc. zadań określonych w CPR. Dla przykładu — kilka najbardziej drastycznych pozycji, ilustrujących procent pokrycia oferty w stosunku do planu zamówień rządowych: Bielizna z tkanin do 11 lat — 25,8 proc., wyroby pończosznicze ogółem — 44,8 proc., bielizna bawełniana powyżej 11 lat — 44,7 proc.

W czasie trwania imprezy poznańskiej w niektórych przypadkach zawarto umowy nieco większe, niż wynikało to ze wstępnych ofert, nadal jednak nie pokrywające w pełni planowanych ilości, nie mówiąc już o potrzebach. Jeśli dodać do tego uzasadnione — na podstawie lat ubiegłych — przypuszczenie, że część wyrobów, wyprodukowanych w ramach zamówień, będzie jakością i wzornictwem odbiegać od tego, czego oczekuje rynek i odłoży się w postaci buble do czasu kolejnych przecen — wiadać jasno, że sytuacja na rynku odzieżowym najmłodszych klientów będzie w najlepszym przypadku nie lepsza niż w 1986 roku.

Dorosłej części społeczeństwa — przynajmniej w dziedzinie odzieży i obuwia zamówienia rządowe nie dotyczą. W tym przypadku perspektywy zaopatrzeniowe są jeszcze gorsze.

Po raz pierwszy w historii targów krajowych zakłady przemysłu kluczowego branży odzieżowej i dziewiarskiej — poza nielicznymi wyjątkami — nie chciały w ogóle podpisywać z handlem umów. Proponowano jedynie zawieranie porozumień wstępnych i ewentualne sporządzanie umowy (która, w przeciwieństwie do porozumienia obwarowana jest rozmaitymi sankcjami w razie niedotrzymania jej warunków) w późniejszym terminie, o ile zakład będzie posiadał surowce.

Na jednym ze stoisk, gdzie można było obejrzeć nawet niezłą odzież zakładów „Modena”, widniała wyraźna informacja: „posiadamy pokrycie materiałowe na 20 proc. mocy produkcyjnych”.

Producenci — bez względu na to, czy wykorzystywanym przez nich surowcem są tkaniny czy dzianiny, wełna czy bawełna widzą swą przyszłość zaopatrzeniową raczej w czarnych barwach. Lepiej oceniają ją resort przemysłu lekkiego, choć i „z samej góry” przyznają się, że surowców jest za mało — w stosunku do potrzeb i do planu.

I znowu, dla przykładu, kilka liczb. Przy zaopatrzeniu na tkaniny bawełniane i bawełnopodobne rzędu 180 mln m — CPR przewiduje produkcję 120 mln m, tkaniny i dzianiny wełniane — potrzeby 50 mln m, założenia CPR 49 mln m.

Są to podstawowe surowce dla przemysłu odzieżowego, nic dziwnego więc, że przy takich, występujących już z założenia brakach jeszcze większe rozbieżności pojawiają się między planem a potrzebami w odniesieniu do wyrobów gotowych. Handel potrzebuje 12,6 mln okryć — CPR przewiduje dostawy 11,4 mln. Ubiórów handel chciałby kupić 45,6 mln — dostanie (o ile założenia planu zostaną w pełni wykonane) 42 mln. Zapotrzebowanie na obuwie wynosi 80 mln par obuwia skózanego i z tworzywa oraz 46 mln par tekstylnych — plan zakłada produkcję odpowiednio 75 mln i 44 mln.

Ta niewesoła wyliczanka jest porównaniem potrzeb określanych przez handel z założeniami planu, nie zaś z konkretną ofertą produkcyjną, która jest od tych założeń o wiele niższa.

Przedstawiona na targach oferta pozwala obawiać się bardzo poważnego pogłębienia braku równowagi na rynku odzieżowym. Co prawda, jak wynika z praktyki lat ubiegłych, po targach przemysł zawsze zgłasza dodatkowe dostawy. Wszyscy liczą na to również w 1987 roku — mimo to, oceniając ewentualne dalsze oferty, nie mówią o zaspokojeniu potrzeb czy równowadze rynkowej, lecz używają ostrożnego sformułowania, że „powinny one w pewnym stopniu zbliżyć poziom zaopatrzenia do analogicznego okresu roku ubiegłego”.

Należy wątpić, czy poziom ten zostanie osiągnięty w II półroczu 1987 r. Przecież pierwsze półrocze — którego połowę mamy już za sobą, wypadło gorzej niż okres od stycznia do lipca 1986 roku. Towary zakontraktowane na ten czas były mniejsze od ubiegłorocznych dostaw i wynosiły: w ubiorach z dzianin — 64,3 proc. tego, co trafiło do sklepów w I półroczu 86 r., w ubiorach z tkanin — 46,6 proc., w okryciach z tkanin — zaledwie 34,6 proc.

Wydaje się, że ubóstwo tegorocznych Wiosennych Targów Krajowych, wraz z pozostałymi informacjami, znanymi doskonale zarówno w resorcie handlu, jak i przemysłu lekkiego, a także w innych resortach, pośrednio lub bezpośrednio związanych z produkcją rynkową, powinno stać się alarmującym sygnałem, mobilizującym do natychmiastowych, wspólnych działań, zmierzających do poprawy tego stanu rzeczy. Zapewne w 1987 roku nie będziemy jeszcze — wbrew tytułowi — chodzić „goło i bosó”, ale jeśli zapowiadająca się tendencja do pogorszenia sytuacji rynkowej utrzyma się w dalszych latach — może grozić poważnymi skutkami natury również społecznej.

TO, O CZYM MOŻNA USŁYSZEC

Nie można wydawać zdecydowanych opinii o zaopatrzeniu rynku w najbliższych miesiącach na podstawie ekspozycji, zaprezentowanych w czasie targów publiczności. Nie nastraja optymistycznie jednak i inna, już nie bezpośrednio dla zwiedzających przeznaczona część poznańskiej imprezy, a mianowicie wypowiedzi przedstawicieli resortów handlu i przemysłu lekkiego, centralnych władz rzemiosła oraz „szeregowych” handlowców i producentów.

„W założeniach **II Targów Krajowych Wiosna '87** podkreślono, że są one imprezą handlową, stwarzającą warunki do: zaopatrzenia ludności w przemysłowe towary konsumpcyjne, realizacji dostaw artykułów objętych zamówieniami rządowymi i innych towarów oraz zainteresowania społeczeństwa postępem w zakresie zwiększania ilości towarów, rozwoju asortymentowego, wzornictwa i polepszenia jakości wyrobów” — jest to fragment tekstu, zamieszczonego w jednym z biuletynów targowych. Na ile spełnione zostały trzy podstawowe, wymienione w nim założenia imprezy?

Najłatwiej ustosunkować się do punktu trzeciego — czyli do wzrostu zainteresowania społeczeństwa. Wydaje się, że jest ono wystarczająco duże — nawet bez targów i giełd, a zwłaszcza, niekiedy nawet gwałtownie, gdy tylko pogłębiają się trudności z zakupami. Chyba że autorem chodziło o wzrost zainteresowania — który w niedalekiej przyszłości przyniosłyby konkretne, rzeczowe efekty — tej części społeczeństwa, która produkuje towary rynkowe lub nimi handluje.

Punkt drugi — to zamówienia rządowe. Ich celem, a nieco wcześniej — również celem programów operacyjnych, była ochrona najbardziej podstawowych potrzeb społecznych w warunkach kryzysu. Stwarzały one możliwości skoncentrowania wysiłków — a przede wszystkim środków — na wybranych, najważniejszych zadaniach produkcyjnych.

W trakcie realizacji okazało się jednak, że efekty choć niewątpliwie, są mniejsze od zamierzonych i z roku na rok malejące (przypomnij-

TAM, GDZIE STOJA WIEZOWCE

są oczywiście zsypany. Tam jednak gdzie stoją kilkupiętrowe bloki zsypany nie ma są śmietniki i są kłopoty z ich opróżnianiem. Co prawda mówiono się o wybudowaniu oczyszczalni MPO, która gadykalnie rozwiązałaby problem śmieci, ale wiadomo: nikt nie chce mieć takiego przybytku w sąsiedztwie własnego bloku.

Oto treść telexu, który wysłał RSM „Lokator” do „Teleexpressu”:

„W piątek (tj. 23 stycznia) na osiedlu Radogoszcz-Wschód, w którym mieszka 12 tys. mieszkańców nie przyszło do pracy wszyscy gospodarze domów, mając zwolnienie L-4”.

osiedla. Cokolwiek, art. papiernicze, nawet 1001 drobiazgów. Mowy nie ma, właściciel uparł się na hazard. Co najwyżej skłonny jest odsprzedać swój pawilonik za... 2 mln zł. A budynek ma powierzchnię około 2-3 tysięcy „Ruchu”. Podobno jedynym wyjściem jest wydanie nakazu rozbiórki i zbudowanie na miejscu obecnego pawilonu takiego samego. Nie logiczne? No więc jak porozumieć się z upartym „prywatyzatorem” i odzyskać teren, na którym mógłby się rozwijać tak potrzebny mieszkańcom handel?

Osiemnastu tysiącom mieszkańców zachodniej części Radogoszcza wystarczyłby jeden bar „Glenio” przy Anytowej. A na dodatek w osiedlu są trzyczęściowe zabudowania na parcie MPK. Niedługo przybędzie tu jeszcze 10 tysięcy mieszkańców. O ile najbardziej zachodnią część Radogoszcza

kim odbyła się ta rozmowa. Ale świadczyć to może o tym, że nie ma spraw nie do załatwienia. A może sprawę krańcówki tramwajowej w Helenówku dałoby się załatwić podobnie? Może dyrektor pelen jest dobrej woli, tylko doradcy nie przekazują mu korespondencji i próśb pasażerów i dbających o ich potrzeby instytucji?

GDYBY NAGLE TRZEBA BYŁO ZATELEFONOWAĆ

byłoby ogromne trudności bowiem dwa automaty usytuowane obok sklepu nr 208 często są zapchane pięciocentowymi i łączą się nie chcą. Mieszkańcy dwunastotysięcznego osiedla czasem potrzebują zadzwonić. Jest jeszcze kilka()

stawami ciepła. Przyczyna tego jest jedna: lokalizacja. Powstają one — jak to się nieładnie mówi — na peryferiach. Powstają od zera. Trzeba uzbudować teren, wybudować bloki i wreszcie zadbać o budo-wnictwo towarzyszące, handel, usługi, szkoły, wszystko. Tam, gdzie kiedyś rosło tyto, teraz rośnie małe miasto w mieście, kolejna „mała sypialnia” z wielkimi problemami, która rośnie i czerpie z naszych kieszeni grube miliardy.

A tymczasem w mieście, tym „prawdziwym” czyli w centrum i okolicach, straszą wolne przestrzenie. Teren uzbrojony jak się patrzy! Jest wszystko: kina, sklepy, biblioteki, domy kultury, komunikacja...

Codziennie widzę ze swojego okna olbrzymi pusty teren w kwadracie: ulic Kaspzaka, Drewnowska, Gandiego i al.



Mówi: Mateusz Zawadzki

Mgr inż. rolnictwa, absolwent WSR w Szczecinie, rocznik 1937, członek PZPR. Od 12 lat dyrektor Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Miasta Łodzi. Żona Anna, ekonomistka, dwóch studiujących synów. Mierzy 178 cm, po rzuconiu pałania waży 83 kg. Nie jest rolnikiem mieszanym ani przywiązany do biurka.

— Urodziłem się w Rdutowie na Ziemi Kutnowskiej. Ojciec przodował we wsi, ale nie wypisał mi na brama „Kulak”, bo s 5 ha dobrej, wzorowo uprawianej ziemi zaliczono go do średniaków. Poszedłem na studia, ponieważ mało było ziemi.

— Ale własnego gospodarstwa pań się nie dorobił.
— Byłem zielarzem w „Herbapolu”, pegeerowcem, m. in. w Jantarowicach nad pięknym jeziorem, szefem działu w łódzkiej Centrali Nasienniej, zastępcą kierownika Wydziału Rolnego KW PZPR w Łodzi. Szefem był Lech Krowiranda.

— A od kiedy pan nie pali?
— Od dwóch miesięcy. Niedawno wypaliłem w towarzystwie trzy sztuki. Bałem się, że rano zaszkoczę, ale nie wzięło...

— Bardziej ciągle przy dobrej zakasce. Ale my w tym małym województwie, oprócz ludzi i kartek, wszystkich mamy za mało.
— Jeśli utrzymamy tendencję wzrostu hodowli trzody i bydła rzeźnego i rozwinie produkcję własnych pasz wysokobiałkowych dla drobiu, to po zbliżeniu potrzeb i stworzeniu puli paszów, reglamentacja zostanie miesiona.

— Póki co ludzi drażnią deputaty. W zakładach mięsnych biorą ponoć po 8 kilo mieszczenie.

— A w browarach pracownicy biorą deputatowe muto browarniane, za którym zabijają się chłopi, bo to najlepsza pasza jęczmienna dla krów. Deputaty wywalczyły związki zawodowe i ja tego nie zmienię.

— W silne mrozy punkty skupu podobne nie przyjmowały żywa. Zwierzęta marzły, głodowały albo wracały do domu.
— Mogło tak być, ale nie w naszym województwie Owszem, w I kwartale nasilają się dostawy żywa, jednakże skup przebiega prawidłowo.

— Czemu więc ludzie stoją w kolejkach po mięso i wędliny?
— Stoją, ale na kartki nikomu nie zabraknie.

— Bezkartkowych podrobów też jakoś nie widać.
— To nie jest sprawa dla Zawadzkiego. Trudno mi wypowiadać się w imieniu handlowców. Przypuszczam, że część podrobów rozprowadza się do bufetów fabrycznych. Jest ich mało, bo do Łodzi dostarcza się z Polski głównie półtusze, bez krwi i podrobów. Staraniem władz partyjnych administracyjnych udało się nam częściowo to zmienić. Sprawdzamy już żywe sztuki bydła i świnię do uboju na miejscu. Nie oddamy krwi, serca ani wątroby!

— Ktoś żywności nie należy tylko od polityki rolnej państwa i dobrych chęci Mateusza Zawadzkiego, ale i od przygotowania zawodowego rolników. Zadowolona pana baza dla oświaty rolniczej?
— Ogólnie jestem zadowolony. Dwa zespoły szkół rolniczych mają własną bazę dydaktyczną.

— A szkoła w Bratoszewicach?
— Korzysta z gospodarstwa Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego. Wzory są znakomite, ale ze współpracą różnie bywa. WOPR musi w ramach reformy gospodarczej dbać o własne interesy.

— Wiele narzeka na dostawy środków produkcji. Wydział Rolnictwa nie ma na to żadnego wpływu?
— Wydział tak krąży, jak mu centrala daje. My dzielimy to między jednostki stopnia podstawowego, chyba sprawiedliwie, bo uwag nie ma. A w gminach dzieje się sprzecz z udziałem samorządów. No, a że wszystkiego jest za mało, między innymi dołajrak, to już inna kwestia.

— Świego emasu domagane się „amiotkowania” kombinatu szklarniowego w Widzewie. Pan skutecznie odpiął ataki prasy, zwłaszcza warszawskiej.

— I mam satysfakcję, bo nasze starania znalazły uznanie w Urzędzie Rady Ministrów, gdzie istnienie kombinatów szklarniowych uznano za społecznie potrzebne.

— Nawet, gdy daje miliony złotych tefloytu?
— Rada Narodowa dołożyła do tego interesu zaledwie parę milionów. Wszystkie szklarnie opalane mazutem są deficytowe, ale w Widzewie nie jest jeszcze tak tragicznie. A gdyby fachowcy posłuchali nas i zamrozili szklarnie na zimę, straty byłyby mniejsze. Od tego roku państwo dojuje różnice między ceną węgla i mazutu, więc sytuacja się poprawi. Poza tym kompleksowa kontrola wykaże, ile na stratach zaważył sam mazut, a ile inne czynniki.

— Mówi się, że Zawadzki to nie tylko rolnik z urzędu.
— Po śmierci ojca w każdej wolnej chwili przez dwa lata jeździłem z Łodzi do Rdutowa, 100 km w obie strony i prowadziłem gospodarstwo. Teraz od wielu lat zagospodarowuję działkę w Grotkach. Lubię to, praca na działce pomogła mi wychować w dyscyplinie i obowiązkowości synów.

— Nie tak dawno zwizytował pana złodzieje. Na biednego nie trafili...

— He, he! Zawadzki to nie prominent, tylko skromny urzędnik państwowy. Cała moja rodzina, wzbudzając podziw sąsiadów, własnymi rękami zbudowała domek letniskowy. Jeżdżę do Grot-nika dacia, ale z pensji urzędniczej niewiele bym się dorobił. Stanałem na nogi dzięki pracy fizycznej i wsparciu ze strony matki, która sprzedała gospodarstwo w Rdutowie.

— Czego pana życzyć na pięćdziesiąt urodziny?
— Po takim pytaniu sztywnieję z powagi. Coś panu powiem. Dzieciństwo miałem ciężkie, wojenne, potem, mimo biedy, radość i zapal, odbudowa. Jeśli trafiał się przykre zakręty, to jednak w wolnej, spokojnej, niepodległej Polsce. Pragnąłbym, aby moje przyszłe wnuki nie razowały dzieciństwa dziadka...

— Dziękuję za rozmowę.
Rozmawiał: RYSZARD BINKOWSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mała sypialnia z dużymi problemami

„Lokator” wpadł na pomysł rozwiązania problemu z dozorcami. Kandydaci na to stanowisko muszą mieć kwalifikacje w zawodach potrzebnych administracji osiedla, np. elektryka, hydraulika, dekarza itp. i zanim dostaną służbowe mieszkanie, które jest główną zaletą dozorcy, muszą najpierw pracować w zakładzie budowlano-remontowym, a potem łączyć funkcję dozorcy z aspielową „złotej raczki”.

Inny pomysł RSM „Lokator”. Zamiast wolno stojących pawilonów i ciągów powstaje zastępcza sieć handlowa. Na sklepy i warsztaty usługowe wygospodarowały się partery bloków. Mnogość się też kioski. Są to oczywiście rozwiązania doraźne. Można też znaleźć wiele przykładów nieprawidłowości w funkcjonowaniu istniejącej już sieci handlowo-usługowej. Przykłady z Radogoszcza-Zachodu.

APTEKA JEST? JEST.

Ale co z tego, skoro otwarta jest tylko do szesnastej. Przychodnia lekarska czynna jest do dwudziestej, ale i tak nie ma gdzie zrealizować recepty. A ci, którzy pracują, najlepiej żeby byli zdrowi, bo do apteki czynnej do szesnastej nie zdążą.

Sklep spożywczy przy ul. Zgierskiej 236 jest. Jest. Ale co z tego, skoro czynny jest do czternastej! Gdy sklepowe zapomnia zamknąć go o tej godzinie i jeśli czynny jest — tak jak apteka — do szesnastej, wtedy na Radogoszczu jest wielkie święto.

Mieszkańcy od dawna postulują przeniesienie kiosku „Ruchu” z miejsca, gdzie dawniej był przystanek (przy UPT nr 17) tam, gdzie przystanek jest teraz. Bez odpowiedzi. Mieszkańcy postulują, by na osiedlu uruchomić pralnie i pawilon usług rzemieślniczych. Jak dotąd nikt nie kwapił się o wydanie opinii lokalizacyjnej. Za to przy ul. 11 listopada 27 stoi od lat pusty pawilon. Obecny właściciel dostał zgodę na prowadzenie handlu artykułami spożywczymi, ale zamiast sprzedawać kartofle, urządził tam salon gier i automatów. Bez zezwolenia. Wobec Rada Osiedlowa wydała zakaz takiej działalności proponując by właściciel urządził tam sklep w którym sprzedawano by artykuły potrzebne mieszkańcom

osiedla. Cokolwiek, art. papiernicze, nawet 1001 drobiazgów. Mowy nie ma, właściciel uparł się na hazard. Co najwyżej skłonny jest odsprzedać swój pawilonik za... 2 mln zł. A budynek ma powierzchnię około 2-3 tysięcy „Ruchu”. Podobno jedynym wyjściem jest wydanie nakazu rozbiórki i zbudowanie na miejscu obecnego pawilonu takiego samego. Nie logiczne? No więc jak porozumieć się z upartym „prywatyzatorem” i odzyskać teren, na którym mógłby się rozwijać tak potrzebny mieszkańcom handel?

ZWRÓCILI SIĘ DO MPK Z PROŚBĄ

o przedłużenie trasy tramwajowej nr nr „4” i „11” do Helenówki i żeby obecna pętla na Julianowie przeniesiona została właśnie na Helenówkę. Na to MPK niezmiennie odpowiada, że pętla na Helenówku jest jednorozowa i nie pomieści takiej liczby tramwajów, nie ma jak organizować tam ruchu i postojów, a zresztą to niemożliwe i basta.

A gdyby tak wybudować na Helenówku drugi tor? Jeżeli nie ma torów (w co wątpliwość należy) i rozjazdów wystarczy „przenieść” je z Julianowa. No, ale jeżeli nie ma chęci... A przecież tramwaje jadące ulicą Zgierską to dla większości mieszkańców Zachodu i Zachodu jedyna możliwość wygodnego dojazdu do miasta.

W perspektywie rysuje się linia autobusowa na Radogoszczu-Wschodzie i autobus nocny, bowiem nocą jak dotąd osiedle to nazwać można „pułstynią komunikacyjną”. Tyle wywalczono. I wywalczono jeszcze jedno: otóż swego czasu władze MPK wpadły na „genialny” pomysł, żeby skrócić linię autobusów „K”. Dyrektor otrzymywał pisma i prośby, by przywrócić usytuowanie dawnej krańcówki, ale jak było, tak było. I wreszcie podczas jednego ze spotkań, w na polu prywatnej, na polu służbowej rozmowie podjął wreszcie decyzję: przywrócić. Rozmowa odbyła się w czwartek, a w poniedziałek „K” znów miał krańcówkę w dawnym miejscu. Nieważne kiedy i z

telefonów w instytucjach, ale to trochę za mało. Okręgowy Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny na razie nie widzi możliwości rozwiązania problemu telefonów na osiedlu. Zalecana sieć napowietrzna byłaby tylko przewizorką i marnowaniem pieniędzy, a decyzję o kopaniu i przeprowadzaniu linii podziemnych też nie ma kto podjąć.

Mimo wszystko trzeba uczciwie przyznać, że inwestor generalny Radogoszcza RSM „Lokator” ominął wiele problemów, na które uskarżają się inne nowo budowane osiedla mieszkaniowe w Łodzi. Przede wszystkim mało jest „pośliszów” z oddawaniem do użytku nowych mieszkań. Budynki wykonywane są solidnie i nacaganych odbiorów nie ma. Równoległe z blokami powstają drogi i ulice, więc mieszkańcy nowych bloków nie muszą przez ileś tam miesięcy co tydzień w glinie i błocie, omijając po drodze przepaściste wykopy. Etapy budowy osiedla dostosowano do możliwości i inwestor działa dość elastycznie, choć konsekwentnie. Ponadto wschodnia część osiedla posiada dobre, ciekawe założenia architektoniczne, a „Lokator” stara się, mimo trudności z kredytami bankowymi, nadać im realny kształt nie tylko na makietach, ale i w rzeczywistości.

RSM „Lokator” zyskuje sobie wiele pochlebnych opinii i wśród członków spółdzielni mieszkaniowej, i wśród władz miasta i dzielnicy, mimo że rozwiązanie wielu problemów leży poza możliwościami spółdzielni. Na przykład Radogószcz może wkrótce wyschnąć z pragnienia, choć usytuowany jest — o ironio! — na terenach dość podmokłych. Co prawda doprowadzone wodociągi, ale woda ciśniona na Sikawie ciągle jest w budowie. Wschodniej części Radogószcz grozi więc sytuacja, że woda z kranów płynąć będzie tylko na wysokość drugiej, najwyżej trzeciej kondygnacji.

GLÓWNE PROBLEMY NOWYCH OSIEDLI

Pozostają wciąż te same: luki w budownictwie towarzyszącym, chroniczne niedoinwestowanie, kłopoty a to z dostawami wody, a to z do-

JACEK GŁĘBSKI





coś jest piękniejszego niż wysokie drzewa
lecz czym wiersz ten
będzie do drzewa w porównaniu
niczym będzie
niczym nie będzie
więc może lepiej napisać przeciw
że nie wszyscy to drzewa
a widząc wiedzą poezja
może lepiej pokazać kto



jestem pokoleniem
które nie zna wojny
które nie pracowało od dziecka
ani po szesnastu godzin
jestem pokoleniem
zawsze prawie sytem
a może mimo
wszystko wolno nam pisać
ostatnie na pytanie
po co rosną kwiaty
wiemy tyle samo

Wojna

ludzie strzelają
przez dzień cały a nocą
smyczony bóg
musi nosić kule
kobiety pomstują
na boga na boga
wołają i gromy ślą w niebo
bogu ducha winny bóg
nawet za swym plecem
nie czuje się bezpieczny



nie odpowiada mi
futurystyczne 3M
ani moje M4
gdzie wiszenia na ścianie
odmawiają obrazy
nie odpowiada mi samochód
co sam chodzi a drugiemu nie da
wypadki jeżdżą po ludziach
nie odpowiadają mi
gdyż wcale do nich nie wołam



a kiedy znów
barykady za bary
się wzniosą a my
zostaniemy honorowymi dawcami
krwi w miejskie kanały
kiedy koszula
znów będzie bandażem
a bandaż codziennym odzieniem
gdy książki
spłoną ze wstydu że znów
nie nie dają powiem
człowieku jako taki
nie bądź taki



sąd uznał mnie winnym
nieuroniłszy łyżki na wieść
o trzęsieniu ziemi w Meksyku
i skazał na karę zjedzenia
przez głodujący naród etiopii

Prof. dr Zdzisław Skwarczyński (15 II 1914 – 22 III 1987)

W Alei Zasłużonych Omen-
ta Kulturalnego na Zarzewie
Łódź akademicką pożegnała 28
marca Profesora Zdzisława
Skwarczyńskiego, od początków
związany z Uniwersyteciem
Łódzkim, rektora UL w latach
1969–1972.

Łódzianin z urodzenia, Zdzi-
sław Skwarczyński pochodził z
rodziny robotniczej, w której
żył także tradycje
SDKPIL. Ukończył Społeczne
Polskie Gimnazjum Męskie przy
ul. Pomorskiej (Nowotki), do któ-
rego w latach 1929–1933 doje-
dział z Koluszek (przenosił się
tam rodzina). W latach 1933–1937
studiował polonistykę w Uni-
wersytecie Warszawskim. Jego
zainteresowaniem patronowali
Zofia Szmajdzińska, Józef Ujejski
i Julian Krzyżanowski, którego
młodszym asystentem został w
r. 1937. Lata okupacji przeżył
w Warszawie jako robotnik bu-
dowlany, nauczyciel w tajnym
nauczaniu i urzędnik w Radzie
Główniej Opiekunów. Po pow-
staniu warszawskim uczestniczył
w akcji pruszkowskiej ocalania
z gruzów księgozbiórów publi-
cznych stolicy. 15 lutego 1945
podjął pracę w Uniwersytecie
Łódzkim jako starszy asystent.
Był także lektorem Spółdzielni
Wydawniczej Czytelnik i od 1
lipca 1947 do 1 grudnia 1949
członkiem zespołu redakcyjnego
tygodnika „Wies”.

Gromadzone przez Zdzisława
Skwarczyńskiego materiały do
tematu „Chłop w powieści pol-
skiej 1776–1863” uległy dwu-
krotnie zniszczeniu w 1939 i
1944 roku, powojennym jednak
plonem tych zainteresowań był
doktorat (1948) u Juliana Krzy-
żanowskiego. Rozprawa ukazała
się drukiem pt. Chłop i sprawa
chłopska w romansie Stanisła-
wa Wyspiańskiego (Łódź 1950). Adiunktu-
ra (1949), stanowisko zastępcy
profesora (1952), tytuły profes-
ora nadzwyczajnego (1954) i
profesora zwyczajnego (1971)
znaczyły etapy awansu nauko-
wego.

Wnosząc w 1954 r. o nomi-
nację profesorską Uniwersytet
Łódź podkreślał cechy Zdzi-
sława Skwarczyńskiego już wó-
wczas trwał i dominujący:
„wielkie poczucie obowiązku i
troskę o jak najlepsze zrealizo-
wanie powierzonych mu zadań”,
ogromne oddanie uczelni, wiel-
ką ofiarność w pracy, będącą
„bezpornie jednym z tych czyn-
ników, które podnoszą poziom

naukowy, dydaktyczny i organi-
zacyjny Wydziału” (to wszystko
„mimo ogromnego obciążenia
zadaniami dydaktycznymi, tru-
dnymi warunków rodzinnych i
niedomagania na zdrowiu”), a
także szczerze postępową postawę
społeczną, „co ma swe mo-
cne oparcie w przebytej przezeń
trudnej drodze życia (...) i w
fakcie, że był arbitriumem jed-
nej z najbardziej postępowych
łódzkich szkół średnich sprzed
wojny”.

W roku akademickim 1952/53
Zdzisław Skwarczyński był
prodziekanem, 1953–1955 dzie-
kanem Wydziału Filologicznego
UL; w r. 1968/69 prorektorem,
1969–1972 rektorem Uczelni. Od
r. 1956/57 kierował Zakładem
Literatury Polskiej XIX wieku
w zespołowej Katedrze Literatu-
ry Polskiej, którą następnie kie-
rował od 1 listopada 1969. Gdy
w wrześniu 1970 r. utworzono
Instytut Filologii Polskiej UL,
Profesor został jego dyrektorem
(do maja 1979). W Instytucie
kierował także Zakładem Lite-
ratury Nowożytnej. Po likwi-
dacji Instytutu Filologii Pol-
skiej w listopadzie 1981, do
przejęcia na emeryturę (1984)
kierował Katedrą Literatury
Polskiej Oświecenia, Pozytyw-
izmu i Młodej Polski.

Czynny w Łódzkiej Towar-
zystwie Naukowym, od 1958 był
redaktorem naczelnym rocznika
„Prace Polonistyczne” (poświęco-
ny jest Mu tom 41: 1985), redag-
ował „Sprawozdania z Czynno-
ści i Posiedzeń ETN” oraz se-
rie filologiczną „Zeszytów Nau-
kowych Uniwersytetu Łódzkiego”.
Przywiązany do dziedzic-
twa Towarzystwa Literackiego
im. A. Mickiewicza i do jego
miejscowych, tuż powojen-
nych tradycji, w początku lat
szesćdziesiątych doprowadził do
ich odrodzenia: 1961–1975 był
prezesem Oddziału Łódzkiego,
a do końca — członkiem Zarza-
du Oddziału. W 1963 r. został
powołany do Komitetu Nauk o
Literaturze PAN, przez szereg
lat należał do Rady Naukowej
Instytutu Badań Literackich
PAN. W 1968 r. uczestniczył w
VI Międzynarodowym Kongre-
sie Słowistów w Pradze.

Był wszechstronnym mawcą
literatury polskiej XVIII–XX
w. Jego głębokiemu rozumieniu
swoistości literatury i kultury
duchowej towarzyszyło wielo-
stronne krytyczne przekonanie,
że znalazła się u nas literatura

pod wypacającym wpływem mi-
tów zbiorowych. Opór wobec
tendencji mitotwórczych manife-
stował — w postaci zwykle nie-
zmiennie treściwej i przez to in-
spirującej — we wszystkich
swoich pracach, a na uczniach
wycisnął czytelne w środowisku
polonistycznym — mimo zindy-
widualizowania — znamie an-
tyirrationalistyczne. Intensywnie
pobudzał również badania nad
kulturą literacką Łodzi i regio-
nu, wyprowadzając je z opiot-
ków zaściankowości.

Wychowawcą był do głębi
swej istoty. Kształtując i kształ-
tując promieniowanie Profesora
było Jego ekspresją tak same-
 — lub nawet bardziej je-
szcze — jak twórczość własna.
Wysokie poczucie godności wła-
snej obawiał skromnością.
Niezmiennie njujący w sposo-
bie bycia, odgrądzając się nace-
chowanim intelektualizmem
żartem i kpina od postaw roz-
sądliwych, których nie tolero-
wał. Wiedzy Jego styl nabierał
szczególnego blasku. Byłoby w
tym stylu i ducha, gdyby się
rzekło, że zasady Profesora dla
ciała nauczającego były czę-
sto niezmienną siłownością przez
sam fakt swej realności.

Związek Zdzisława Skwar-
czyńskiego z Uniwersyteciem był
niezłukowy. Nie przyjął ani
wyjednane dlań przez Wacha-
wa Borowego przeniesienia do
Uniwersytetu Warszawskiego,
ani (1972) nominacji na dy-
rektora Instytutu Badań Litera-
ckich. Pracę w Uniwersytecie
Łódzkim rozumiał jako obowią-
zek wspierania tendencji inte-
gracyjnych. Kierując Uczelnią
mawiał w chwilach zmęczenia
że rektor jest jak król na-
rodu szlacheckiego zmuszony
obserwować, jak każdy elagnie
w swoją stronę postaw sukna
Rzeczypospolitej. Nie ustawał
jednak w obronie tego, co trak-
tował jako dobre wspólne. Wo-
bec prywaty i partykularizmów
w nauce był nieubłagany — ze
szkodą własną. Pod tym wzglę-
dem był sumieniem uczelni i
Wydziału i jak sumienie był
traktowany. Po hold/pośmierci-
ny.

A. P. J. T.

Kronika kulturalna

W Zamku Królewskim, w Warszawie,
30 marca br. odbyło się uroczyste spotkanie,
inaugurujące obchody 80-lecia powstania
zorganizowanego ruchu laickiego w Polsce.
Znaczenie ruchu wolnomyślicielskiego w
upowszechnianiu idei humanizmu i w
zwalczaniu postaw irracjonalnych zaakcentowali
w wystąpieniach: przewodniczący komitetu
obchodów — Józef Ogiński-Michalski i
przewodniczący Narodowej Rady Kultury —
prof. Bogdan Suchodolski.

PRZED 50 laty, 29 marca 1937 r., zmarł w
Łodzi Karol Szymanowski, jeden z
najwybitniejszych twórców w historii
polskiej muzyki.

Obchody rocznicowe odbywały się w całym
kraju. Impreza o największym zasięgu było
zorganizowane w Krakowie
II Międzynarodowe Biennale Muzyki im.
Karola Szymanowskiego.

W hołdzie pamięci artysty wieniec na jego
grobie, na Skałce, złożył minister kultury i
sztuki Aleksander Krawczuk.

NA Międzynarodowych Targach Książki w
Lipsku Polska zaprezentowała 1100 publikacji
ze wszystkich dziedzin literatury.

REWELACYJNIE zapowiada się tegoroczna
aukcja książki antykwarycznej w Łodzi, która
odbędzie się 7–9 kwietnia br.

Na liczącą wystawione zostanie bowiem
nader rzadkie dzieło Sebastiana Munstera
„Kosmografia”, wydane w roku 1628 w
Bazylei. Jego cena wywoławcza wynosi 950 tys.
złotych.

Duże zainteresowanie powinien wzbudzić
również księgozbiór po sławnym kolekcjonerze
i wieloletnim kustoszowi numizmatyki Anatolu
Głucholcu. Zawiera on pozycje, które są
marzeniem wielu zbieraczy. Jednym słowem,
wielkie emocje!

MINISTER kultury i sztuki, prof. Aleksander
Krawczuk został prezesem ZG Towarzystwa
Przyjaźni Polsko-Włoskiej.

„CZY łatwe być młodym” — to tytuł
dokumentalnego filmu, który stał się
sensacją ostatnich dni w Moskwie.
Film został nakręcony w Rydze. Bohaterami
filmu są młodzi muzycy rockowej, członkowie
grup punków, uczniowie ryskich szkół.
Przedstawia problemy młodego pokolenia
radzieckiego, jego stosunek do świata dorosłych,
do własnej samotności i zagubienia.

W Hollywood rozdane po raz 58 nagrody
Amerykańskiej Akademii Filmowej: „Oscary”.
Cztery „Oscary” zdobył film „Pluton” Olivera
Stona — dramat wojenny z okresu
amerykańskiej interwencji w Wietnamie.
Główne nagrody aktorskie za rolę
pierwszoplanową otrzymali: Paul Newman i
Martin Malice.

MIŁOŚNICY plastyki w naszym mieście nie
mogą narzekać na brak interesujących imprez
artystycznych.

Od 2 kwietnia w Salonie Sztuki Współczesnej
przy ul. Piotrkowskiej 86 czynna jest wystawa
malarstwa Irenyusza Pierzgańskiego, zaś w
Galerii Sztuki BWA przy ul. Wólczańskiej 31
łódzianie mają okazję zapoznać się z dorobkiem
twórczym Mieczysława Janikowskiego
(1912–1968).

W Ośrodku Propagandy Sztuki, w parku im.
Henryka Sienkiewicza, od 10 kwietnia
prezentowane są prace Wiesława Garbalińskiego
(wystawa jubileuszowa z okazji 30-lecia pracy
artystycznej).

Na Starym Rynku w Galerii Batuckiej od
14 kwietnia wernisat grafiki i collage'u
Mariusza Wilczyńskiego.

O 11 porzej wzbogacił się w bieżącym roku
popularna seria PIW „Biografie sławnych
ludzi”, m.in. „Lukrecja Borgia” Marii Belonci,
„Rousseau, Mirabeau, Robespierre” Alberta
Manfreda, „Talleyrand” Jeana Oriexa,
„Cromwell” Christophera Millsa, „Stanisław
Żółkiewski” Jerzego Besali.

PRZED 100 laty ukazał się w Warszawie
pierwszy podręcznik języka międzynarodowego,
wydany przez Ludwika Zamenhafa pod
pseudonimem „Doktor Esperanto”.

W Muzeum Historii Ruchu Młodzieżowego
(ul. Gdańska 107) została otwarta ciekawa
wystawa pt. „Amatorska twórczość artystyczna
i kolekcjonerstwo działaczy ruchu
młodzieżowego”.

Baśń o wolności

Krytyka, który dotknął rynek
księgarski w takim samym sto-
pniu, jak inne sfery życia gos-
podarczego i kulturalnego, wy-
daje się powoli ustępować,
zwłaszcza jeśli chodzi o litera-
turę dla dzieci i młodzieży.
Okazuje się jednak, że ilość u-
parcie nie chce przechodzić w
jakość — książek jest co praw-
da coraz więcej, ale ich war-
tość, szczególnie jeśli nie są
to wznowienia, niejednokrotnie
budzi poważne zastrzeżenia i
kontrowersje. Bodaż najtrud-
niejsze zadanie stoi przed pisa-
rzami podejmującymi tematykę
współczesną, toteż wielu auto-
rów chętnie wybiera uniwersal-
ną konwencję baśniową, od-
wołując się przede wszystkim
do wyobraźni i uczuć, pozwa-
lając na pełną swobodę twórc-
czą w zakresie środków ekspre-
sji i doboru realiów świata
przedstawionego. Nie oznacza
to oczywiście, że pisząc baśń
czy bajkę łatwiej „oszucać”
młodego czytelnika, niezwykle
przecież wymagającego i wy-
czulonego na wszelkie objawy
zakłamania i nieszczerości.

„Kubus i słowik”, pióra Eu-
geniusza Iwanickiego, to w
świecie powyższych uwag książ-
ka jednocześnie typowa i za-
skakująca: typowa, bo oparta
w znacznej mierze na poetyce
baśni; zaskakująca, bo niewy-
klike dojrzała, wykraczająca po-
za ramy konwencji, znajdująca
liczne istotne odniesienia

do skomplikowanej rzeczywisto-
ści współczesnej. Książka ta
zacziera granice pomiędzy lite-
raturą młodzieżową i literaturą
dla „dorosłych”, pozbawio-
na jest bowiem tak nieśmiałości
(a tak często obecnej w powie-
ściach dla młodzieży) naiwno-
ści, wynikającej z wyidealizowa-
nia, kompletnego niezrozumienia ocze-
kiwań i świadomości czytelnika
młodszego pokolenia. „Kubus
i słowik” wyraża powściągnię-
tą tęsknotę za wolnością, za
równouprawieniem natury,
głosi wiarę w nieprzemijające
ideale przyjaźni, lojalności,
niewzruszonej miłości do wszy-
stkiego, co żyje, co jest Ży-
ciem, czyniąc to w sposób
przejrzysty, bogaty w metafo-
rykę i na tyle wyrafinowany,
że zdolny zadowolić nawet
wybrednego „dorosłego” od-
biórce. Fantazja i wmyślenie
mieszają się tu z rzeczywisto-
ścią, a wyrażenie ironicznie i
krytycznie przedstawionymi e-
lementami współczesnego świa-
ta, które najbardziej ostro i
przenikliwie odczuwa dziecko,
nie skażone jeszcze cynizmem i
brutalnością cywilizacji, u-
trzymując naturalną i niecy-
wilizowaną wiedzę z oświe-
cą, mądrą i sprawiedliwą. Przy-
roda (z przyczyn formalnych
niewyidealizowana przez
autora), ze sferą innego wy-
miaru, dostępnego jedynie isto-
tom patrzącym i doznającym
inaczej, prościej, na przekór

przeciętności. Eugeniusz Iwa-
nicki nie pozuje przy tym ani
na „starego kumpla”, podsta-
wiałego kabotyńca, który zjadł
wszystkie rozumy i wszystkie
wzrosty, ani na „dobrego
wujka”, wielkodusznie pouczają-
cego nie mających „życia”
bohaterów i rozdających
na prawo i lewo jedy-
nie słuszne rady; autor „Ku-
busia” traktuje swych czyteln-
ków z całym szacunkiem, usna-
jąc ich intelektualną i uczuciową
autonomię, pragnie podsu-
nąć im materiał do głębszych
przemysłów, nie mdlącą papkę
z kilku przedziwnych sloganów.
Baśniowa konwencja wyko-
rzystana zostaje w „Kubusia”
twórczo, nie odwrotnie.

Książka Iwanickiego spełnia
dwa podstawowe warunki, de-
cydujące narzecz o wartości
powieści dla młodzieży: jest
ciekawa i prezentuje niebanal-
ne walory wychowawcze. Nie-
trudno dostrzec (niestety) jej
niewątpliwie zalety na tle pa-
noszących się obecnie w kul-
turze młodzieżowej kieku i za-
mory, żerujących na pływaniu
mysłowej i paraliżującym bra-
ku wyrobienia estetycznego
wśród odbiorców. Warto, aby
młody czytelnik, mimo niezbyt
ehyba szczęśliwego tytułu i pa-
skudnej szaty graficznej, się-
gnął po „Kubusia”. I aby go
przemyslał.

MACIEJ
ŚWIERKOCKI

Eugeniusz Iwanicki — „Kubus
i słowik”. Krajowa Agencja
Wydawnicza Oddział w Łodzi,
Łódź 1986, wyd. 4, nakład
100 000 egz.

Wielki Ben czytaj: Ludwik Benoit

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Zgadzam się na organizowanie jubileuszy pracy aktorskiej pod warunkiem, że jubileusz będzie uroczystością w taki sposób, jak to czynił Ludwik Benoit z okazji swego czterdziestolecia.

Gdy w wieczór jubileuszowy dnia 23 marca br. w Teatrze Nowym podniosła się po raz ostatni kurtyna, ukazując tradycyjny fotel dla jubilat, koło kwiatów i zgromadzone na scenie zespoły aktorów i zespoły chóralistów, można by przewidywać najgorsze: jeszcze jedna feta tego rodzaju, schematyczna, pompatyczna i nudna. Ale nie z Benem takie zagrani!

Zbyt głębokie podkłady humoru i uwrażliwienia na komizm złożyły się na jego osobowość, człowieka i artystę, by mógł on dopuścić do panoszenia się frazesu i sztampy. Podczas całej uroczystości nie przestawał być solistą i dy-

wrostek oglądałem w niej Solińskiego (też Ludwika), który błysnął przy tym swym precyzyjnym warsztatem aktorskim. Już po wojnie, w 1954 roku, w Teatrze im. Jaracza rolę tę zagrał niesłusznie zapomniany (sic transit gloria mundi!), świetny aktor Leon Łuszczewski, a sztukę reżyserował sam „Lapa”, Stanisław Lapiński, o którym fama nieścisła, że w życiu nie ustępował w skąpstwie Harpagonowi. Ale niech mu ziemia lekka będzie, aktorem był znakomity!

Wybierając sobie rolę na jubileusz, Benoit powtórnie brał na siebie to bynajmniej niełatwe zadanie. Oto niemal u progu kariery aktorskiej, w 1951 roku, przyszło mu zagrać Harpagona w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Obsadziła go zaś w tej roli reżyser Maryna Broniewska. Ben przekroczył wtedy zaledwie trzydzieści lat! Nie widziałem tego

ro Moliera i wspaniałe wyciszenie sceny jest w stanie porazić siebie z tymi niebezpieczeństwami. Pisarz obudował główną namietność bohatera innymi cechami, towarzyszącymi i nadającymi postaci bardziej skomplikowany rysunek.

Benoit umie korzystać z bogactwa materiału, w jakie wyposażył Harpagona Molier. Przecież oprócz umiłowania pieniądza starzec jest próżny, ogarnięty grzeszną namietnością do młodej dziewczyny. Charakteryzuje go także samolubny, autokratyczny stosunek do własnych dzieci i do służby.

Już wkraczając na scenę, prezentuje Harpagona te wszystkie czynniki, które prowokują protest i chęć oporu wśród jego najbliższych. Cała akcja komedii doprowadzić ma do kompromitacji wad starca. W pewnym pośpiechu, niedbale rozwalając Molier inne wątki, wyraźnie mniej się nim interesując. Cudowne odnalezienie się rodziny, rozproszony w czasie burzy na morzu, okazać można za umowność. Ma być szczęśliwe zakończenie, niech więc będzie! Pisarz załatwia to ryczałtem. Dla niego istotne jest tylko pokaranie skąpca.

Trzeba nie łada kunsztu aktorskiego, by poradzić sobie z rolą Harpagona. Benoit jest jakby do tego stworzony. W miarę śmieszny, ale jednocześnie odrzucający i groźny, przedstawia rolę nienagannie aż po szczytową scenę rozpacz po utracie skatunki ze złotem.

Harpagon w interpretacji Benoit ma walor ponadczasowy. Jest personifikacją skąpstwa, ale w sprawie całej złożoności natury ludzkiej. Aktor jest nienaganny w geście, ruchu, mimice. Świeci swoje czterdziestolecie w sposób godny, budząc aplauz publiczności. Wielki Ben!

Czterdziestolecie Bena to pasmo wspaniałych ról teatralnych, filmowych i telewizyjnych. Ale do wieńca tych sukcesów dodać należy jeszcze jeden, natury osobistej. Oto doczekał się godnego następcy w synu Mariuszu. Absolwent Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, od kilku lat ceniony aktor scen warszawskich, w jubileuszowym przedstawieniu ojca zagrał gościnnie rolę Walerego. I to jak zagrał! Z temperamentem i podziwu godną swobodą. Mariusz Benoit obok swego ojca nie poddał się niekonsekwentnej i przez to niekierunkowej koncepcji reżyserkiej.

Inni wykonawcy nawiązali ze skądą do realizowanych postaci respektowali ten dziwny porządek, sprowadzając ich ruchy i przekazy tekstu do martwoty teatru marionetek. Jeśli coś takiego leżało w zamiarach reżysera przedstawienia Marii Kaniewskiej, to pomysł okazał się w praktyce raczej niebyty szczęśliwy.

W efekcie zdolni aktorzy jak Krystyna Tołewska (Marianna) czy Piotr Krukowski (Kleant) zagraли manierystycznie, chcąc jakby manifestować rzekomą zwierzęcość tekstu. Czemu ma służyć takie pseudonowoczesne odczytanie Moliera? Nie umiem znaleźć odpowiedzi.

W odmiennym, naturalistycznym kierunku poprowadziła rolę pośredniczki Frozyny Hanna Bedryńska. Janusz Kubiśki przerysował karykaturalnie postać Anzelma.

Być może zaciążył na aktorach jubileuszowy charakter premiery. Liczyć należy, że w dalszych przedstawieniach odnajdą się z lepszym skutkiem. To co oglądaliśmy jednak było aktorsko niespójne.

Dobrze oceniam natomiast dekoracje i kostiumy autorstwa Joanny Braun.

Molier: „Skapiec” (L'Avare), komedia w trzech częściach w przekładzie Tadeusza Boya-Zełeńskiego; scenografia — Maria Kaniewska; reżyseria — Joanna Braun; muzyka — Andrzej Żarycki; premiera w Teatrze Nowym 23 marca 1987 r.



Molier „Skapiec”. Na zdjęciu: Ludwik Benoit (Harpagon) i Mariusz Benoit (Walery). Foto: Romuald Sakowicz

skretnym jej animatorem. Ani na moment nie przestawał jej kontrolować, nie utracił dystansu wobec szczególnej swojej sytuacji. Nie pódadł się także łzawemu rozrzewnieniu.

Taki już jest ten nasz Ben — najweselejszy człowiek pod najbardziej ponurą powłoką. Jak z powieści Makuszyńskiego.

Mógł jednak łatwo przeholować z dowiepkowaniem. Przed tym chroni go jednak inteligencja i umiar w dociekanii pedantu. Zbyt szanuje teatr i widza, by popadać w przesadę. Przez całe czterdziestolecie aktorskiego trudu grał dla publiczności, myślał o rezonansie z jej strony, nigdy zaś pod publiczność. Bawił i czarował, nie schlebując, wzruszał, nie będąc cikliwym, zmuszał do myślenia, z myślenia nie zwalnając.

Punktem szczytowym jubileuszu, klasyczną kulminacją, były podziękowania. Po konwencjonalnych — wiadom, publiczności, kolegom — do stojący jubilat osunął się niespodziewanie na kolana, by z nieklamana pokorą podziękować panu Molierowi za to, że tak wspaniałą sztukę napisał, w której aktorowi przypadło grać tego wieczoru.

Molier! Jean Baptiste Poquelin, człowiek, któremu Francja ma do zawdzięczenia swą przodującą rolę w teatrze światowym. Jak Grecja Sofoklesowi, jak Anglia Szekspirowi, jak Rosja Czechowowi. Ten właśnie Molier, pisząc i wystawiając „Skapca” w 1668 roku w Paryżu, zagospodarował niesfawidomie jubileusz aktorów Bena.

Bo też rola Harpagona jakby wymarzona na benefis! Jako

przedstawienia, ale zdaje sobie sprawę, że do zagrani obłędnie starca młody aktor musiał się z gruntu przeobrazić, postarzyć charakterystycznie, ruchem, sposobem mówienia. Nie wiem, czy wybór reżysera nie był wówczas przypadkiem wymuszony brakiem odpowiedniego wykonawcy starszej generacji.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że gdy obecnie stanął Ben w te same szranki, ujmując trzydziści sześć lat kariery aktorskiej w kłame pod nazwą „Skapiec”, wszystkie atuty miał w swoim ręku. Z pewnością dojrzał do roli Harpagona wiekiem i doświadczeniem aktorskim. Nie dziwie się, że zechciał sobie włożyć rewanż za ową przedwczesną przygodę z wrocławskim „Skapcem”.

Na czym polegała zalety tej sztuki wraz z tytułową rolą, że tak się kwalifikuje na jubileuszowe obchody? Jest „Skapiec” skonstruowany w ten sposób, że rola Harpagona wysuwa się zdecydowanie na plan pierwszy. Inne postacie to raczej tło, środowisko, w którym ujawniają się cechy charakteru koryfeusza.

Molier potrafił stworzyć bohaterów swych sztuk na zasadzie jednej wyolbrzymionej cechy, a raczej namietności, której podporządkowane jest całe ich działanie. Namietność ta ustawia ich w opozycji wobec otoczenia, będąc podstawowym źródłem konfliktu. Tak jest w przypadku „Świętoszka”, „Mizantropa”, „Chorego z urojenia”. Tak ma się rzecz ze „Skapcem”.

A zatem koncert na jednej strunie? Czy to nie monotonne? Otóż nie! Genialne pło-

Zamiast pytania, które, z braku lepszych pytań, zadaje się reżyserowi: „Po co wystawił pan „Wesele?” — można by skierować pytania do siebie: „Po co wybieram się na sztukę, którą znam, jak mi się wydaje, całkiem nieźle? Czy oczekuję, że kolejne spotkania z „Weselem” odnowi dawne moje wzruszenia i przeżycia, utwierdzi w dawnych ocenach, czy też spodziewam się, że odśloni mi nieprzeciwne dotychczas odniesienia do chwili obecnej, a może nawet podejmę polemikę z wszelkiego rodzaju „Plotką o „Wesele?””

Może ktoś się zachnąć, że tak się rozwodzi nad swoimi oczekiwaniami, i że w ten sposób niejako przygotowuję sobie konspekt recenzji, ale przecież odpowiedź na te właśnie pytania stanowiły zawsze osnowę recenzentkich sprawozdań z tej sztuki. Nie ulega wszakże żadnym wątpliwości, że większość dzisiejszych widzów, z wyjątkiem może najmłodszych, chce się przekonać, czy w zwierciadle tej sztuki dostrzegają nie zmienioną narodową tożsamość, czy też będą musieli skonstatować, iż saszki w nich nieodwracalnie zmiana.

W zaklętym kręgu

JERZY KWIECIŃSKI

Początkowo mogło się zdawać, że nie nowego tym razem nie wyniknie. Sama dekoracja, wyraźnie inspirowana przez didaskalia, obejmuje dość ciasno przestrzeń sceny, tworząc zaciszny azyl, do którego zza bocznych drzwi dobiega jedynie przytłumiony wesełny rozgwar. Nie nie wskazuje widzowi, iż zostanie on oszołomiony dokonaniem choreograficzno-widowiskowymi, wiele natomiast zapowiada skupienie uwagi na tekście, na myślowej zawartości dzieła. A więc w zasadzie, „jak Pan Bóg przykazał”, bez specjalnych nowinek.

I rzeczywiście, od pierwszych kwestii, na marginesie okolicznościowego dialogu toczy się, bez zbytniego pośpiechu pełen wewnętrznych napięć dyskurs o sprawie polskiej, z piętyzmem dla sensu i urody poetyckiego słowa, które, ujęte w karby ośmiozłogłosek, czasem tylko zakłóconego, rytmowanego dość natrętnie, potrafi jednak stworzyć wrażenie naturalnej rozmowy.

Z dbałością o wierność autorowi prezentuje się nam cały ten barwny ciąg postaci, co dało podstawę powiedzeniu, iż w bronowickiej chałcie w tę wesełną noc roku 1900, wyznaczyła sobie spotkanie cała ówczesna Polska — chłop i szlachcic, ksiądz i miejski inteligent, Żyd i artysta. Jest to jednak, zauważmy, przekrój galicyjsko-krakowski zakątki Polski, zacofanego gospodarstwa, gdzie przemysłowiec i finansista nie mają jeszcze znaczenia politycznego i towarzyskiego, a w przeciwnieństwie do prężnej burżuazji warszawskiej nadaje tutaj ton życiu zghierarchizowany stan urzędniczy (patrz Boya-Zełeńskiego: „Znasz-li ten kraj”). Stąd też i dla radykalnego rewolucjonisty nie znalazłoby się tutaj miejsce.

A więc taka to jednak, dziesiętnastowieczna jeszcze, specyfika krakowskiego przekroju społecznego, stąd i sny o Polsce, choć zatrzymane nieraz wspomnieniami rzezi galicyjskiej, zapelniają się obrazami sukmany i kontusza, kosa na sztorc i szlacheckiej karabeli, a także cygańskiej peleryny, w nieustającej procesji, błogosławionej przez Matkę Boską Janogorską. Trzeba zdać sobie sprawę, że to nie ta wizja Polski, za którą w kilka lat później krwawiono obficie na łódzkiej i warszawskim bruku, a więc wizja to niejedyna i nie najpełniejsza.

Nie ujmując to oczywiście „Wesele” ani literackich uroków, ani nie obniża patriotycznej temperatury dzieła, sprawia jednak, iż tak wiele tu się dzieje w oderwanej od realiów sferze czystej idei lub na ile szlachecko-chłopskiego konfliktu, co — na szczęście dla wymowy dzieła — widzi krytycznie przenikliwym okiem sam Wyspiański, zjadliwie osadzając pięknoduchowskie studzenia i samolubstwo, obnażając jałowość artystowskiego programu „Eviva l'arte”.

Co jednak w tym, tak wiernym dziełu i nie uduziwającym go przedstawieniu Bogdana Hussakowskiego może być odebrane jako akcent świeży i odrębny (przynajmniej w stosunku do innych mi realizacji). Zarzykowałbym pogląd, że odczytało go można w interpretacji, powiedzmy, czterech głównych ról, czterech postaw określających kierunek i bieg zdarzeń.

A więc bardziej niż zazwyczaj rozbudowana samoświadomość Gospodara, który z chłodnym sceptycyzmem odnosi się do tego „co się komu w duszy gra”, rozumiejąc, że to tylko — nieprzewidywana — „dawność tak z nami walczą”. Gospodarz z wielką swobodą i naturalnością kreowany przez ZBIGNIEWA JOZEFOWICZA, nieustannie zaferowany i układnie towarzyszący, stara się wnieść w atmosferę górnych majacek ten swycki rozmowy. Nie od razu wytrącają go z tej postawy nocne odwiedziny nieznanej osobistości i jej tajemnicze słowa, którym Gospodarz usiłuje instynktownie nadać realny wymiar. Ale co dla wymowy utworu ogromnie ważne, że nawet on, człowiek trzeźwy, ulegnie przywidzeniu i podporządkuje się ogólnemu nakasowi, tak silnie bowiem zakorzeniło się w narodowej tradycji gotowość czynu, przez Słowo — Znak, przez Cud. I jego powoli narodowe fatum.

W postaci natomiast Pana Młodego dzięki roli LEONA CHAREWICZA znalazło wspaniałą ilustrację narodowe bałamucenie się.

Jak duże dziecko rozradowany i oszołomiony odmianą życia oczekuje, iż w prostym i zdrowym wiejskim trybie uczy się ze swojej miejskiej cherlawości i duchowych rozterek inteligentek. Naiwność chłopomańskich ciągłobłazowanego dekadenta ukazuje Charewicz z ciepłym i subtelny komizmem, traktując chło-

pów z patriarchalną wyzależnością, jak dzieci potrzebujące przewodnictwa.

Rachela natomiast, w wykonaniu BOŻENY ROGALSKIEJ, to ktoś, co przez wrodzoną wrażliwość i nabytą kulturę literacką podatny jest jak medium na aure upoetyzowanej polskości. Nie tuszuje jednak swej żydowskiej rozdzajowości, kulturowej egzotyki, przez którą czuje się niedostrojona do realnego życia, w nieustannym niespełnieniu, (bardzo pięknie i przejmująco wykonała hebrajski psalm) Rachela, bardziej niż Poeta, staje się inspiratorką przywoływania zjaw.

Wreszcie Czepec, bogato wyposażony przez STANISŁAWA JASKULKE, zamaszty w ruchu i geście, gwałtowny, z wszystkich przywarami polskiego chłopca, młotany sprzecznnością między poczuciem patriotycznej powinności a niewybrednymi pokusami doraźnej uciechy, hardy wobec panów, ale gotów znać ich przywództwo. W swoim rozumieniu świata (po części a-probowanym przez autora) Czepec, nie tylko z czolobitności ale i politycznej postawy wydaje się

podobniejszy do chłopca z Insurekcji, kościuszkowskiej niż do chłopów z dwudziestowiecznego ludowego zaciągu, który wkrótce uzna przywództwo Witosa.

Cztery postacie, ważna dla kierunku wydarzenia, cztery role niezwykle trafnie opasane, oprócz całej plejady (jak w „Kamieniu na kamieniu”, jak w „Ferdynandzie”) ról sprawnych i wyrazistych, na których wymienienie zabraknie miejsca. Radczyni EWY MIROWSKIEJ, co prawda trochę zbyt dystygnowana i kobieca jak na krakowską matronę; Kilimina BARBARY MARSZALEK — w triumfującym poczuciu swej witalności i urody; Dziennikarka ANDRZEJA WICHROWSKIEGO — precyzyjnie rozkładający akcenty roli; Poeta MARIUSZA WOJCIECHOWSKIEGO — w sam raz salony, zbytnio jednak koturnowy; Nos GRZEGORZA HEROMINSKIEGO — zakompleksiony inteligent z artystycznymi ciągłotami; Gospodyn! IRENY BURAWSKIEJ — zatroskana i opiekuńcza; Panna Młoda MARI BAREKOWSKIEJ-CYRWUS — bliska wiejskiemu autentyzmowi; Ksiądz ANDRZEJA KIERCA — umiający każdego „zażyć”; Żyd WŁODZIMIERZA KWASKOWSKIEGO — stylowy, pełen umiaru... A gdzie reżolutne miastowe panny, gdzie hoże wiejskie dziewczyny i jurni parobcy — łącznie z ważną dla sprawy rolą Jaska (PIOTR CYRWUS).

A wśród Osób Dramatu MARIUSZ SANITERNIK, któremu trzeba uwierzyć, że ukrył się w Chochole; BRONISŁAW WROCŁAWSKI — niepokojące Widmo; BOGUSŁAW SOCHNACKI — niezwykle przekonujący Stańczyk, o rozumie i godności meża stanu; SŁAWOMIR MISIUREWICZ, niecny hetman Branki; BOGUMIL ANTČAK — monolityczny Rycerz; STANISŁAW JAROSZŃSKI — oddeimonizowany Szela; STANISŁAW DEWOYNO — profetyczny wódz i lirnik ukraiński, Wernyhora.

Co do owych zjaw, to oczekiwałem, iż reżyser znajdzie jakiś nowy sposób na te upostaciowane marzenia i aspiracje bohaterów sztuki, przerażające zresztą tych niedolnych do czynu deklamatorów. Chciałbym mianowicie zobaczyć te widma w bardziej umownej niż zwykłe funkcji scenicznego. Już nawet w I akcie, w rozmowie Poety i Racheli wydawało mi się, że zaproszony Chochol pojawił się w konwencji Widm z krakowskich „Dziadów” Swinarskiego.

Wprawdzie tu nie mamy do czynienia z obzędem, który umożliwił pokazywanie zjaw jako „odgrywanych” przez bohaterów sztuki (na zasadzie teatru w teatrze). Pojawieniu się Chochola Isia (świetna w swoim epizodzie PAULINA HEROMINSKA (przepędzająca żartobliwie zjawę, wcale nie okazuje lęku, tylko bawi się jakby dopełniając jakiegoś obrzędowego rytuału. Z Chocholem zresztą dość prosta sprawa, ale czy ktoś poważiłby się, by ciałem tak samo ukazwane, a niezbędne, dramatis personae zaaranżować inaczej, zwłaszcza iż tylu bohaterów sztuki reprezentuje bractwo artystyczne, gotową do najniewygodniejszych pomysłów.

Sztuka została odczytana przez reżysera jak najsumiennie, najwierniej tekstowi (co wyduziło czas trwania przedstawienia), ale i z poetyckim polemtem. Znakomicie zwłaszcza wygrano nianse nastrojów rozpiewanej chaty w I akcie, a także tak ważne zakończenie, gdzie zdyktowano i urozmaicono chochołi taniec żywym, mazurowym krokiem, przez co może jeszcze bardziej przejmująco wypadł ten somnambuliczny korowód.

Ale w gruncie rzeczy, proszę państwa, czy tak nie stało się, że Jasko zgubił złoty róg? Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby był weń zadął i gdyby tak weselnicy ruszyli przed siebie lawą, z kosami na sztorc, ufini w moc zaklęć i pieśni, ale bez nikłego zaopatrzenia, nie mówiąc o programie na przyszłość, a potem, tego przetrzebienia, ale z charyzmą cierpienia i klęsk, przemyciliby się pojedynczo do dom, żeby po nocach snuć krwawo dzieje i, żadnych nauk niepomni, coraz to wyleźli słuch, czy rozbrzmiewa już nowe hasło i tak — da capo al fine...

Zakończenie „Wesela” Wyspiańskiego uważam za najoptimistyczniejsze z możliwych.

Stanisław Wyspiański: „Wesele”. Sztuka w 3 aktach. Reżyseria, Bogdan Hussakowski, scenografia — Paweł Dobrzycki, muzyka — Krzysztof Szwałdzier. Premiera 28 marca w Teatrze Jaracza w Łodzi.

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Wprowadzono na salę nową grupę. Przyprawiali ich mój wczorajszy oprawca. Ścisnęło mnie ze strachu w dolku. Schowałem się za pryzę. Stał w drzwiach i uważnie rozglądał się po sali. W pewnej chwili wyciągnął z kieszeni notes. Zimna strużka potu spłynęła mi po kręgosłupie. Grubas wolno kartkował notes...

— Skoczył! —

Nogi stawały się ciężkie, jak kłody, wrosły w ziemię.

— Włodek, ten pan się prosi — szepnął Zbyszek Witkowski.

Już mnie spostrzegł. Uśmiech triumfu wykrzywił mu twarz. Kłwał grubym paluchem. Wolno ruszyłem w jego stronę. Krzyknął na mnie po niemiecku, a ja nie rozumiejąc — zatrzymałem się. Podskoczył do mnie, zlapał za kłapy marynarki i prawie w powietrzu, wyniósł na korytarz. Bronilem się z całej siły. Chciałem rękami uchwycić framugę drzwi. Byłak był bardzo silny. Zrzucił mnie ze schodów na półpiętro, wprost pod nogi rozkraczanego wartownika. Zerwałem się z ziemi, jak kot i przyskoczyłem do schodów w dół. Stojący i tutaj wartownik osadził mnie kopniakiem na miejscu. Grubas wolno schodził po stopniach i ciężko dysząc, chwycił mnie za kark. Otworzył drzwi prowadzące do hali na parterze i wepchnął do środka. Ogarnęła mnie ciemność. W pomieszczeniu panował mrok. Słabe żarówki ledwo jarzyły się pod sufitem. Grubas walił rytmicznie pięścią w tył mojej głowy. Wreszcie się zmęczył. Stałem oszołomiony, patrząc na wolno wylaniające się z mroku kontury przycy.

Leżeli na nich ludzie. Sztynne, bez ruchu, jak manekiny. Na jednym boku. Wszyscy byli zwrócenici twarzami w moją stronę. Widziałem ich otwarte, obojętne oczy. W każdym rogu sali majaczyła czarna sylwetka wartownika. Śledzieli na nienaturalnie wysokich stołkach. Na ich piersiach wisiały automatyczne pistolety. Stałem skulony. Mój opiekun przeszedł wzdłuż przycy. Wrócił do mnie i spojrzawszy na zegarek, szepnął jakiś rozkaz. Ludzie na przycy, jak automaty, odwrócili się na brzuchy, wskazując twarze w pokruszoną mierzwę słomy. Grubas szarpnął moim ramieniem i pchnął przed siebie. Siedłem na sztywnych nogach, kierowany uderzeniami pięści. Zatrzymałem się przed dużą, blaszaną beczką stojącą pod ścianą. Zdjął wiszący na gwoździu, gruby, gumowy kabel. Spróbował jego giętkości. Chwycił mnie za kark i zanurzył głowę w cuchnącą bryję. Odruchowo szarpnąłem się do tyłu, ale to na nie się nie udało. Zaciągnąłem usta i oczy. Ciecz, przez nos, zalewała mi gardło. Piekący ból przeszył mi pośladki. Cios był niespodziewany. Chciałem krzyknąć, ale tylko zabulgotałem bezradnie. Na moment udało mi się wyrwać głowę z żelaznego uchwytu. Zbawczy hałas powietrza i znowu głowa zanurzona w beczce. Nie wiem ile białów zdolał mi wlepić ten bydlak. Oczy wychodziły mi z orbit. Klujący ból rozrywał płuca. Dusilem się, ale ze wstrętem zaciskałem usta. Chwył żelazo. Wyrwałem głowę z beczki i otrząsając się jak psiak, głęboko zaczerpnąłem powietrza. Usłyszałem radosny rechot śledzących na stołkach strażników. Jeden z więźniów poderwał się z przycy i zdjawszy ze ściany ręcznik troskliwie wycierał zamoczony mundur grubasa.

— Raus! — ryknął esesman, próbując mnie sięgnąć kablem.

Stałem oparty o ścianę, a cuchnąca bryja spływała mi po twarzy.

— Zjeżdżaj na górę, bo ci jeszcze więcej — szepnął więzień wycierający esesmana. Nie musiał mi tego powtarzać. Jak podcięty batem pognałem w stronę drzwi. Nie wiem, kiedy przebiegłem przez schody. Wpadłem do naszej hali i dopiero tutaj, na wyroku, zawiąawszy się w koc przed oczami kolegów, rozplakałem się jak dziecko. Plakałem ze złości. Z beznadziejnej złości, że nie nie mogłem zrobić. Dopiero po pewnym czasie zaczęły mnie boleć pośladki. Maniek przyniósł mi miskę zupy i kromkę chleba. Nie chciałem jeść. Czulem, że opuchnięty tyłek ledwie mieścił się w portkach.

Przyseł Jurek Warchulski.

— Zapisał cię wczoraj, jak siedział do latryny?

— Tak.

— Pewnie, jak przechodził, nie stanął pod ścianą na baczność?

— A skąd miałem wiedzieć?

— Cholera! Zapomniałem uprzedzić was o tym. Chłopcaki! — krzyknął na całą salę — Uwaga! No. Chcę wam coś powiedzieć.

Umilkli. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę mówiącego.

— Jeśli spotkacie na schodach, na korytarzu, czy gdziekolwiek idącego esesmana macie stanąć na baczność, zwrócić twarz do niego. Nie wolno nawet drgnąć. Kto się ruszy, dostanie kiję. Tu już jest jeden taki — pokazał na mnie.

Przybiegli do mnie — Reniek Wosiński. Tadek Bartnicki i Ignac Leśniewski — koledzy z gimnazjum.

— Bili cie kijem?

— Kijem? Gumowym kablem elektrycznym. Grubym.

Opowiadałem ze wszystkimi szczegółami moją przygodę i nawet nie zauważyłem, jak zjadłem całą miskę zupy.

Okna, wychodzące na ulicę, przyciągały wszystkich jak magnes. Znaleźli się cwaniacy, którzy urządzili sobie wzdłuż nich promenadę. Wybierali jedną szybkie i przechodząc, za każdym razem wyskrobali w warpie niewielką dziurkę, która z czasem rozrastała się do pokątnych rozmiarów, prześwietlając, pozwalając z dala od okna, zobaczyć przeciwną stronę ulicy. Raz, w takiej szczelinie, udało mi się zobaczyć rodziców. To tylko pogorszyło mój stan psychiczny. Wolałem nie spoglądać w tę stronę.

W piątek, 17 maja 1940 roku wywołano mnie na wartownię.

— Pamiętaj, stój na baczność i sam nie gadaj — upominał mnie Jurek Warchulski.

Balem się, że znowu będą mnie bić, ale nie wiedziałem za co?

— Skoczył, to ty?

— Tak jest!

— Masz tu paczkę. Przynieśli ci ciepłe gacie. Dupa ci nie zmarznie. Podpisz.

Zrobiłem przepisowy w tył zwrot, ale i tak nie uniknąłem kopniaka. Byłem wściekły. Na diabła mi kałesony?!

Późnym popołudniem wpadł wściekły pan scharführer.

— Kto wyrzucił kartkę przez okno?!

Staliśmy wyprężeni jak struny, tępo patrząc w podłogę.

— Kto wyrzucił kartkę przez okno? — powtórzył.

Milczeliśmy.

— Daję wam trzy minuty czasu. Ma się zgłosić ten, który to zrobił. Potem wszyscy dostaną kiję.

Milczenie przeciągało się. Trzy minuty trwały wieczność. Nikt się nie zgłosił.

— Ich helfe euch! — z pasją wysyczał pan scharführer i wyszedł.

— Niech się lepiej przyzna ten co to zrobił.

— Tak. Niech się przyzna, bo wszyscy będziemy przez niego cierpieć.

Strach przed biciem i wzajemna nieufność doprowadziły do nieuzasadnionych oskarżeń, a nawet bójek, ale winnego nie było.

Przyniesiono kolację. Namienności wygasty.

czyścieli, urzędników aresztowanych w całej Łodzi.

— W prawo zwrot! Naprzód marsz!

Staraliśmy się utrzymać równy krok, ale bezskutecznie. Ciężkie trepy rolników z Nowosolnej najbardziej mieszały szyki. Na nich wyladowywał swą wściekłość scharführer, obrzucając ich najwulgarniejszymi kławami, jakie słyszałem. To, że mówił po polsku nie dziwiło mnie. Wiedziałem, że większość załogi radogoskiego więzienia rekrutowała się z łódzkich volksdeutscheów. Zaskoczyła mnie długość frazy i wyszukane zestawienie słów, jakich używał w swych wyświadczeniach.

Z wartowni wyległa grupa esesmanów. Każdy z nich trzymał w ręku pejsz, pas z ciężką kłamrą, kij, kawałek kabla, zwinięty drut albo żelazny pręt. Kilku z nich prowadziło na smyczach wielkie, aluzackie owczarki. Wilczury rwały się do nas z głuchym warokiem, szczerząc potężne kły. Cała krew odpłynęła mi z twarzy. Idący przede mną chłopak głośnym szepciem odmiawiał modlitwę. Nagle kolumna wpadła w nienaganny rytm. Wśród esesmanów spostrzegłem mojego znajomego grubasa. Krzyknął coś, a nasz scharführer rzucił komendę:

— Biegiem marsz!

Podawaliśmy się do biegu. W kolumnie powstało zamieszanie. Ktoś upadł, inny potknął

— Zbiórka! — zakomenderował nasz pan scharführer.

Staliśmy w długim dwuseregum. Słychać było łapczywe chwytywanie powietrza, suchy kaszel, jęki i postękiwanie. Ktoś szlochał bezsilnie.

— Cicho skurwysyny! — Zamilkliśmy.

— Wieta za co dostał się wam ten manez? Za skrobanie dziur w oknach i za wyrzucanie grypsów na ulicę. Teraz już będziecie wiedzieć, czego tu robić nie wolno! Baczność!

Szedł wzdłuż szeregu, starannie odliczając dwójki i drwiąco patrząc nam w oczy.

— Puść go! — posłyszaliśmy jego głos oddalony o kilka kroków.

Z szeregu upadł na twarz ten z rozwaloną głową.

— Odniesie go pod ścianę.

Kilku schyliło się, by przenieść bezwładne ciało.

— Dwóch! Tylko dwóch! — ryknął pan scharführer.

Dwóch zawlekło go pod ścianę i położyło pod oknami.

Wrócił mi na salę. Milczeliśmy ponuro. Dwa ostatnie palce u prawej ręki zsiadły mi i zrobiły się grube, jak serdelki. Ramię bolało na całej długości. Musiałem cały czas trzymać je uniesione do góry. Bolało mnie pod łopatką. Za lewym uchem formowała się dorodna siłwa. Nie było wśród nas nikogo, który by choć kilka razy nie oberwał. Przeglądając się kolegami, pocieszałem siebie, że wyszedłem stosunkowo mało uszkodzony z tej karuzeli.

Któryś z nas zwrócił uwagę, że wszystkie okna są świeżo zamalowane. A więc dość długo musiały trwać te młocka, skoro zdążyły, w tym czasie, zamalować wapnem wielkie, fabryczne okna.

W niedzielny poranek kilku nie powstało nawet na sakramentalne „Achtung”. Pan scharführer okazał swoją pobłażliwość. Niektórym rany zaczynały się jężyć i opanowała ich gorączka. Dwóch majaczyło, straciwszy przytomność. Opiekowali się nimi najbliżsi sąsiedzi, pojąc ich kawą i przemycając wodą rany. W niedzielę nie przyjmowano do szpitala.

— To normalna tygodniówka. — Wyjaśnił beznamiętnie Jurek Warchulski. — Tym razem padło na was. Na przyszłą sobotę pójda ci z parteru. Przywykniecie, żeby głowę zasłonić. Niedobrze, jeśli kijem zleją po nerach. Jest tu kilku takich, którzy od tygodnia nie mogą się odiać.

— Jak długo będą nas tu trzymać. Przecież mamy jechać do bawarów.

— A ty znówu z tymi bawarami... Można być pewien, że żaden bawar nas nie zobaczy. Wywożą nas do Dachau. — Uciał twardo Jurek Warchulski.

W poniedziałek zaczęły napływać nowe transporty ludzi nieświadomych swego dalszego losu. Na przyczach zaczynało brakować miejsc. Kazało nam się ścieśnić. W różnych miejscach wybuchaly nagłe kłótnie, pomieszczone z głośniejszymi powitaniem. Nowo przybyli ze zgrozą patrzyli na nasze sińce i porozbijane głowy. Nadrabialiśmy minami, nie szczędząc im w chaotycznych opowiadaniach co groźniejszych szczegółów sobotniego manezu.

Nie doczekaliśmy następnego manezu. W czwartek, 23 maja 1940 roku, po obiedzie, przyszedł ostatni transport aresztowanych. Zjawił się scharführer i, rezygnując z zabawy w „Achtung”, rozkazał spakować swoje „klamoty” zapowiadając, że jutro opuścimy Radogoszcz. Szmer zadowolona przebiegł po sali. To zdziwiło scharführera...

Gdziekolwiek, byle nie w Radogoszczu. Święcie wierzyłem, że nigdzie nie może być gorzej. Plecak spakowałem tak, by miękkie kałesony osłaniały mi poranione plecy przed twardymi drobiami. Sznurki po otrzymanej paczce służyły jako troki mocujące zrolowany koc do plecaka. Ostatnią noc postanowiłem spędzić pod uczelniskim szynielem. Nagle mój plecak stał się obiektem zazdrości dla właścicieli walizek. W czasie podróży ręce będą miały wolne, co przy okaleczonych palcach było rzeczą pierwszorzędnej wagi.

— Gdzie jest ten Dachau? — spytał mnie ponuro Marian.

— Gdzieś w Bawarii — powiedział mu jakiś znawca geografii.

Brutalne „Achtung” wyrwało mnie z głębokiego snu. Na przyczach już wrzasał krzątający.

Zestawiono nas trzydziestkami. Byliśmy z Manikiem w jednej trzydziestce. Zeszliśmy na dół. Przed wartownią stało kilka koszy napelniczonych chlebem. Każdy dostawał pod pacną bochenek i esesman wypychał go poza bramę więzienia. Tam czekała kolumna wojskowych ciężarówek, przykrytych szarozielonym brezentem.

Światło. Dzień dopiero się budził. Nauczony przykrym doświadczeniem szybko ładowaliśmy się do wnętrza budy. Ciężarówka ostro ruszyła z miejsca. Odechnąłem z ulgą, gdy skręciła w lewo. A więc nie do Łuźmierza!

Byliśmy na Dworcu Kaliskim.

— Raus! Aussteigen! — ryczał tandarmi.

W jednej chwili uformowaliśmy kolumnę. Dookoła wiało pustką. Strome schody prowadzące na peron wskazywały kierunek marszu. Nie ruchomo stojący tandarmi tworzyli groźny szpaler.

Na prawym peronie stał długi rząd towarowych wagonów, w których okienka zabezpieczone kołczastym drutem. Na ścianach wagonów były białe napisy: „POLNISCHE BANDITEN”.

Ostatni fragment wspomnień popularnego aktora teatrów łódzkich

Wszędzie, byle nie w Radogoszczu

WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS

wyglądało na to, że sprawa przyschła. Kiedy zgazowano światło i wszyscy układali się do snu, już miałem pewność, że tym razem upiekło nam się. Przyszedł Warchulski, żeby pogadać. Cichym szepcem opowiadał mi o tym co przeżył przez te dwa tygodnie swego pobytu na Radogoszczu.

Na parterze, gdzie dostałem łanie, był specjalny oddział karny. Przebywali tam ci, których gestapo uważało za najbardziej niebezpieczny element, zagrażający bezpieczeństwu Trzeciej Rzeszy. Zadenuncjowani przez łódzkich volksdeutscheów — działacze lewicowi, przywódcy związków i społecznicy, którzy znaleźli się na liście sporządzonej przez działających przed wojną w Polsce — niemiecki wywiad, czyli V kolumnę. Dopiero teraz dowiedziałem się, że działali w Łodzi Wojskowa Organizacja Bojowa. Gestapo rozpracowało ją szybko. Niemiec konfidenci przedostali się bez trudu w jej szeregi. Podobno już w marcu 1940 roku organizacja została rozbita. Teraz wypływano resztki jej członków. Aresztowano wtedy wielu oficerów. To przeważnie oni byli więzieni na parterze. Panujące tam warunki były straszne. Więźniowie przez cały czas leżeli na twardych przyczach, bez żadnego okrycia. Okrągłą dobę trwała koszmarna karuzela. Leżeli na plecach, na boku, na brzuchu, na boku i wszystko powtarzało się od początku. Cykl obrotów był przestrzegany bardzo rygorystycznie. W ciągu dnia co godzinę, w ciągu nocy co dwie godziny. Tylko raz na dzień wyprowadzano ich do latryny. Wielu chorych nie wytrzymało i załatwiali swe potrzeby, nie panując nad organizmem. Ci, z dolnych przycz, znosili te upokarzające tortury bez słowa skargi. Jeśli esesman przyłapał więźnia oddającego moc, spotykał go taki sam los, jak mnie. Ale ich bili przy beczce aż do utraty przytomności. Na pierwszym piętrze, z ogólnej sali, wydzielono szafami, izbę chorych. Nie należało z niej korzystać, bo łatwo było tam o świerzb i wszy, a łapiduchy okradali więźniów z jedzenia.

Nie mogłem pojąć tego, co opowiadał mi Jurek Warchulski. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o wywiezieniu nas do Dachau. Nie dopuszczałem do siebie tych myśli. Wierzyłem, że francuskie i angielskie lotnictwo bez przerwy bombarduje całe Niemcy. W takiej sytuacji nasz wyjazd do bawarów stawał się nierealny. W wyobraźni widziałem zbombardowane miasta i wsie, rozwalone bombami tory kolejowe i spalizowany transport.

W sobotę, po śniadaniu, wszedł na salę pan scharführer. Po sakramentalnym „Achtung”! Jurek Warchulskiego, oznajmił, że wyjdziemy na spacer. Ochoczo ustawiliśmy się do wyjścia. Po chłodnej nocy, bezchmurne niebo zapowiadało słoneczny, ciepły dzień. Pełni nadziei schodziliśmy na dół. Nagle szeregiami przebiegli

— Będą bić! Urządzą nam manez!

Na dziedzińcu ustawiano nas w dwuseregum. Skrzydlowi wyrównali przepisowo, jak w wojsku. Pan scharführer przebiegł nas. Było nas pięćuset. Przeważnie młodych chłopców. Wielu gimnazjalistów, wielu młodych robotników, nau-

się o leżącego i już bezładna gmatwanina ciał kłębiła się na ziemi. Czarni podskoczyli do nich. Zaczęli prac, gdzie popadło. Leżący podrywali się i zasłaniając rękami głowę, włączali się do biegnącej kolumny. Ale czarni ustawili się już wokół całego dziedzińca. Utworzyli szpaler. Kolumna przebiegła między nimi. Bili z szerokim zamachem. Cios w plecy wyprostował mnie. Uderzenie w ramię odrzuciło mnie do tyłu. „Muszę uważać”. Myśli błyskawicą przebiegały przez głowę. Mój bieg regulowałem szybkością ciosów, zadawanych przez czarnych. Wyszukiwałem poprzedzającego mnie chłopaka, a gdy kij ładował na jego plecach, ja szybko przemykałem przed błącącym, gdy ten brał zamach do następnego uderzenia. Przez jakiś czas ta sztuczka udawała się. Ale na taki pomysł wpadli również inni. Przed każdym esesmanem tworzyła się mała grupka więźniów zychających na odpowiedni moment. Jedni druzeli chcieli przechytrzyć. Wiedzieli o tym esesmani. Z impetem wpadli na tych przyuczonych, grzmocąc ich po głowach. Uciekający przedzierali się przez zbitą grupę, wpadając na przygotowanego do ciosu esesmana. Znowu wyciągałem z tego prosty wniosek: najlepiej trzymać się środka grupy. Całą uwagę skupilem na tym, w jaki sposób uniknąć lania. Teraz weszły do akcji spuszczone ze smyczy psy. Szarpały ubrania, gryząc boleśnie. Już dawno zginał zły zwart kolumny. Wszyscy biegali bezładnym tabunem po całym placu. Więźniowie, esesmani i psy. W ostatniej chwili uskokczyłem przed nadbiegającym wilczurem. Schowałem się za pień, stojący na środku dziedzińca gruszy.

Pies atakował mnie uparcie. Chwycił całą paszczą za rękaw i potrzasał nim, ciągnął w dół. Nie czulem bólu. Staralem się wyswobodzić rękę z psiego pyska. Nie miałem siły. Zwalłem się na ziemię. Zdziwił się tak łatwym zwycięstwem. Zwinął zaciśnięte kłowy, przechylił łeb i z rozwartym pyskiem przyskoczył mi się uważnie. Byłem przekonany, że jeśli nie drgnę, pies mnie nie zaatakuję. Rzeczywiście. Jego uwagę odwrócił ode mnie przebiegający obok więźni. Długim suszem skoczył w stronę następnej ofiary. Postanowiłem nie ruszać się do końca tej piekielnej kolony. Spostrzegłem mnie ten cholerny grubas. Biegiem gnał ku mnie. Nim zdążyłem się poderwać, już stał przede mną. Jego but beznamiętnie mierzył w podbrzusze. Gwałtownie skuliłem się zasłaniając krocz ręką. Potworny ból targnął całym ramieniem. Zerwałem się błyskawicznie i zacząłem uciekać. Grubas gnał za mną, starając się dosięgnąć mojej głowy ciężką kłamrą wojskowego pasa. Byłem lejszy i szybszy. Kluczyłem między błącącymi więźniami, chcąc zgubić prześladowcę. Przede mną biegł chłop z Nowosolnej. Z rozpiętej głowy sączyła się krew. Obejmował głowę rękami, zataczając się jak pijany. Pies szarpał na nim sztruksowe spodnie. Ktoś wlił się z bólu na ziemi. Inny kuśtykał bezradnie, zasłaniając ręką rozbite wargi, a po brodzie spływały mu strużki krwi. Nie wiem jak długo trwała ta piekielna zabawa. Wreszcie rozległ się gwizdek i esesmani zaprzestali bicia. Dysząc, jak po ciężkiej młocke, odchodził w stronę wartowni.

Polemiki • Listy • Opinie

MIEDZY ZGIELKIEM A CISZA

Zenon Janusz Michalski w obszernej polemice („Odgłosy” nr 12 z 21 marca 1987 r.) robi wszystko — i jeszcze więcej — by wykazać, że w artykule „Słuchanie ciszy” („Radar” nr 7 z 12 lutego br.) przeprowadzam atak husarski na łódzką Szkołę Filmową. I to atak, bezmyślny: bez przygotowania, na oślep, na słowo honoru, bez sensu i odpowiednich argumentów.

Tymczasem, Małgorzata Karbownik w 42 numerze „Głosu Robotniczego” z 19 lutego 1987 r., w publikacji pt. „Czy można wychować geniusza?”, zaskakująco (dla mnie) trafnie wyczuła nastrój (ducha) mego artykułu, a także stan duszy piszącego. I to nie znając mnie zupełnie. Napisała bowiem:

„Z pozoru wydawałoby się, iż niedawny student PWSFTiT, który zresztą nie ukrywa także swoich prywatnych rozczarowań, pisze paszkwile na tę szkołę. Nie jednak bardziej mylnego, mimo iż w publikacji tej mnóstwo jest stwierdzeń czy też określeń dyskusyjnych. Rzecz jednak nie polega na tym, iż Koprowski chce tej szkole „przyłożyć”, ale pisze o niej pełen wątpliwości, gdyż nie spełnia jego oczekiwań. Ma prawo. Tym bardziej, że jego poglądy uzmysławiają nam, jak trudno pisać o kondycji uczelni artystycznych”.

Ostatnie zdanie cytowanego fragmentu muszą zadedykować również Zenonowi Michalskiemu.

Bo choćby ów nieszczęsny rok 1968, którego przypomnienie tak bardzo mego adwersarza rozsierdziło, data upadku Wielkiej Szkoły. Wiele osób ze środowiska filmowego (a są to nie byle jakie nazwiska) myśli i mówi tak, jak ja to napisałem, opierałem się bowiem na ich opiniach. Nazwisk jednak nie podam (choć Michalski tak się ich domaga) ani adresów, bo nie o nazwiska chodzi, a o fakty. A fakty przemówią same, gdy przejrzy się biografie wielkich i największych (a także średnich) polskich reżyserów filmowych i porówna daty ukończenia Szkoły Filmowej. Przed i po 1968 roku.

Poza tym stwierdzenie, że „właśnie w 1968 roku wśród zarzutów wysuwanych wobec szkoły na koronnym miejscu znajdował się dotyczący izolacji jej od miasta”, niespecjalnie mnie przekonuje. Dziś wiemy, bo pisze się o tym, że różne zarzuty wysuwane w minionych latach grubo sztyt, nieprawdziwe, tendencyjne, naciskane i konstruowane w zależności od potrzeb i sytuacji dalekie były od prawdy, nawet w przybliżeniu. Nie tylko zresztą w 68 roku. A o to chodziło w 1968 roku, to trochę się jeszcze pamięta, mimo pierwszych nieśmiały zwiastów sklerozy.

Tamtej (wg Zenona Michalskiego) nieobecności w życiu miasta przeciwstawia polemista dzisiejszą obecność poprzez między innymi rokroczne nagradzanie najlepszych filmów studenckich przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. To byłby jednak, według mnie, argument na obecność w mieście TPL, notabene nazywanego przez działaczy różnych szczebli łódzkiej drabiny władzy towarzystwem wzajemnej adoracji, jeszcze mniej widocznym w Łodzi niż Szkoła Filmowa.

Można lansować Szkołę na terenie miasta i w taki sposób: 9.07.1985 r. w „Expressie Ilustrowanym” ukazała się notatka pt. „W szkole filmowej pierwsze polskie wideokino”. Kończy się ona następująco: „Tak więc już z początkiem nowego roku akademickiego w Łodzi zaistniała pierwsza polska wideokino”. Jak wiadomo, nie zaistniało do dziś. Taką informację mógł „sprzedać” gazecie tylko ktoś ze Szkoły. Odwołania jednak nie było. Informacja funkcjonuje jako prawdziwa.

„Trybuna Ludu” z 2.12.1985 roku (czyli około półtora roku temu) informuje:

„W siedzibie Komitetu Centralnego PZPR odbyło się wspólne posiedzenie prezydium ogólnopolskich zespołów partyjnych teatrów, muzyki i sztuki plastycznych, poświęcone omówieniu bieżącej sytuacji w wyższym szkolnictwie artystycznym”. I dalej tłustym drukiem: „Niepokoi zwłaszcza niski stopień społecznego uczestnictwa studentów tych uczelni... w działaniach na rzecz środowiska pozauczelnianego i w studenckim ruchu kulturalnym”.

Można więc trochę inaczej niż Zenon Michalski oceniać obecność uczelni na terenie miasta.

Napisał Z.J.M.: „Słuchanie ciszy to jednak rzecz bardzo skomplikowana. Łatwo można wyciągnąć błędne wnioski i nieuzasadnione narobić zgłębku”. Zgłębku wokół tematu — chyba. Jeśli więc nieuzasadnionym zgłębkiem ma być polemika Z.J. Michalskiego, to nie tu nie mam do dodania.

Małgorzata Karbownik w swoim artykule napisała: „... jak to dobrze, że znów wraca na łamy prasy temat mitów i prawdy, w przypadku uczelni artystycznych”. A więc? „Nieuzasadniony zgłębek”, czy „jak to dobrze”?

Tak czy owak, dobrze się stało, że przy okazji tej wymiany myśli, wymienione zostały liczne laury i wynotowane sukcesy Szkoły osiągnięte w ostatnich latach. Przynajmniej Czytelnik „Odgłosów” ma je przed sobą w gromadzie, a to robi wrażenie.

Na marginesie: czytam regularnie „Odgłosy” od paru lat i nie zauważyłem, by problemy Szkoły Filmowej były „brane” chociaż od czasu do czasu. Uczelnia jest łódzka, pismo jest łódzkie, a Zenon Michalski jego stałym współpracownikiem. Mógłby więc napisać o Szkole sam z siebie, zakrzyknąć o pomoc, a nie wyławiać innym czynienia niedźwiedziej przysługi. Tym bardziej, że, jak pisze, Szkoła „do osób w sposób obiektywny przedstawiających jej problemy zbyt wielkiego szacunku nie ma”. Czyżby obawa o narobienie nieuzasadnionego zgłębku powstrzymuje rękę i pióro Z.J. Michalskiego?

O nagrodach zdobytych przez filmówkę napisałem, że ich wykaz „tylko za ubiegły rok zajmuje trzy kartki maszynopisu”, bez podawania szczegółów. Spieszę wyjaśnić, dlaczego. Otóż, „Radar” — z podtytułem: tygodnik pracy twórczej — jest pismem skierowanym do młodej inteligencji, która świetnie jest zorientowana w bieżącym życiu artystycznym i kulturalnym, o czym świadczy lista do redakcji. W swojej kronice kulturalnej tygodnik odnotowuje min. wszystkie ważniejsze sukcesy i zdobycie laury także przez PWSFTiT. Uważałem, że nie powinienem schodzić poniżej poziomu czytelników pisma i wyklądać rzeczy elementarnych. Odnosi się to i do innych fragmentów artykułu, gdzie zastosowane skróty myślowe nie powinny utrudniać odbioru człowiekowi zorientowanemu.

„Za bardzo celny fragment „Słuchania ciszy” uznał Zenon Michalski ten, który mówi, że i w czasach dawnej Wielkiej Szkoły bywało nudno, nijało i czas upływał na niczym. Dlaczego więc ta celność może odnosić się tylko do tamtych lat i ludzi, a odniesiona do dzisiaj już celna nie jest, choć taką opinię można wyrazić o każdej szkole (i nie tylko) w każdym czasie?”

Ma Z. Michalski pretensje, że wykorzystałem wypowiedź studenta mówiącego o wykładach, że niewiele jest naprawd do brych. Przytacza więc listę uczących w Szkole na Wydziale Reżyserii, a są to wybitni reżyserzy, przedstawiciele różnych „specjalności” filmowych, szkół i pokoleń. Oczywiście nie jest to lista kompletna. Znowu zacytuje M. Karbownik, która uważa, że „bywają wspaniali twórcy, którzy nie potrafili niczego nauczyć i odwrotnie”, co jest oczywiste. (Zwracam uwagę na słowo „bywają” w obawie, żeby nikomu nie przypisano z rozpędu herezji). Przyczyn takiego postawienia sprawy przez studenta szukałbym nie w lekceważeniu znakomitości, lecz raczej w pokoleniowych różnicach w myśleniu w ogóle, a także w myśleniu o filmie, jego języku, estetyce, problematyce, środkach wyrazu, itd., jako że sam Michalski napisał, że „to i czasy inne i tina do szkoły przychodzi młodzież”. Andrzej Zulawski i Andrzej Wajda też nie mogli się zrozumieć, posługiwali się (jako filmowcy) innym językiem, nie zmienia to wszakże faktu, że obaj są wybitnymi reżyserami, choć tak bardzo różnymi. To są różnice pokoleniowe właśnie. A że sądy młodych są surowe? Nic w tym dziwnego ani nowego. Przecież student naszej filmówki próbował zapędzić w narożnik „samego” Romana Polańskiego podczas zorganizowanego przed kilku laty w tej właśnie Szkole z nim

spotkania. I wtedy, poza jednym dziennikarzem, nikt w tym nie widział nic zdrożnego.

Wytyka mi Zenon Michalski, że nie wymieniam żadnych nazwisk, tylko jedno. Okazało się, że słusznie (poza tym proszono mnie o to), bowiem to, co wypisuje o wymienionej z nazwiska, a wykładającej gościnie w Szkole Ewie Rubinstein — jest zwyczajnie nieeleganckie albo gorzej jeszcze. Cytowane przez Michalskiego przysłówie, w jego rozumieniu winno brzmieć: „Gość u dom — morda w kubel”, odmawia bowiem gościowi prawa do wypowiadania opinii o gospodarzu. Tym bardziej (i tu mam do czynienia z przekłamaniami), że p. Rubinstein nie powiedziała, jak chce Michalski, że kiepsko ucą u nas i w Europie Zachodniej, a dobrze w USA, tylko stwierdziła, że uczy się inaczej. A to przecież różnica! Gdyby jednak powiedziała tak, jak to odczytał polemista, czy minęłaby się tak bardzo z prawdą? Porównajmy poziom kina amerykańskiego z naszym. A wracając do przysłówia „Gość u dom — Bóg u dom”, to chroni ono przecież gościa, a nie gospodarza. Przynajmniej w naszej polskiej tradycji i obyczajowości. Michalski nie wspomina, a nie wierzę, żeby o tym nie wiedział, że gość ten, czyli Ewa Rubinstein postarała się, by biblioteka Szkoły Filmowej wzbogaciła się o 98 albumów fotograficznych, które kupiła dzięki pomocy swoich nowojorskich przyjaciół, m.in. Alana Pakuli. Ładnie na tym tle wygląda staropolska gościnność Zenona Michalskiego.

Odmawia również Michalski prawa studentom do krytykowania filmów realizowanych przez ludzi, którzy kończyli Wielką Szkołę Filmową, ciesząc się, że „coś tu się nie zgadza”. Święta prawda, bo co ma p... do w...?

Kończy Zenon J. Michalski swój tekst tak: „Tradycja szkoły — to dorobek ludzi, którzy tworzyli ją i odeszli — niektórzy już na zawsze. Tradycja szkoły, to dorobek ludzi — którzy tworzyli ją i nadal w niej są, utrzymując jej wielkość. Tradycja szkoły to przepelnione przedziwne w warszawskich podziemiach i dziesiątki tysięcy przejechanych kilometrów przez twórców-pedagogów oddanych szkole, której nie firmowaliby swoimi nazwiskami, gdyby niewiele była warta”.

Mam do tego fragmentu dwie uwagi. Pierwsza: tworząc Szkołę, jej twórcy nie wiedzieli, czy i ile będzie warta. A poza tym, nie wydaje mi się, by twórcy-pedagodzy tak zimno kalkulowali: firmować Szkołę swoim nazwiskiem, czy nie? Bo najpierw musieliby poczekać, aż będzie warto i dopiero wtedy podłączyć się do świetnego, sprawdzanego „interesu”. To ryzykowne stwierdzenie Michalskiego stawia pionierów-twórców Szkoły w dwuznacznym świetle. Chyba nie o to autorowi chodziło.

I druga uwaga: gdzieś wcześniej Zenon Michalski napisał o pierwszym kroku do śmieszności. Tymczasem wg Henry Fieldinga (1707—1754) „Jedynym źródłem prawdziwej śmieszności jest afekcja”. Może stałaby Zenon Michalski na czele Komitetu Złotydzkiego Tablicy Pamiętkowej Na Murach Szkoły Ku Cześci Składu Pospieszego Relacji Warszawa—Łódź?

I już na koniec: napisał Michalski, słusznie zresztą, że film ma to do siebie, że wymaga przede wszystkim patrzania. Uwaga: patrzania. Bo z samego słuchania niewiele wynika. Tytuł jego polemiki brzmi: „Słuchanie zgłębku (podkr. MK) — czyli Szkoły Filmowej dole i niedole”.

MAREK KOPROWSKI

TURNIEJ POEZJI MIŁOSNEJ

Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnice Łódź-Górna, Dzielnice Dom Kultury i Grupa Literacka „Centaur” — w ramach Włosny Poetyckiej na Górnej organizują Turniej Poezji Miłosnej.

W turnieju mogą uczestniczyć wszyscy, którzy do 18.4.1987 r. zgłoszą lub nadesłają swój wiersz. Decyduje data stempla pocztowego. Wiersz nie może być wcześniej publikowany czy nagradzany w innym konkursie.

Wiersz w 3 egz. maszynopisu, oznaczony godłem, należy nadesłać lub dostarczyć do DDK Łódź-Górna ul. Śledzka 1 z dopiskiem „Turniej Poezji Miłosnej”. W osobnej kopercie oznaczonej tym samym godłem należy podać imię, nazwisko i adres. W przypadku nadesłania większej ilości zgłoszeń organizatorzy zastrzegają sobie prawo wyboru wierszy do finału turnieju bez wcześniejszego powiadamiania autorów.

Turniej odbędzie się 4 maja 1987 r. o godz. 17.30 w DDK Łódź-Górna ul. Śledzka 1.

Warunkiem udziału w turnieju jest prezentowanie wiersza przez autora.

Przewiduje się następujące nagrody: I — 10 tys. zł, II — 8 tys. zł, III — 6 tys. zł oraz 5 wyróżnień po 3 tys. zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród lub niekorzystania ich w ogóle.

CZY REFORMA GOSPODARZA DOTARŁA DO SPÓŁDZIELCZOŚCI MIESZKANIOWEJ?

25 marca 1987 r. o godz. 17 w siedzibie Administracji Osiedla SM „Chojny” odbyło się ostatnie z corocznych zebrań grup członkowskich.

Informację Zarządu Spółdzielni o działalności gospodarczej w 1986 roku w im. Zarządu przedstawił mgr Wojciech Chmiel — kierownik administracji osiedla. I znowu padły liczby kubatury administracyjnych pomieszczeń budynków mieszkaniowych, użyteczności publicznej. Zagospodarowanie nowej powierzchni użytkowej 6 bloków mieszkalnych i kilku sklepów w roku sprawozdawczym. W sumie przybyło niezbyt wiele kubatury, lecz koszty wzrosły o 13 proc. Wydatki przekroczone o 7 mln zł na planowanych 90 mln głównie z powodu podwyżki materiałów i usług. Tyle wynika ze sprawozdania w odniesieniu do gospodarki finansowo-materiałowej.

Pamiętam lata 1980—84. Administracja osiedla liczyła wówczas zaledwie kilkanaście osób i mieściła się w trzypokojowym mieszkaniu, adaptowanym na bieżące potrzeby. Dziś liczy sobie około setki osób i zajmuje kilkanaście pokoi w dużym baraku. Rozbudowały się różne działy administracji, łącznie z wyspecjalizowanymi grupami konserwatorów: elektryków, hydraulików, malarzy, stolarzy itp. itd. z własnym transportem. To dobrze. W parze winna być bardziej operatywna ilość świadczonych usług na rzecz mieszkańców osiedla. Niestety tak nie jest.

Węzły ciepłownicze pracują coraz głośniej, windy psują się coraz częściej i sprawiają nie lada problemy: raz stoją beczynnie, innym razem jeżdżą jak oszalałe z góry na dół i odwrotnie. Wady technologiczne w postaci przemarzania mieszkań są usuwane raczej słabiej, zawsze tam czegoś brakuje. Pogotowie wodociągowe, oczywiście spółdzielcze — przyjeżdża z dużym opóźnieniem i w dodatku z pustymi rękami. Awaria zwykle kończy się odciepieniem dopływu ciepłej lub zimnej wody, usuwanie usterek pozostawia się administracji osiedla. Zastanawiam się, po co i komu potrzebne są tego rodzaju czynności, które mogłyby z powodzeniem wykonać pierwszy lepszy hydraulik z administracji osiedla dzwoniący pod telefonem w domu. Ale rachunki przychodzą do zapłaty i to wcale nie małe, gdzieś ok. 20 tys. zł za przyjazd i odciepienie wody.

Te same sprawy i problemy przewijają się corocznie na zebraniach, posiedzeniach i naradach mieszkańców z administracją. Co trzeba wreszcie z tym fantem zrobić, by nie wracać jak bumerang nie załatwione w odpowiednim czasie przez odpowiednie czynniki administracyjne i społeczne. Liczą się fakty i czyny, nie słowa, chociażby były one najpiękniejsze, najbardziej wyszukane, słowa bezradności, narzekania i utyskiwania.

Wnioski zgłaszane na zebraniach same się nie zrealizują, tego-

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

roczne również i byłoby niezmiernie przykro obecnym na sali, gdyby było tak samo, jak w latach poprzednich. W końcu cierpliwość posiada swoje granice i z biegiem czasu się wyczerpuje, zmniejsza zaufanie mieszkańców, co daje już zauważyć.

Na zakończenie zebrania mgr. Wojciech Chmiel m. in. powiedział:

„Potrzebny jest nam silny Samorząd, Rada Osiedla, Rada Nadzorcza, aby móc działać efektywnie na rzecz poprawy warunków naszych mieszkańców”.

Tak, to prawda! Ale też potrzebna nam jest silna i prężna administracja osiedla, spełniająca praktycznie rolę służebną wobec mieszkańców osiedla, w załatwianiu na bieżąco niezliczonej ilości spraw i problemów, które niesie nam życie. Inaczej wolanie o pozostanie zawieszonych w próżni, bez żadnego oddźwięku i echa, a ludzi coraz mniej będzie na zebraniach.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

UCZUCIA, PIENIĄDZE I PRAWO

Ewa i Marek znali się od wielu lat. Jednakże ich rodzice niezbyt życzliwie kibicowali temu związkowi, obawiając się głównie perspektywy zbyt szybkiej i wspólnej przyszłości. Stąd też nie wyrażali zgody na częste spotkania młodych, podejrzewając, że zechcą oni afekt swój do rangi małżeństwa podnieść. Sprzymierzeńcem rodziców okazał się wiek młodych i czas.

Oboje mieli za sobą 19 lat niezbyt udanego życia i całkiem nieudane starty na studia. Mając przed sobą odcienie służby wojskowej, Marek podjął pracę w jednym z dużych przedsiębiorstw transportowych, którego działalność promieniowała nowoczesnością i pobudzała umysły. W samochodach przedsiębiorstwa zaistniały były radiotelefony. Marek bardzo chciał wykorzystać te proste zdobycze techniki do intymnych rozmów z nielegalnie widywaną Ewą.

Marek wymontował dwa radiotelefony z samochodów z zamiarem zainstalowania ich w domach: swoim i Ewy. Jednakże owa zdobycz (w najpełniejszym tego słowa znaczeniu) techniki rozmiarami przewyższała nieco legendarny sprzęt porozumiewania się na odległość firm japońskich, zatem, mimo dość pobieżnej kontroli, szybko zauważono brak rzetelnych telefonów w samochodach. Niedługo szukano również sprawcy...

Tak więc rodzice cel swój osiągnęli. Młodzi przestali się spotykać.

Inny kwiatuśzek z prawniczej łączki.

Postanowieniem sądu, pani J. ograniczono władzę rodzicielską nad małoletnim synem Tomaszem. Opiekunem ustanowiona została ciotka Tomaszka, żona zmarłego brata pani J., kobieta elegancka, bogata i samotna. Pani K. mieszkała w tej samej dzielnicy, zaledwie kilka ulic dalej w ładnie urządzonej dwupokojowej mieszkaniu. Tomaszek przeprowadził się do ciotki bez sprzeciwu, gdyż wraz z nowym adresem otrzymał także swój pokój, a w nim maleńkie własne łóżeczko i maleńkie biurczko. Chłopiec chodził do pierwszej klasy szkoły podstawowej, za tem wyposażenie pokoiku było na miarę jego potrzeb i zdecydowanie przetrastało miarę jego oczekiwań i wyobrażeń.

Pani K. zajmowała się dzieckiem początkowo bardzo starannie, odprowadzając do szkoły, pomagając odrabiać lekcje, odpytując wierszyki, chodząc na wywiadówki i oczywiście prowadząc dom dla siebie i dla Tomaszka.

Pani K., wdowa od wielu już lat, była jeszcze wciąż młoda i wciąż na tyle przystojna, że nie mogła zadowolić się uczuciem wdzięczności i przywiązania okazującym jej przez rosnącego z dnia na dzień, ale ciągle jeszcze małego mężczyznę. Pani K. poznała pana B., człowieka ze wszech miar uczciwego, kradnącego tylko jedną rzecz — czas pani K. A ponieważ doba nigdy nie ma więcej niż 24 godziny, więc czasu dla Tomaszka było coraz mniej. Gdy zaś pan B. wprowadził się do pani K. — dziecko zaczęło przeszkadzać zarówno pani jak i panu. Ciotka odesłała więc chłopca do matki. Pani J., szczęśliwa posiadaczka pół tuzina innych dzieci, zupełnie bez entuzjazmu przyjęła powrót syna. Jedyną osłodą powrotu była spora sumka otrzymana przez Tomaszka od ciotki a przeznaczona na ułatwienie adaptacji dziecka po powrocie do domu.

Pani K. nadal od czasu do czasu nadsyłała do sądu sprawozdania z opieki, aż w końcu, po pewnym czasie, wystąpiła z wnioskiem o przywrócenie pełni władzy rodzicielskiej matce Tomaszka, którego od czasu wyprowadzenia się nie widziała.

Od chwili opuszczenia domu ciotki do chwili, gdy pani J. ponownie stanęła w sądzie, minęły dwa lata. Sędzia odczytał postanowienie o przywróceniu władzy rodzicielskiej pani J. nad małoletnim synem Tomaszem. W miarę jak czytał ten projekt i zaczął zadawać pytania, czy pani J. robiły się coraz większe i lśniące.

— Panie sędzio, mój syn nie żyje od dwóch lat. Utonął w jeziorze dwa lata temu.

BARBARA KEMPA

MŁODOŚĆ ADOLFA

W nawiązaniu do artykułu Stanisława Chodunaja pt. „Młodość Adolfa” (Odgłosy z 28.3.87) chciałbym zasygnalizować błąd, który znalazł się w tekście.

Autor podaje, iż Hitler przebywał od jesieni 1918 roku do końca I wojny w Pasieku. W rzeczywistości znalazł się on w lazarecie w pomorskim miasteczku Pasewalk, ok. 30 km na zachód od Szczecina. Wymieniony w artykule Pasiek (niem. nazwa Preussisch Holland) to niewielkie miasto w woj. elbląskim. Nie posiada ono w swej składzinie bogatej historii żadnych związków z Hitlerem. Błąd autora polega na niewłaściwym tłumaczeniu nazwy Pasewalk na Pasiek, tymczasem słowiańskie miano pomorskiej miejscowości brzmi Pozdawilk. Pomyłka ta występuje również w polskim przekładzie słynnej książki Allana Bullocka „Hitler — studium tyranii” z 1969 roku, str. 47, z której autor wymienionego artykułu zaczerpnął prawdopodobnie tę informację.

JAN SALM

WYJAŚNIENIE WOJEWÓDZKIEJ BIBLIOTEKI W SIERADZU

W związku z opublikowaniem na łamach waszego pisma w nr 12 z 21 marca 1987 roku, artykułu Henryka Puszkowskiego, pt.: „O twórczości naukowej i literackiej Stanisława Kaszyńskiego” (w 60-lecie urodzin) — Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Sieradzu uprzejmie informuje, iż tekst autora w brzmieniu dosłownym wydaliśmy drukiem w naszym cyklu wydawniczym „Sylwetki Pisarzy” w roku 1980 pt. „Stanisław Kaszyński”.

W związku z powyższym prosimy o zamieszczenie informacji wyjaśniającej, iż artykuł Henryka Puszkowskiego jest przedrukiem szkicu wydanego przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Sieradzu.

mgr KRISTYNA BRODOWSKA

Adolf poznaje Ewę. Zazdrość i wojna. Kiedy zdradzali wierni. Pozostały zagadki.

Miłość, polityka i śmierć

STANISŁAW CHODUNAJ

Rok po śmierci Geli Raubal Adolf Hitler poznał Ewę Braun. Poznał ją w pracowni fotograficznej swojego fotografa Heinricha Hoffmanna w Monachium. Spodobała się. Zaczęła otrzymywać kwiaty. Widywano ich coraz częściej wyjeżdżających na pikniki w Alpy.

Ewa Braun stanowiła odmienne typ kobiety niż Geli. Miała niebieskie oczy, zbyt okragłą buzię, była blondynką, a jej twarz nie potwierdzała dużej inteligencji. Miała charakter agresywny, chociaż w rozmowach robiła wrażenie opanowanej. To ona zarzuciła sieci na Adolfa Hitlera. Było lato roku 1932. Dziesięć miesięcy od śmierci Geli. Zwróciła uwagę na Adolfa Hitlera, kiedy przeżywał śmierć poprzedniczki. Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, on przekroczył czterdzieści trzy.

ROZPOCZĄŁ SIĘ DZIWNY KONTREDANS.

Ewa widząc zaloty Hitlera, sama zaczęła go atakować. To, że najbliżsi znajomi wdziali o tych zalotach nie stanowi nic nowego. Do tego przyczyniła się sama Ewa, rozprowadzając siostrą (Ewa była średnią z trzech), koleżankom i znajomym, że Hitler jest w niej po uszy zakochany i że w najbliższym czasie wyjdzie za niego za mąż. Wersja ta stawała się tym bardziej prawdopodobna, kiedy po krótkiej znajomości z Hitlerem, Ewa targnęła się na swoje życie. Przyczynę nigdy nie ustalono. Usiłowanie popełnienia samobójstwa przez Ewę Braun zakończyło i przeżyło Hitlera. Ewa osiągnęła cel i została przyjaciółką Hitlera. Wprowadziła się do jego domu w Monachium i towarzyszyła mu we wszystkich

wojennych godzinach. Jednak mniej czasu poświęcała Ewie aniżeli poprzedniczce.

Heinrich Hoffman tak to ocenił już po wojnie: „Pewne jest, że Ewa — w tym czy innym czasie — została jego kochanką, ale kiedy nie wiem ani ja, ani nikt. Nigdy nie zauważyliśmy żadnej widocznej zmiany w jego stosunku do niej, która by nasuwała przypuszczenie o bardziej intymnym związku. Hitler przypominał zapalonego zbieracza, który woli rozkoszować się najwspanialszą zdobyczą w zaciszu swojej kolekcji... Cała ta sprawa, już i tak tajemnicza, nabrała jeszcze większej tajemniczości, gdy my, najbliżsi mu ludzie, już przy samym tragicznym końcu dowiedzieliśmy się z głębokim zdumieniem, że mają się pobrać”.

Natomiast Albert Speer powiedział, że „postać Ewy Braun rozczarowała wszystkich historyków”.

Kiedy został kanclerzem, a następnie Führerem zamieszkał w Berlinie. Ewa Braun pozostała w Monachium. Przyjechał do Monachium i zabierał ją do Berghofu. Kiedy siostra Hitlera, Angela Raubal, zarządzała willą w Berghofie, po karciowej awanturze z Ewą, której nie cierpiała, wyniosła się na stałe (1936 r.). Ewa została panią domu i uzyskała prawo zasiadania przy stole po lewej stronie Hitlera. Pokój Geli — jak sanktuarium — został w nienaruszonym stanie do upadku Rzeszy.

Rzadko widywano Hitlera z Ewą. A jeszcze rzadziej w Berlinie. Hitler dbał o swoją reputację. Polityka ja nie interesowała, a intelektualnych ciągów nie miała. Lubiła narty, pływanie, kino i stroje. Zainteresowanie jej zaczynało i kończyło się na brukowych kłótniach, chałwowych filmach, których jedyną treścią była miłość. Ubięła się wyzywając.

Zazdrość zżerała Führera. Nie opuszczała go myśl, iż w

zasie, gdy on jest w Wilczym Szanicy koło Kętrzyna, czy też w kwatery polowej w Winnicy, ona znajduje się w objęciach innego. Ale i ona była chorobliwie zazdrośna o „Adolfa”. Szczególnie dala się to zauważyć w okresie przed wybuchem II wojny światowej, kiedy Hitler miał więcej czasu, a w każdej kobiecie z jego otoczenia widział rywalkę.

GDY WYBUCHŁA WOJNA

Wybuch wojny bez reszty pochłoniął Hitlera. Coraz rzadziej przyjeżdżał do Berghofu, gdzie przebywała Ewa. Miało to dla niej i dla strażniczek. Adolf Hitler pochłonięty wojną, utwierdzał ją w przekonaniu, iż nie potrzebuje się bać rywalki. Nie da się jednak tego związku uczuciowego porównać do stosunku Hitlera z Geli.

Z czasem wydał zezwolenie na przyjazd i przebywanie w pewnych okolicach w „Wilczym Szanicy” koło Kętrzyna. Kazał tam wybudować Ewie willę nad jeziorą w obrębie kwatery. Aleja między bunkrami Hitlera a willą była miejscem częstych ich spacerów, gdzie on wygłaszał coraz słabszym głosem monolog „o podobno” i „o rasie pań”. A ona ze stoickim spokojem, jako jego najwierniejszy słuchacz, pozwalała mu na wywnętrzenie się zaskarbiając w ten sposób jego uczucie. Nigdy nie wywierała najmniejszego wpływu na jego decyzje (na co Hitler nigdy by też nie pozwolił). Osiwiał jej się to opłacało. Osiwiał to, o czym prosta, mało inteligentna, zbyt przeciętna dziewczyna, pochodząca z rodziny rzemieślnika marzyła w pierwszym roku ich znajomości, a próbowała zaskoczyć Hitlera popełnieniem samobójstwa — zdobyła człowieka w jej prymitywnym pojęciu wielkiego.

OSTATNIE DNI I GODZINY

Kleszcze Armii Radzieckiej zaciskały się wokół Kancelarii Rzeszy. Adolf Hitler przygotowywał się do popełnienia samobójstwa. Swoim następcą wyznaczył admirała Karla Dönitza, kierownika NSDAP — Martina Bormanna, a fotel kanclerski Josephowi Goebbelsowi. Heinrich Himmler i Hermann Göring zdradzili, próbując przejąć władzę i podjąć pertraktacje o odrębny pokój.

Była godzina 15.30, ponie-

dzialek 30 kwietnia 1945 r., w dziesiątą godzinę po północnych godzinach Hitlera. Odszedł wtedy największy zbrodniarz wszechczasów strzelając sobie w usta, Ewa Hitler z domu Braun zażyła truciznę (Hitler poślubił Ewę między godziną 1.00 a 3.00 29 kwietnia 1945 r.). Ciało obojga, zgodnie z życzeniem Hitlera wyniesiono przed Kancelarię Rzeszy, oblało benzyną i spalono.

Pozostało jednak wiele znaków zapytania, bowiem nigdy nie zostało wyjaśnione, jaki był dalszy los szczątków Adolfa i Ewy Hitlerów? Wielu ludzi już od czterdziestu lat stawia sobie pytanie, co się stało z pozostałościami zwłok, jakie miały być ich losy, jako że do dzisiaj nie udało się ich spalić.

2 maja 1945 r., kiedy wojska radzieckie zajęły Kancelarię Rzeszy a Berlin skapitulował, w ogrodzie nie znaleziono żadnych śladów zwłok Ewy i Adolfa.

Pozostaliśmy w kręgu hipotez. Ci, którzy prowadzili drobne badania nie rozwiklały zagadki, a angielski prof. Hugh Rewold Trevor-Roper, który po 9 maja 1945 r. dokładnie badał okoliczności śmierci, postawił dość śmiałą hipotezę, że prochy zebrano do pudełka i doręczono Arturowi Axmannowi przywódcy Hitlerjugend jako relikwii dla nowej generacji, która miałyby kultywować rozpoczęte szaleńcze dzieło Adolfa Hitlera.

Inna hipoteza głosi, że arty-

leria radziecka ostrzeliwując ogród 2 maja 1945 r. przemieszczała pozostałości zwłok z innymi.

Wiemy również, że Joseph Goebbels najwierniejszy z wiernych dopiero wieczorem 1 maja 1945 r. otruli czworok swoich dzieci, zastrzelili żonę i siebie, a zwłoki nie dopalone ich ciała zostały rozpoznane przez wywiad radziecki po kapitulacji Berlina. Rodzi to nową hipotezę. Goebbels — by nie zbeszczeszczono prochów Hitlera i jego żony, w którego fanatycznie wierzył — zebrał je i pochował zgodnie z wolą Führera.

Również okoliczności, w jakich Hitler odebrał sobie życie są podważane. Według radzieckiego autora Lwa Bezymienskiego Adolf Hitler nie zginął od kuli samobójczej, lecz po zażyciu trucizny. Uważa on, że Hitler był zbyt wielkim tchórzem, by strzelić sobie w łeb.

Powracające upiory

Od zakończenia drugiej wojny światowej w Europie mijają właśnie 42 lata. I mimo tak długiego czasu, który dzieli nas teraz od tamtych dramatycznych dni, ciągle powracają sprawy i problemy z „epoki pieców”. Oto znów pojawił się upiór Adolfa Hitlera. Nie dziwi mnie fakt, że wódz Tysiąclecia Rzeszy interesuje historyków, że budzi ciekawość następnych pokoleń, które chcą wiedzieć, kim był człowiek, który podbił całą Europę, którego wierna wojska były pod Moskwą, Leningradem, Stalingradem, na Krymie i w Afryce, a który w wieku 58 lat popełnił samobójstwo 30 kwietnia 1945 roku.

Ano właśnie, czy rzeczywiście popełnił samobójstwo? Oto po raz któryś już z rzędu pojawia się plotka, że Adolf Hitler nie popełnił samobójstwa w poniedziałek 30 kwietnia 1945 roku. W Argentynie pojawił się przedsiębiorca z Mendosy, chorwackiego pochodzenia Max Grigoric, który twierdzi, że Adolf Hitler dożył 97 lat i umarł w Ameryce Łacińskiej. Natomiast Ewa Braun żyje nadal i opiekuje się czwórka adoptowanych dzieci. Max Grigoric chce za ujawnienie szczegółów pół miliona dolarów, co nie jest znowu tak wielką sumą za tak rewelacyjną i sensacyjną wiadomość. Powiada, że gdyby ta wiadomość w trakcie sprawdzania nie okazała się prawdziwą, zwraca pieniądze, Transakcja wydaje się być uczciwą, ale jest też niewiarygodna.

Kilka lat temu cały świat obiegła inna sensacyjna wiadomość: oto odkryto pamiętniki Adolfa Hitlera. Wnet okazało się, że to tylko sprytna mistyfikacja. Wybuchł skandal na światową miarę.

Jak będzie teraz?

Istotnie wiadomości o śmierci Adolfa Hitlera były dość sprzeczne. Podawano, że się zastrzelił, inni, że się otrul. W końcu okazało się, że właściwie to Adolf Hitler i Ewa Hitler z domu Braun otruli się, a na dodatek — dla całkowitej pewności — osobisty ordynans Hitlera Heinz Linge dobił go strzałem z pistoletu. Ale — jak pisał w książce „Upadek III Rzeszy” Franciszek Bernas i Julita Mikulska-Bernas — nie jest do końca pewne, czy dobił Adolfa Hitlera jego ordynans Heinz Linge czy też uczynił to Sturmbannführer Otto Günsche.

Co stało się ze zwłokami?

Gdy do oblężonego przez Armię Radziecką Berlina przyleciała czołowa pilotka III Rzeszy — Hanna Reitsch — rozstrzelany wódz Tysiąclecia Rzeszy wręczył jej ampułkę z trucizną i powiedział:

— Hanno, pan należy do tych, którzy umrą wraz ze mną. Wszyscy mamy ampułki z podobną trucizną. Nie chcę, aby ktoś z nas wpadł żywy w ręce Rosjan, i nie chcę też, aby odnaleźli nasze ciała.

Po kapitulacji Berlina Georgij Żukow i inni radzieccy dowódcy udali się do Kancelarii Rzeszy, aby „przekonać się o samobójstwie Hitlera, Goebbelsa i innych przywódców faszystowskich”. Georgij Żukow we „Wspomnieniach i refleksjach” takimi dzieli się uwagami:

„Zameldowano nam, że wszystkie zwłoki Niemcy rzekomo pogrzebali w wyznaczonych miejscach, ale gdzie i kto je pogrzebał, tego nikt dokładnie nie wiedział. Słuto różne przypuszczenia...”

Szukaliśmy śladów ognisk, na których rzekomo spalono zwłoki Hitlera i Goebbelsa, ale ich nie znaleźliśmy. Natrafiliśmy wprawdzie na ślady ognisk, ale bardzo niewielkich; zapewne niemieccy żołnierze gotowali przy nich wodę.

Kończyliśmy już oglądanie Kancelarii Rzeszy, kiedy zameldowano nam, że w podziemiach znaleziono zwłoki sześciorga dzieci Goebbelsa. Przypomnę, że nie starczyło mi sił, by zejść na dół i zobaczyć dzieci umierające przez rodziców. Wkrótce w pobliżu schronu znaleziono zwłoki Goebbelsa i jego żony. Do rozpoznania zaangażowano doktora Fritzschego, który potwierdził tożsamość osób.

Wszystkie okoliczności skłoniły mnie początkowo do podania w wątpliwość wersji o samobójstwie Hitlera, zwłaszcza że nie znaleźliśmy również Bormanna. Pomyślałem wówczas, że Hitler uciekł w ostatniej chwili, kiedy nie było już nadziei na udzielenie Berlinowi pomocy z zewnątrz. Wątpliwość tę wyrażałem również na konferencji prasowej, w której uczestniczyli radzieccy i zagraniczni dziennikarze.

Nieco później, w wyniku przeprowadzonego śledztwa, przesłuchania licznej personelu lekarskiego Hitlera itd., zaczęły napływać dodatkowe, bardziej konkretne wiadomości, potwierdzające fakt samobójstwa. Jestem dziś przekonany, że nie ma żadnych podstaw, by wątpić w prawdziwość wiadomości o samobójstwie Hitlera”.

Jakie to były nowe informacje, bardziej wiarygodne, które zmieniły przekonanie Georgija Żukowa?

Poszukiwania trwały. 5 maja 1945 roku znaleziono nadpalone zwłoki. W Kancelarii Rzeszy nie było tyle benzyny, aby starczyło jej na doszczętne spalanie zwłok na wolnym powietrzu. Jak wspominał świadkowie udało się zebrać 180 litrów benzyny, a było potrzeba dużo więcej. Zaangażowano dentystę Adolfa Hitlera, który rozpoznał zwłoki wodza Trzeciej Rzeszy.

Jak się okazało w wyniku tych badań oboje małżonkowie Hitlera otruli się cyjankiem potasu. Resztki ampułki znaleziono w szuflce Adolfa i wewnątrz Adolfa. Adolf Hitler został dobił jeszcze strzałem z pistoletu, aby nie było żadnej wątpliwości, że nie żyje.

Dlaczego Adolf Hitler wolał truciznę od bardziej honorowego strzału z pistoletu? Otóż dlatego, że po zamachu z 20 lipca 1944 roku trzęsły mu się niestannie ręce i jak sam się przyznawał, nie mógł utrzymać broni w tych trzęsących się rękach. Nie mógł zatem strzelić do siebie. Wolał zażyć truciznę, choć bał się, że może ona okazać się nieskuteczna i dlatego kazał się dobić.

Wspomnieli już Franciszek Bernas i Julita Mikulska-Bernas napisali w książce „Upadek III Rzeszy”, która ukazała się drukiem w 1975 roku:

„Kilka lat temu wreszcie, na podstawie danych opublikowanych przez władze ZSRR, uznano samobójstwo Hitlera za pewnik, co nie usunęło jednak kontrowersji odnośnie szczegółów tej śmierci”.

A przecież byli przy niej ludzie, którzy nie poszli w ślady Adolfa Hitlera, przeżyli i ponieśli zasłużoną karę. Jest też Martin Bormann, który znikł bez śladu i tylko od czasu do czasu wraca wieść o nim, że żyje gdzieś w lasach Ameryki Południowej. Jest też dr Joseph Mengele, którego do dziś wywiad Izraela bezskutecznie poszukuje. Ostatnio rozszedła się wieść, że zmarł już w którąś z kofin nie uwierzono. Był też Adolf Eichmann, którego po latach odszukali izraelscy komandosi i porwali. Dopiero teraz odbędzie się proces Klaus Barbiego, „Kata z Lionu”, trwa w Izraelu proces „Iwana Groźnego” z Treblink — Iwana Demianuka, odbył się w Jugosławii proces Andrija Artukowicza. Wracają upiory „epoki pieców”. Wracają, aby ponieść karę.

Adolfa Hitlera lepiej nie wskrzeszać. Niech pozostanie w kręgu zainteresowań historyków. Nie staną wprawdzie przed Trybunałem Narodów w Norimberdze, ale świat go osądził jednoznacznie, jako największego zbrodniarza, który winny jest śmierci milionów ludzi.

ROGER CAILLOIS

Z książki „Żywiol i ład” (1973 rok)

WITOLD BOROWY

Oblicze dyktatora

Adolf Hitler jawi się jako przeciwstawienie męża stanu — zarządcy rozsądnego, sumiennego i z natury rzeczy podziwiającego — i słabości swych współobywateli. Jest on bowiem i ma być tylko jedynym z nich, czasowo głosami większości delegowanym do sprawowania władzy Dyktator ucieleśnia zjednoczone siły nieskazitelności i Główny. Nie jest to człowiek trudu, nie ma nic wspólnego z „zaharowanym” biuralistą, choć w razie potrzeby umie pracować jak nikt inny. Woli jednak pedzić czas na łonie natury, słuchać śpiewu ptaków, które kocha i otacza opieką. Na początkach i nawet na znacznych figurę w towarzystwie dzieci. Lubi bawić się z psami i glaskać je. Jest wegetarianinem, nie pali, uchodzi za stroniącego od kobiet: we wszystkim wznosi się ponad ludzkie słabości.

Rzadko występuje publicznie, a jeśli — to w doniosłych chwilach, by zadać groźny cios, od którego świat drży w posadach; odrzuca wtedy łagodność, by przedzierzgnąć się w gwałtownika. Potem znów opuszcza ludzką społeczność oraz nieprzytomne owacje swego ludu powraca do samotności i milczenia pośród gór, gdzie powietrze szczytów przywraca mu siły i energię. Kazał sobie zbudować niezwykłą rezydencję w Obersalzberg. Liryzm opisu sporządzonego przez

ambasadora Francois Poncet dowodzi, że rezydencja ta wywierała pożądane wrażenie:

„Z daleka miejsce to robi wrażenie obserwatorium czy pustelni wznoszącej się na wysokości 1900 m, na szczycie gór. Dojeżdża się tam serpentyną długości około 15 km, śmiało wyrąbaną w kamieniu i przynoszącą zaszczepi zarówno talentowi inżyniera Todta, jak wytrwałej pracy robotników, którzy w trzy lata dokonali tego gigantycznego dzieła. Droga kończy się długim podziemnym tunelem, zamkniętym ciężką podwójną bramą z brązu. U krańca tunelu oczekuje gości przestronna winda, wyłożona miedzianymi płytami. Pionową sztolnię wylutą w skałę winda wjeżdża 110 m na poziom, na którym wznosi się sześcizbowa Kancelaria. Tu czeka nas największa niespodzianka. Odmierzający ma przed sobą maszynę, rozłożysty gmach, na który składają się: krużganek wsparty na romańskich kolumnach, ogromna oszklona rotunda (w niej kominek z płonącymi wielkimi polanami, stół, wokół niego ze trzydzieści krzesel) oraz parę bocznych salonów, gdzie tu i ówdzie stoją eleganckie, wygodne fotole. Z loggi jak z samolotu rozpościera się na wszystkie strony wspaniała górską panorama. W głębi widać Salzburg i pobliskie wsie, a nad nimi — jak okiem sięgnąć — góry, hale i lasy pną-

ce się po zboczach. Tuś obojętny, który robi wrażenie zawieszony w pustce, wznosi się prawie prostopadle w górę stroma ściana nagich skał. Całość, tonąca w smierczach jesiennego wieczoru — jest wspaniała, ma w sobie coś dzielnego, nieomal coś z halucynacji. Przybyły zadaje sobie pytanie, czy to sen, czy jaw. Gdzie jestem? Czy to zamek Monsalvat, siedziba rycerzy Graala? Góra Athos, rzymska jasknia schronienia medytacyjnym pustelnikom, pałac Antinea wzniesiony w sercu Atlasu? Czy może urzeczywistnienie jednego z owych fantastycznych rysunków, jakimi Victor Hugo ozdabiał marginesy rękopisu „Burgrabiów”, kaprys miliardera czy po prostu pieśń, gdzie bandyci odpoczywają i dzielą swe łupy? Czy to dzieło normalnej psychiki, czy też jednego z ludzi dręczonych manią wielkości, nurtowanych żądzą władzy i samotności lub po prostu nekantycznym strachem?”

Jest to nade wszystko niedostępny azyl, wzniesiony na miarę myśli, w których Natchniony pograża się w przerwach między swymi straszliwymi epifaniami, w okresach, gdy legną siły owe profetyczne uniesienia, pod których wpływem dyktuje nagle światu nowe warunki, rzucając na szalę argument, jakim jest cały sfanatyzowany kraj.

Pozór ten jest często zewnętrzny: dotyczy jedynie gestów, postaw, charakteru postaci, scenarii, w której Wódz najchętniej występuje. Wszystko to pośrednio tylko informuje o istocie jego władzy. Charakter jej tak dalece zbija z tropu obserwatorów przyzwyczajajo-

Kiedy można zasłonywać się do głosu? Co mają robić dziennikarze Moldawii, aby nie zagadać „pierestrojki”? Poza Moldawię piszą krytyczniej o Moldawii.

Dwudziesty pierwszy prosi o głos

W. JEFRIEMOW

Mój telefon wprawił W. Atamanienkę, sekretarza Zarządu Związku Dziennikarzy Moldawii (obecnie już byłego) w stan pewnego zakłopotania. Na prawie miesiąc przed zjazdem dziennikarzy republiki postanowiłem zapisać się do głosu w dyskusji. Zaczęła mi długo i obszernie wyjaśniać, że to nie od niego zależy...

— Od kogoż więc? — dopytywałem się.
— Ty, co z księżycą spadłeś? — szepnął mi. — Nie wolno, jak się to wszystko robi.

— Wiem — nastawałem — ale czyż to takie trudne. Na dwa dni przed zjazdem znowu zadzwoniłem do W. Atamanienki. Powiedział mi, że znajduję się na liście, ale poza pierwszą dwudziestką, i jeśli nie zawiadą ci przede mną, to nie zostaną dopuszczeni do głosu. Z natury jestem optymistą, a ponadto słyszałem jak przebiegały zjazdy związków twórczych w Moskwie, i prawdę mówiąc, miałem nadzieję (przecież teraz inne czasy), że dadzą się wypowiedzieć wszystkim, którzy tylko będą chcieli. Gwarancją tego atmosfera demokracji, która coraz powszechniej panuje w kraju. Niestety, nadzieje moje nie miały się spełnić. Dyskusję zakończono wcześniej. Czując, jak topnieją fiolety występujących znowu przypominałem o sobie karteczką do prezydium: „proszę o głos”. Nie otrzymałem na to odpowiedzi. Dlatego chcę obecnie podzielić się w prasie swoimi uwagami o zjeździe.

Moim zdaniem zebrania sprawozdawczo-wyborcze w wielu podstawowych organizacjach Związku Dziennikarzy odbyły się na chybką i poślizgnięciu. W sposób przeorganizowany i formalny prowadzony był w przeddzień zjazdu „okrągły stół” na temat naszej praktyki dziennikarskiej z udziałem delegatów na zjazd. Obskubane i powierzchowne było również sprawozdanie z niego w prasie republikańskiej.

Po tym, jak wysłuchano długiego i nudnego dla profesjonalnej publikacji, jaką są pracownicy pióra, referatu przewodniczącego Zarządu Związku Dziennikarzy Moldawskiej SRR M. Jeremija, liczni delegaci byli zalamani tą morderczą procedurą, przytępił się ich bojowy nastrój, pierzchyły rzeczowe myśli i uczucia, bowiem zrozumieć, a raczej uświadomić sobie, że niczego nieoczekiwanego na tym zjeździe nie będzie. I tak, niestety, było.

— Dlaczego dzisiejszy referat nas nie zadowala? — mówił na zjeździe P. Krystow, redaktor gazety „Wieszczyński Kłyszynów”. — Dlatego, że nie wyraża naszej zbiorowej myśli. Coś w tym stylu usłyszeliśmy już dziesięć lat temu, tyle tylko, że referat był inny.

Sądząc po reakcji sali, wystąpienie to, nawiasem mówiąc, jedno z nielicznych, owacyjnie poparli delegaci. Ogólnie jednak rzecz biorąc, zjazd odbył się według starego scenariusza. Była to para- dę etatowych mówców, bez walki idei i twórczej dyskusji, bez aktywnego poszukiwania prawdy, tak charakterystycznego dla naszych czasów, bez chęci zrozumienia, co i jak trzeba zrobić, żeby istotnie przyspieszyć przebudowę, w sposób zauważalny odnowić i poprawić życie. Dlategoż wcześniej nie zapoznano delegatów z tezami referatu sprawozdawczego i nie dano chętnym możliwości wypowiedzenia się z miejsca? Surowy regulamin (po coś miał to samo bez końca) pomógłby zaoszczędzić czas dla innych dyskusyj. Słowem, w organizacji tego ważnego przedsięwzięcia nie było elementów prawdziwie twórczych, jakie powinny cechować dziennikarzy.

Tymczasem sytuacja w republice wymaga głębszego podejścia do analizy zachodzących zmian, energiczniejszego dążenia całego korpusu dziennikarskiego do zorientowania się w naszym życiu gospodarczym i kulturalnym. Na styczniowym (1987) plenum KC KPZR powiedziano dość ostro: „w wyjątkowo wypaczonych formach negatywne procesy, związane z degeneracją kadry oraz naruszeniami socjalistycznej praworządności, ujawniły się w... Moldawii...”. I najprawdopodobniej w niemałym stopniu ponoszą za to winę dziennikarze.

Ktoż, jak nie nasz związek — jeden z najważniejszych realizatorów w praktyce leninowskich założeń — ma dawać przykład w utrwalaniu zasad jawności, otwartości i prawdziwości? Ktoż, jak nie my ma w przyszłości uprzedzać o pojawianiu się błędów prowadzących do zjawisk zastojowych? Dzisiaj, znajdując się na falach zachodzących zmian, powinniśmy sobie jak nigdy dotąd zadać pytanie: czy jesteśmy w stanie pryncypialnie i uczciwie powiedzieć z łamów gazet i czasopism o sprawach nabrzmiałych, zmienić i popchnąć sytuację ku lepszemu, czy też poprzez nieustanne dyskusje o przebudowie jesteśmy w stanie „zagadać ją” i jeszcze bardziej oderwać od życia praktycznego?

Nie będę ukrywał, iż w referacie i w licznych wystąpieniach często brzmiały słowa „przebudowa” i „przyspieszenie”. Ale wyglądało to na ogół, obrazowo mówiąc, jak próba przyspieszenia nowych guzików do starego kaptana, który już dawno pora zmienić. Nieprzypadkowo redaktor rejonowej gazety „Świat Oktabria” T. Tofan mówiła z gorzkością, iż wiele oczekiwała od zjazdu, lecz ten nie spełnił jej nadziei. Nie można, niestety, nie zgodzić się z tym. Przecież nawet sprawozdanie ze zjazdu: „Prasa niezawodnym narzędziem przebudowy”, opublikowane w prasie republikańskiej, było bardzo suche i nadmierne użycie.

Nie można powiedzieć, iż w prasie republikańskiej nie pojawiły się nowe rubryki. One są i jest ich niemało. Ale są to znowu te same „guziki”. Prasa republiki jeszcze nie stała się prawdziwą ostoją przebudowy. Ciągłe jeszcze silne są powstrzymujące ją przed ruchem do przodu hamulce, nie usunięto założeń rozlicznych „uzgodnień”. Również materiały gazetowe często nie poprzedzają takich czy innych dokumentów partyjnych, a jedynie wyjaśniają ich treść, więc publicyści wymachują kulkami po bójce.

A tymczasem gazety centralne publikują wiele ostrych i aktualnych materiałów na temat Moldawii. Jest więc, jak się mówi, u kogo uczyć się krytyki. Ale nawet te publikacje są rzadko przedrukowywane w lokalnych gazetach, wyraża jest tendencja ich przemilczania, sprawiania wrażenia, że się ich nie zauważyło, a w najgorszym wypadku rzecz załatwia się drogą „odpowiedzi listownej”. Czyż nie dlatego na łamach prasy centralnej zaczęła się coraz częściej pojawiać rubryka „wracając do wydrukowanego”?

Chciałem powiedzieć z trybuny zjazdu o niedostatkach w naszej polityce kadrowej, z powodu czego myślenie oczu stało się w republice masowe. O tym, że od pewnego czasu zaufowali sobie w kierownictwie „niezapalalne kadry”, dla których najważniejsze to „wejść w nomenklaturę”. Oburza mnie milnik w przebudowie, jej imitacja. Oburza mnie lekkomyślność i brawurowe podejście do rozwiązywania problemów ideologii i kultury w naszej republice, poziom kompetencji kadry kierowniczej. Nie wiadomo dlaczego uważa się, iż tym niezwykle skomplikowanym odciśnięciem, gdzie bierze początek nasza moralność, może kierować ktośkolwiek, byle tylko miał odpowiednie dane ankieta. (...)

Dziennikarze muszą nadać dziś przebudowie nieodwracalny charakter. Przy tym, i to rzecz bardzo ważna w warunkach kontaktów międzynarodowych, dziennikarze piszący w różnych językach. Delegat G. Kożemiakin z trwogą mówił na zjeździe o inicjatywie studentów wydziału dziennikarskiego Uniwersytetu Kiszyniowskiego zebrania środków na budowę pomnika partyzanckiego oddziału „Dziennikarzy”, którego członkowie zginęli w młodej wojnie o wyzwolenie Moldawii. Na apel zareagowały liczne organizacje dziennikarskie kraju w tym w Moskwie, Uzbekistanu, Kujbyszewa, Smoleńska i Orła. Przekazały one pieni-

dze na budowę pomnika w moldawskich Kodrach, dając tym samym prawdziwą lekcję internacjonalizmu. Z niewiadomych powodów większość podstawowych organizacji dziennikarskich republiki na razie nie widnieją na liście ofiarodawców. (...)

Wykonanie wielu zadań dziennikarskich jest niemożliwe bez rozwoju demokracji wewnątrz naszego związku twórczego. I w sposób aktualny, moim zdaniem, zabrzmiła w jednym z wystąpień na zjeździe, propozycja, iż organa Związku Dziennikarzy wcale nie muszą mieć w trybie obowiązkowym w składzie zarządów szefów środków masowej informacji. Szkoda, że propozycja tej prostej „nie zauważono”.

Pominęto milczeniem również próby delegatów wypowiedzenia się o swoich poglądach w sprawie „uciszenia” wcześniej uzgodnionej listy kandydatów do organów wydawniczych. Cóż tam uciszać, jeśli wszystko zostało obgadane? Chciałoby się więc dowiedzieć: z kim? Kto odważył się wysuwać do organów kierowniczych dziennikarzy, których nazwisk prawie nie widać na łamach prasy?

Przyznam się, że bardzo chciałem usłyszeć, choćby dla samej formy, tradycyjnej: „Czy ktoś nalega na udział w dyskusji?”. Ale nie usłyszałem. Zmęczeni delegaci, bez namysłu, zgodzili się na zamknięcie dyskusji. I głosu tym, którzy znaleźli się pod kreską na liście, nie dano. Ciekawe, czy ktośkolwiek z nas będzie chciał prosić o głos na następnym zjeździe?

(„SOWIETSKAJA KULTURA” nr 31 z 1987 r.)

Nikita Chruszczow twierdził, że Józef Stalin planował wielkie operacje wojenne na... globusie. Georgij Żukow wyrażał się o nim z uznaniem. A co sądzą historycy?

Czy Józef Stalin był wybitnym dowódcą?

Jeden z wybitnych radzieckich historyków podważał sławę zmarłego w roku 1953 dyrektora i generalissimusa Józefa Stalina sprzeczając się do tego, że Wielką Wojnę Ojczyźnianą przeciwko hitlerowskiemu Niemcom wygrał on w stylu wybitnego dowódcy wojskowego — piszą z Moskwy agencje „Reuters” i DPA. „Jestem bardzo daleki od tego, żeby uważać Stalina za wielkiego dowódcę wojskowego” — oświadczył historyk, członek Akademii Nauk ZSRR Aleksander Samsonow na łamach tygodnika „Argumenty i Fakty”. W rzeczywistości bowiem Stalin doprowadził Związek Radziecki w okresie II wojny światowej nieomal na krawędź katastrofy.

W roku 1942 Józef Stalin dał się nabrać na podstęp Adolfa Hitlera, którego celem było zmniejszenie kierownictwa radzieckiego co do rzeczywistych planów niemieckich w prowadzeniu wojny z ZSRR. Mimo to w oficjalnych radzieckich relacjach historycznych twierdził się coś wręcz odwrotnego, tzn. utrzymuje się, że podstęp ten nie powiódł się. Fakt przedarcia się armii niemieckich głęboko pod Moskwę był również skutkiem błędnych kalkulacji Józefa Stalina — twierdzi Aleksander Samsonow.

„Reuters” pisze, że zachodni eksperci w Moskwie oceniają opublikowanie wypowiedzi prof. Aleksandra Samsonowa na łamach dostępnego głównie dla naukowców i lektorów partyjnych czasopisma jako radykalną zmianę oceny roli Stalina w czasie ostatniej wojny i jako początek procesu pomniejszania jego znaczenia jako dowódcy wojskowego. Nawet po napiętnowaniu Józefa Stalina przez ówczesnego przywódcę KPZR Nikitę Chruszczowa, jako tyrańca w trakcie rozpoczętej w 1956 r. kampanii destalinizacji, pozostał nieknięty jego utrwalał w opinii publicznej wizerunek nieugiętego naczelnego wodza Armii Czerwonej, który swoimi mądrym kierowaniem operacjami wojskowymi doprowadził Związek Radziecki do zwycięstwa.

Aleksander Samsonow uważa, że w oficjalnych relacjach historycznych pomija się po dzień dzisiejszy „trudne sprawy”, które dotyczą sposobu prowadzenia wojny z radzieckiego punktu widzenia. Wiele błędów i drażliwych spraw albo się upiększa, albo po prostu przemilcza. Do błędów Józefa Stalina należy zaliczyć odmowę ogłoszenia powszechnej mobilizacji Armii Radzieckiej w przededniu napaści Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki w czerwcu 1941 r.: uparte trzymanie się założenia, że w roku 1942 Wehrmacht rozpocznie ponownie szturm na Moskwę oraz sposób traktowania żołnierzy Armii Czerwonej, którym udało się zbiec z niewoli niemieckiej.

„My, historycy, pisaliśmy do tej pory, że wojna rozpoczęła się w wyniku niespodziewanej napaści Niemiec na ZSRR, lecz w rzeczywistości ten akt nie był tak niespodziewany — twierdził Aleksander Samsonow. — Niespodziewano wojny z Niemcami była oczywista na długo przedtem, samą tą wojną rozpoczęła się”.

Józef Stalin, który był w pełni świadomy, że Związek Radziecki nie jest dobrze przygotowany do wojny w sensiebrojnym, przekonywał sam siebie, że początek wojny można odsunąć w czasie i skłaniał innych do takiego działania. „Kiedy już był całkiem jasne, że Niemcy przystąpią do ataku, Stalin — wbrew wszelkim zastrzeżeniom i sugestiom — nie wydał rozkazu powszechnej mobilizacji i nie doprowadził do postawienia wojsk w zachodnich rejonach ZSRR w stan pełnej gotowości” — pisze Aleksander Samsonow.

Wydane na Kremlu na kilka dni przed niemiecką napadą na ZSRR oficjalne oświadczenie określało jako prowokację wszelkie domysły i przypuszczenia, że Wehrmacht przygotowuje się do ataku i podległoby za sobą to, że wojska radzieckie na granicy zachodniej zostały wyprowadzone w pole. „Gdyby nie te błędne oceny i założenia, niemiecki Wehrmacht najprawdopodobniej nie dotarłby do Moskwy i Leningradu, aczkolwiek wdarłby się na nasze terytorium. To była cena błędów popełnionych w przeddzień wojny”. Z kolei latem 1942 r. Józef Stalin upierał się, że Niemcy ponownie zaatakują Moskwę i tam właśnie rozlokował swoje rezerwy.

Jednakże armie hitlerowskie uderzyły w kierunku południowo-wschodnim, przełamując radzieckie linie obronne — stwierdza Aleksander Samsonow. Doprowadziło to do rozpoczęcia później latem 1942 r. bitwy o Stalingrad, która była rozgrywana w okresie, gdy kraj znajdował się w „rozpaczyliwej sytuacji”. W roku 1942 Stalin został częściowo wyprowadzony w pole przez realizowany przez Niemców plan operacyjny pod kryptonimem „Kreml”, którego założeniem było oszukanie radzieckiego kierownictwa, co do rzeczywistych zamiarów Adolfa Hitlera. „Plan ten powiódł się zupełnie i w całości”, jednakże w oficjalnych pracach źródłowych, w tym 4-tomowej radzieckiej „Historii II Wojny Światowej” twierdzi się, że plan „Kreml” nie osiągnął założonego celu. Tak też utrzymuje Aleksander Samsonow, który sam napisał wiele książek na temat wojny przeciwko Hitlerowi. „Stoi to w jaskrawej sprzeczności z faktami historycznymi — stwierdza on. — Hitlerowskiemu naczelnemu dowódczemu udało się podsunąć naszemu kierownictwu fałszywe informacje”. Podobnie było w latach 30-tych, kiedy to nazistowskie kierownictwo podsunęło Stalinowi myśl, że jego najbliżsi generałowie są szpiegami.

Profesor Aleksander Samsonow doszedł do przekonania, że radzieccy historycy, owładnięci trzwożliwością, dokładają wciąż wszelkich starań, żeby w swych pracach historycznych pomijać sprawę losu całych radzieckich armii, które we wczesnej fazie wojny zostały otoczone przez armie niemieckie. „Wiedzą oni bowiem, że w okresie wojny od wszystkich naszych wojsk walczących na froncie, począwszy od prostego żołnierza a skończywszy na naczelnym dowódcach, żądano, aby w sytuacji bez wyjścia

wybrał raczej śmierć niż zdecydował się na pójście do niewoli”. Pójście do niewoli uważano za hańbę, a każdy kto w niej się znalazł, był po powrocie do Związku Radzieckiego traktowany z wielką nieufnością — pisze Aleksander Samsonow. Ci, którzy zdołali przeżyć piekło niewoli, wśród nich radziecki poeta Jewgienij Dołmatowski, mogliby odpowiedzieć, ilu radzieckich żołnierzy, którzy zbiegli z niewoli niemieckiej i przedostali się z powrotem na radziecką linię frontu, zostało uwięzionych lub po prostu rozstrzelanych.

Agencja TASS przekazała omówione przemówienie Jegora Ligaczowa na spotkaniu w Państwowym Komitecie do spraw Radia i Telewizji ZSRR. Oto fragmenty depeszy TASS.

Nie naginać historii do jakiegokolwiek koncepcji

JEGOR LIGACZOW

Patrząc na historię naszego socjalistycznego państwa nie ukrywamy, że naród radziecki przeszedł i przez nieprzemijające dokonania i przez gorzkie chwile klęsk, przez trudne i złożone etapy. Wszystko było, jednak najważniejsze było i jest to, że 70 lat Października to przede wszystkim okres triumfu ustroju socjalistycznego. Nikt nie przekreśli tego bezspornego faktu, że właśnie w latach władzy radzieckiej i dzięki niej kraj stał się jednym ze światowych liderów.

Prasa, telewizja i radio, wszystkie środki ideologiczne powinny wyraźnie i przekonująco pokazywać co dał nam Październik, co dał nam socjalizm. A ukazywać jest co — nie tylko w sferze materialnej, ale i politycznej, społecznej. Ważne jest, by pełnie naświetlać cele przebudowy, przebieg jej realizacji, pierwsze rezultaty. Opowiadamy się za uczciwym i otwartym spojrzeniem wstecz, jednak jesteśmy zdecydowanie przeciwni fałszowaniu naszej chwalebnej przeszłości, przeciwni przedstawianiu naszej historii jako łańcucha ciągłych błędów i rozczarowań. Przebudowa to tworzenie, a nie negowanie. Rozpoczynamy ją nie od zera, lecz na fundamencie imponujących sukcesów i bezspornych osiągnięć licznych pokoleń społeczeństwa radzieckiego. Jednocześnie ukazując naszą historyczną drogę należy pamiętać o lekcjach przeszłości. Nie powtarzać jej błędów, nie zajmować się jubileuszami, nie naginać historii do jakiegokolwiek koncepcji, nie wygłazad jej.

Jak powstaje „drugi obieg literacki”? Średni wiek pisarzy w Leningradzie wynosi... 66 lat. Co czytelnikom obiecuje seria „Warsztat”?

Postawić na młodych

ANDRIJ WASILIEW

(...) Określenie „drugi obieg literacki” zrodziło się na Zachodzie, ale dotyczy właśnie naszych spraw literackich. Prawdę mówiąc, epitetu są niekiedy dobrane znacznie gorzej — podziemna, zakazana, prześladowana i tak dalej. Analizowanie każdego z nich, to długa historia, dlatego też zamykamy się na pojęciu „literatura drugiego obiegu”, jako najbardziej odpowiadającemu istocie. Przyznajemy więc, że taka literatura rzeczywiście istnieje. Ponieważ musi istnieć rękopis, zanim pojawi się książka. Ponieważ musi istnieć autor, zanim jego nazwisko pojawi się na okładce. Ponieważ musi istnieć określony krąg czytelników tego, co nie zostało jeszcze wydane. Inna sprawa, że sytuacja taka może trwać dość długo. Wówczas autor (musi przecież uważać się za „nie istniejącego”) przywyka do bolesnego uczucia wyjątkowości, rękopis (któremu robi się ciasno w szufladzie biurka) tak czy inaczej znajduje czytelników, a ci z kolei patrzą na niego przez pryzmat nieudanych losów twórczych autora, a ten fakt, jak wiadomo, wcale nie służy obiektywizmowi. Tak wygląda nieskomplikowany schemat tworzenia się kręgów zapoznanych geniuszów, i dość selektywnych kręgów ich wielbicieli, a także robionych ręcznie piśemek, wystąpień w mieszkankach i „lokalnej” skali wartości. Nasza krytyka wszystkiego tego najzupełniej nie zauważa. Za to zagraniczna poświada „drugiego obiegu” wzmocniła uwagę, budując swoje koncepcje na wygodnych dla niej cechach „pogardy”. Poczucie się urażonym jest znacznie łatwiej niż pozbawionym talentu, tym bardziej, że podstaw do tego ostatniego jakby nie było.

Wszystko to, co powiedziano wyżej, znajduje pełne zastosowanie do członków leningradzkiej grupy literackiej „Klub-81”. Jednakże wydawców tego rodzaju sława „młodej rezerwy” wcale nie przestraszyło. Rozumowali oni słusznie, iż z abstrakcyjnego gadania o młodych jest znacznie mniej korzyści niż z bezpośredniej znajomości z nimi, zarówno dla czytelników, jak i dla pisarzy i krytyków, a co najważniejsze dla literatury ojczyzny. Nie przestraszyły ich również skomplikowane stosunki wzajemne autorów z realizmem, nadmierne niekiedy ambicje, a nawet lekceważenie znaków przestankowych (w „Kompozycji jaszowej” Wiktora Szirali w 63 wierszach jest zaledwie jeden myślnik i jeden wykrzyknik).

Chcieli oni po prostu pokazać w swojej książce „Kolo” część rzeczywistości bieżącego procesu literackiego i, rzecz naturalna, zrygnęwali z chęci natychmiastowego przyzobaczenia tejże rzeczywistości. Oczywiście „Kolo” nie stało się zjawiskiem literackim. „Uciszyło się. Uleżało się. Groziło — i nie wybuchło” — jak powiedziano w jednym z wierszy (Olga Bieszenkowskaja). Ale czemu tu się dziwić? Przecież i od dawna nam znani pisarze i poeci prawdziwych odkryć dokonują nie tak znowu często. Ważne jest zupełnie coś innego — leningradzki oddział wydawnictwa „Sowietzskij Pisatel” stworzył precedens rzeczywistej orientacji na młodzię, publikując ich prace w serii „Warsztat”. Dowiedziano, że sprawa ta opłaca się nie najgorzej i nie polega za sobą żadnych zgubnych następstw. Fakt oczywisty? Tak, ale temu i otemu trzeba było tego dowiedzieć, a nie tylko składać deklaracje. Tymczasem średni wiek w leningradzkiej organizacji pisarskiej wynosi 66 lat. I to, niestety, jest również fakt oczywisty.

Cóż więc się dzieje w sercu „Warsztat”? Po „Kole” wyszedł w świat zbiór młodych publicystów „Z rzeki o imieniu fakt” i książka „Nabrzeże” siedmiorga młodych prozaików. Dalsze dwie książki ukazały się jeszcze w tym roku, a pięć kolejnych znajduje się w opracowaniu redakcyjnym. Znaczący to, że perspektywy są nie najgorsze. I widać się je właśnie w debiutantach. „Klub-81” w dalszym ciągu zaopatruje wydawnictwo w autorów. Prawda jest, że dotyczy to na razie tylko poetów. Prozaicy postanowili zatrzymać obiecywane arcydzieła — najwyraźniej rewidują swoje oceny. Też, trzeba powiedzieć, młodo. Dlatego też „Kolo” można uważać za udaną robotę. I oczekiwać podobnej roboty od innych wydawnictw. Choć wydaje się, że byłoby one podobne. No, ale jest to tym bardziej interesujące.

„MOSKOWSKIE NOWOSTI”

Leonard: „Upiór”

Akcja powieści, z której drukujemy fragmenty, rozgrywa się w przededniu inwazji aliantów na Francję, rozgrywa się ona po obu stronach kanału La Manche w różnych środowiskach i miejscach. Jeden z jej wątków obejmuje Polskę. Ten właśnie prezentujemy w fragmentach.

(przedruk w całości lub fragmentach zastrzeżony)

Wzruszyła do pieca płachtę gazety, resztę drewnianek i nie widząc w kuchni niczego do podtrzymywania ognia, wyrwała z tasaka obłupiony trzonek. W piwnicy leżało pocięte drewno, ale trzeba było biec po nie przez podwórze, tarmosząc się z sardzewiaki, zacinając się kłódką — nie, teraz by tego nie zrobiła. Nie chciała tracić syna z oczu ani na chwilę.

Położyła trzonek do ognia, zatrzasnęła drzwi, od paliwiska i otworzyła popielnik.

— Zaraz nagrzej ci wody, chłopaku — zawołała podniecona. — Jest tylko zimna.

Odgłos jej mrówczej krzątaniny w ciasnej kuchni, przestawienie jednego garnka z pieca do komory, innych z komory na piec, trzaskanie drzwiami od szafy, bulgot przelewanej wody z wiadra do naczyń grały w uszach Juliana najmielszą muzyką. Oderwał wzrok od obrazu Boskiej Rodzicielki, wiszącego nad parą zeszłowiecznych łóżek, przystawionych do siebie, spojrzął na matkę. Kiedy był mały, każdego wieczoru i rana klękał przed nią i powtarzał za nią modlitwę. Boska Rodzicielka nie się od tamtych dni nie zmieniła. Twarz nie widomego czemu miała straszliwie smutną, bez wyrazu; takie samo było Dzieciątko, które trzymała na ręku. Jego matka tymczasem zmieniła się. Szczególnie zmieniła się od czasu, kiedy opuścił dom.

W reszcie popołudnia, słabo radząc sobie w ciemności izby, krzątała się stara kobieta. Stara? Ile mogła mieć lat? — czterdzieści! Z piecami zgłębionymi w kablak od wiekowego chechłania w balach, z reumatycznie nabrzmiałymi kłykcami i potłókną twarzą niczym nie przypominała ładnej dziewczyny, która witała każdego z zawieszonych naprzeciwko świętego obrazu dużej fotografii.

— Mówiłem mamie, że nie potrzeba — odrzekł — ale mama zawsze po swojemu. Umyję się w zimnej, i już. Nic mi nie będzie.

Borowa wybiegła z kuchni. Stał wysoki prawie pod sufit, wymierzowany, ale cały. Tak, jakiego sobie wymodliła. Najchętniej oblałaby go reklamą i już nie wypuściła z domu. Tak by zrobiła, gdyby mogła decydować o jego życiu.

— Ach, gadasz, chłopaku! — szachnęła się. — Jak nie ma ciepłej, to jasna, że trzeba w zimnej. Ale przecież jesteś w domu. Umyjesz się w ciepłej, to i będzieś się czuł ciepło. A potem najesz się do syta i popłisz trochę. Jesteś na pewno zmęczony. Taki świat drogi z tego Hameln. — Odważyła się na zrobienie kroku do przodu. — No, powiedz, Julku, czy to nie świat drogi? — I zaraz radośnie: — Boże mój, nikt nie wie o twoim przyjeździe! Jak dziewczyna wrócić z pracy, to oszałamia z uciechy. Oszaleją. Ale najpierw wymyję cię, najesz i wypłisz trochę, a ja tymczasem...

Urwała zakłopotana.

— Ach, nie — zakończyła i podreptała do pieca.

Julian poszedł za nią do kuchennych drzwi.

— Co mama tymczasem?

— Nic, chłopaku. — Już była zajęta dmuchaniem w ogień. — Zaraz się zapali. A może jednak polecę po trochę drewna, bo ten trzonek...

Chwyciła kossę i chciała go wyminąć, lecz nie usunął się z przejścia.

Była zła na siebie, że się wygadała. Godziło temu spotkała syna na ulicy, jak szedł z dworcą. Chłopisko wielkie, obciążone żołnierskim rynsztunkiem — ledwie go poznała. Wracając od prania u Frau Emmerich, żony komendanta dzielnicowego rewiru policji. Polzeimelster jest dobrym człowiekiem. Trzy lata temu jakiś wyrostek z Hitlerjugend uderzył Juliana w twarz za niedziękę przed nim czapki. Julian oddał napastnikowi i byłby przypłacił to życiem, gdyby nie doprowadzono go akurat do Emmericha. Borowa nie zapominała tego polzeimelstrowi. Dzisiaj rano, wprost z nocnej zmiany w szwalni wojskowej, rozpoczęła pranie u Frau Emmerich. Do skończenia zostało jeszcze nakrochmalenie i rozwieszenie bielizny — fraszka, uwinie się z tym w godzinę.

— Niedługo wrócę. Ty najesz się i popłisz, a ja tymczasem dokroczę pranie. Zresztą, chłopaku, jakie tam pranie: przepierka. Mała przepierka.

— U Emmerichów?

Przycisnęła mocniej kossę do siebie.

— A wieczorem wstaniesz i pogadamy sobie. Dziewczyna wrócić z pracy o ósmej. Nie rób takiej miny, chłopaku, wróć przed nimi i zbudzą cię. Ale to będzie wieczór! Julian musiał się do uśmiechu. Wszystkie ciężkie prace w których gruba Frau Emmerich wyręczyła się matka, stały mu ością w gardle.

Odebrał jej kossę.

— No, nie — powiedział z rezygnacją. — Najważniejsze, że jestem w domu. Jestem i będę całe dwa tygodnie, a jak Bóg da, to może i dłużej.

— Mój Boże, tylko dwa? — zaciągnęła smutno Borowa. Ale zaraz się otrząsnęła. Jak może być tak niewdzięczna. Błagała Matkę Boską o ujrzenie go żywego choćby na dzień, na godzinę, a dostała na całe dwa tygodnie.

Poleciła mu przynieść drewno i dopilnować ognia, a sama pobiegła do sklepów.

Na podwórzu rozległy się szybkie kroki.

— Dziewczyni! — krzyknęła Borowa i żywo popędziła do drzwi.

Julian garnał z łóżka swoje rzeczy i wprysnął do kuchni.

— Ani słowa o mnie! — nakazał matce.

Do izby wpadły zające siostry.

— Gdzie Julek? — zawołały jednocześnie. —

Mamo, przecież wiemy, że przyjechał! — Me- la zadrżała do kuchni.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Rodzinny dom

Rozradowane rzuciły się na brata. Borowej wydało się, że syn pod ich ciężarem pobił. — Jeszcze, już dosyć! — przestraszyła się. — Dosyć, bo go zamęczycie. Jechał całą noc. Nie widzicie, jak wymierzowany? Odciałała go od niego.

Dopiero wtedy Julian dostrzegł gości.

— Kasię! — zawołał radośnie. — A ty co, nie przywitasz się ze mną?

— Jestem tu przypadkowo — Barczewska oblała się rumieńcem. — Spotkałyśmy się w tramwaju. Mele z Lucyną tak się cieszyły z twojego przyjazdu, że... zabrali mnie. Ale już uciekam.

Szeroki uśmiech Bora przysłał. Kasię!... Panna Katarzyna — poprawił się w myślach. — Wcale nie musiał uciekać — powiedział z rezerwą. — Zostań na kolację, będzie nam przyjemnie. Jeżeli oczywiście chcesz.

Potrząsnął przecząco głową.

— Chętnie wpadnę przy okazji. Długo przyjechałaś, więc czasu dużo. Zresztą niedługo godzina policyjna.

— Co tam dzisiaj policja! — zawołała rezerwowo Mele i nie pytając, zaciągnęła z niej piasek. — Nie wyjdiesz tak przedko.

— Dobrze zrobiłaś, Mele — pochwaliła ją matka — bardzo dobrze. A co do godziny policyjnej...

— Julek jest urlopowany ze szpitala wojennego i ma przepustkę na wszystkie godziny policyjne w całej Rzeszy — dopowiedziała młodszą siostrą Juliana, Lucyną. — Odprowadzi cię bezpiecznie pod same drzwi, nie potrzebujesz się niczego obawiać.

— A widzi panna Kasia — przyklasnęła Borowa. — A jak Julek wróci, to pobięnie zawiadomisz rodziców, aby się nie niepokoił. Powinien przyjąć lada chwila.

Objęła ją serdecznie i poprowadziła ku kanapie.

Siadając Barczewska dyskretnie obciągnęła spodniczkę. Zapadło milczenie, które przerwała rozanielona Borowa.

— Boże, jakie to szczęście! No, siedźcie sobie, najmielsi, siedźcie. Ja teraz zajmę się kuchnią, wy sobie porozmawiacie, a później poczekamy. Ale nie siedźcie tak cicho.

Zatrzymała się w wejściu do kuchni.

— A kogo to Bóg o tej porze?

Na podwórzu zadunął ciężki krok. Zmierzwały w kierunku ich kłaki schodowej.

— To na pewno nikt z lokatorów...

Julian szybko nałożył pas, odpiął kaburę pistoletu przesunął na brzuch i stanął za matką. Tymczasem kroki, nie przystając w ciemnej klatce schodowej, dotarły do drzwi i zajął pewną siebie ręką, bez pukania, nacisnęła klamkę. Borowa wstrzymała oddech.

Do izby wmaszerował niezwykły gość. Gdyby nie towarzyszyło uśmiechniętej kobiecie, mundurem swoim mógłby przypaść o sawal każdego Polaka.

— Jestem Emmerich! — gość przedstawił się gromkim głosem. — Polzeimelster der Schutzpolizei, Emmerich. A to moja córka, Irmgard.

Borowa bezładnie zatrzepotała rękami. Wielki Emmerich, pan tycia i śmierci całej dzielnicy w jej mieszkaniu... Przed jej by się Ducha Świętego spodziewała. Chciała go poprosić o zajęcie miejsca, zapytać, czy tonie czegoś pilnie nie potrzeba, ale z zacisniętą krtani nie wydobyła ani słowa.

— Ależ Frau Bor — fuknął dobroduszenie polzeimelster — proszę się czuć jak u siebie w domu. Najzupełniej pania do tego upoważniam. Pozwoliłem sobie, że tak powiem, wdepnąć. Po prostu wdepnąć. Jak do starych znajomych. Właśnie spacerowaliśmy z córką, a że dowiedziałem się o przyjeździe pani syna, więc pani rozumie. Naturalnie — obrzucił domowników wzrokiem Napoleona spod Austerlitz — jeżeli państwo nie mają nic przeciwko temu...

Zadowolony ze swego przemówienia zwrócił się do córki.

— Dobrze się wyraziłem, Irm?

Kobieta w eleganckim futrze odpowiedziała wyrozumiałym uśmiechem. Miała piękne, lśniące jak perły zęby i przyjemne spojrzenie.

— No, widzi pani!

Z gracją wielkiego pana Emmerich przywitał się z Borową i pannami. Płynność potrzaskania rąk zmąciła się na Barczewskiej. — Proszę, proszę... — zaciągnął śpiwnie. Stuknął obcasami jak przed niemiecką damą i — rzecz niebawem u niego — pocałował ją w rękę. Ostatni w kolejkę był Bor. Emmerich zawiął spojrzaniem na jego odznaczenia bojowych.

— Pięknie, gefretzte, jestem dumny z pana. Z pana i z siebie. Również z siebie, bo ponieważ i ja przyczyniłem się do pańskiej chwali. A było to wtedy ryzyko, prawda, Frau Bor? — Mówiąc, wazył swoją wielką jak łopata dłoń, której nie potażował mu trzy lata temu.

Borowa upodobiła się do smutnej Matki Boskiej z obrazu nad łóżkami. Panna Irmgard tym razem nie pochwalała ojca. Emmerich popłeszył z wyjaśnieniem.

— Nie przyszedłem tutaj dla rozstrząsania tamtego wydarzenia. Przyszedłem, gdyż w pewnym stopniu było to moim najświętszym obowiązkiem. Naczelniśmy się na naszego bohatera co niemiara i chyba mamy prawo do wspólnej radości, prawda, Irmgard?

Córka zająknęła znowu swoim przyjemnym uśmiechem. W ślad za nią poszły panny, a na końcu Borowa.

Uśmiech kobiet wyniósł polzeimelstera na wyżyny dobrego samopoczucia.

— Wspaniale, moje panie, cudownie — mruzczał. — Czuję się upoważniony do zorganizowania wieczoru. Wobec tego zaczynamy.

Trzy panny oraz Borowa posadziły na twardej krzesłach, sam zaś lewą stronę kanapy, córce przeznaczył prawa, na honorowe miejsce w środku zaprosił Juliana. Potem zajął się stołem. Dom postawił chudą babkę, krząkał kielbasy oraz puszkę wątrobianki, którą Bor dostał ze szpitala na drogę. Za wątrobianką rozlechną kaszą ani ciastem na margarynie Emmerich nie przepadał.

— Szczęśliwe losy chadząją parami! — orzekł tubalnie. Na dowód prawdy wydobyl z torby dwie puszkę sardynek, okazały poleć wędzonej szynki, butelkę wina dla pań oraz litr wódki dla panów; z kieszonki piaseczka wygrzebał papierosy, cygara i cztery czekolady — dla każdego z pań jedną.

Bawili go oniemiale miny kobiet. Fräulein Katharine, a głębokim jak morze oczami — Jezusie, jakim oczami! — dwie pannie oraz człowiek, który przybył „stamtąd”, zdawali się go podziwiać. Uroczystym ruchem podniósł napelnione kieliszki.

— Najpierw za ostateczne zwycięstwo!

Polzeimelster Emmerich przyśiadł się do „swego serdecznego kolegi” i maglował go dalej o wieści z frontu. Irmgard przyglądała się temu z rosnącym zainteresowaniem. W drodze do Borów ojciec założył się z nią, że pokaze jej niezawodny sposób rozwiązywania opornych języków. Mówiąc to potrzaskał zawartością torby.

Przed trzema laty przyprowadził Juliana z aresztu. Ojciec często sprowadzał więźniów do wykonywania prac domowych, nie interesowała się nim. Leżała w ogrodzie na hamaku rozwieszonym między drzewami i opalała się. Miała na sobie szorty i pasemko materiału, które nazywała biustonoszem, matka zaś obrazą boską, spod której wylała to całe świństwo... Ale z gadania matki nie sobie nie robiła. Julian podcinał krzewy, pielił, przekopywał i spulchniał ziemię, pracował jak gdyby poza nim nikogo w ogrodzie nie było. Ona, z nogami wyrzuconymi z hamaka, leniwie oddawała się słońcu, podczas gdy wieźni kończył jedną pracę i zabierał się do drugiej. Najpierw ją to bawiło. Jeszcze nie trafił się typ, który widząc ją w tym stroju nie dostałby oczopląsu. Czyżby takim pierwszym miał być wieźni? Obowiązek jego zaczęła ją denerwować. Czerwone słońce prażyło, Julian pracował, ona leżała i myślała. Aż wymyśliła. Później nawet skarciła się za niewydarzony pomysł, który mógł się skończyć tragicznie. Ale refleksja przyszła znacznie później. W tamtej chwili sytuacja bawiła ją; zaunęła szorty do samego łona, zdjęła

biustonosz, rzuciła go na trawę i przywołała Juliana. „Podnieś!” nakazała mu. Julian schylił się posłusznie i zamiast grzecznie podać do ręki, jak wieźni powinien to zrobić, rzucił biustonoszem jej w twarz. Tak ją tym zaszkodził, że prawie się rozplakała. Ale następny odruch był już właściwy: samierzyła się, żeby trzasnąć go w gębę. I wtedy stała się rzecz niepojęta. Bor, polski aresztant, najspokojniej w świecie przechwycił w locie jej rękę, rękę Niemki, i pchnął ją z powrotem na hamak. Ogarnęła ją wściekłość. Była o krok od zbrodni. Wystarczyło pisać słówko, a wartownik zastrzeliłby go jak psa. Do dziś nie wie, jak to się stało, że się opanowała.

A w ogóle, jakie to wszystkie zabawne. Gdyby wtedy zachowała się inaczej — tak jak ją kochała — za pohańbienie czystości rasy germańskiej Juliana by powieszono, a ją, wyklepą, zamknięto by w łagrze koncentracyjnym. A tak, dzięki mądrości prawa niemieckiego, z untermenscha zrobione übermenscha, i wszystko gra. Wleczka chwala za to ustawodawcom.

Ojciec nie rezygnował z rozwiązania Juliana języka. Zerknęła na niego przelotnie, ale to wystarczyło, aby się domyślić finału tego nierównego pojedynku. Była niespokojna. Ojciec miał swoje metody. Pytał sto razy. Nie wystarczy — pytał dalej. Nie wystarczy jeden dzień, pytał drugi, trzeci, pytał do skutku. Borowa już się lamala. W jej rozbieganych oczach można było czytać jak z elementarza „Herr Polzeimelster — błagam — niech pan się zlituje nad moim Julkiem. Będę pana opłacała do końca życia. Będę sprzątała, smywała, czyściła, zrobię wszystko, tylko niech się pan zlituje!” Emmerich, według niej, był dobrym człowiekiem. Gdyby ją spytano, dlaczego nazywa go dobrym małżaby się w kłopotcie. — Dobrym — powiedziałaby — bo... bo jak można nazwać Niemca niedobrym, do tego polzeimelstera, który spotykał ją, biedną wdowę, na ulicy, podnosił rękę do czapki i zagaduje po ludzku. Niemca, na widok którego Polacy drżą, bo myślą, że jeśli coś mu się w nich nie spodoba, wyciągnie rewolwer i strzeli. Emmerich z nikim tak nie postąpił. Czy człowieka, który ma taką władzę i nie korzysta z niej, można nazwać niedobrym? Ale teraz w oczach jej czaiła się niepewność — Irmgard wyczytała z twarzy kobiety siedzącej naprzeciwko ojca. Skaranie boskie z nim, kiedy sobie wypije, a już koniec świata, gdy siedzi w towarzystwie młodych kobiet. Wtedy zawsze wydaje mu się, że im jest głosięniej, tym ważniejszy, co nieodmiennie utwierdza go w przekonaniu, że jest imponujący.

Słuchala uważnie, jak nie stracony swoim doświadczeniem przyczyn niepowodzeń pod Stalingradem próbuje poznać prawdziwe przyczyny klęski Wehrmachtu pod Kurskiem.

Mełczył się aż nudził i cholernie umiała udawać ślepych. Jak można zadawać takie pytania, kiedy z góry wszystko wiadomo. Czy mogło być inaczej, skoro ofensywa niemiecka już po paru dniach została zatrzymana, a w półtora miesiąca po jej rozpoczęciu komunikat kwatery głównej fūhrera podał, że „armie niemieckie kruszą dzielnie nieustający napór przynajmniejszych sił przeciwnika...” sto pięćdziesiąt kilometrów od linii wyjściowej ofensywy. Irmgard nie miała zrozumienia dla samooszukiwania i w głębi serca życzyła Borowi, aby wyrzucił ojcu prawdę.

Uśmiechnęła się do niego zachęcająco. Jego siostry i Barczewska nie zwracali na nią uwagi. Dla nich istniał tylko jej ojciec, rozperający się na kanapie, jak jakiś król, i Julian, cedzący słowa niczym apetykizer. Czy jego powściągliwość jest naturalna? Irmgard znajdowała go zbyt zamkniętym w sobie, nawet gdyby takim był w rzeczywistości. A może paraliżuje go stopień służbowy ojca? — pomyślała. Jeden z jej kolegów — żołnierz w stopniu gefreitera, który przyjechał z frontu na urlop i zastał w domu również urlopowanego ojca w stopniu majora — zrywał się na równe nogi i przybierał postawę zasadniczą na każde jego zawołanie. Najlepszy żołnierz świata... Najlepsza armia świata... Wspaniała niemiecka armia... Irmgard widziała ją w przemarszu przez to miasto na wschód. Dziesięć razy większą od armii napoleońskiej! Od rozgromienia Francji do ataku na Rosję ciągnął przez miasto pułk po pułku, dywizja po dywizji. Setki tysięcy młodych ogoryzanych twarzy. Ukwieconych jak w drodze na majówkę. Rozpiewane kolumny wojska sunęły przez miasto miesiącami dzień po dniu, noc po nocy. Bez przerwy. Z dumy i szczęścia nie mogła powstrzymać łez. Moja armia! Moja wspaniała! Pędząca jak lawa wulkanu. Nie do zatrzymania! Gdzie ta masa młodych mężczyzn się tam pomieszczi? — pytała wówczas siebie. Oglądała jedną w swoim rodzaju wstrząsającą rzecz: żywą, nie do pokonania, ogromną potęgę swego kraju. Urzekająca. Gdzie ona teraz jest! Na jaki bezkres musiała natrafie, że wsiąknęła jak woda w ziemię. Co się z nią dzieje? — chciała wiedzieć jej ojciec od tywego świadka „stamtąd”.

Zyczyła Julianowi przezwyciężenia swojej rezerwy i stawienia ojcu czoła. Zdobyć się na odwagę i powiedzenia: „Ciekawy pan wieści z frontu wschodniego, Herr Polzeimelster! Dlaczego nie zgłosił się pan na ochotnika, tam potrzebują takich!”.

C.D.N.

Radko zdarza się, by w chwili, gdy chcemy gdzieś wyjechać (bo zdziwilo nam się wszystko dookoła i chętnie zmienilibyśmy otoczenie lub dla setki innych powodów) trafiła się okazja, która pozwoliłaby ruszyć w drogę. Od czegoż jednak książki! Podchodzą do półki i sięgam jeden z tomów dzieła, które często jest moim przewodnikiem i prowadzi mnie w przestrzeni i, co ważne, w czasie. Otwieram gdzieś mniej więcej w środku i oto jestem w niewielkiej osadzie nazwanej Olchowatka, a założonej na początku XVII wieku wśród stepów naddnieprzańskich. Obok kilka jeszcze osad takich powstało, każda z niewielką warownią, gdzie ukryć się mogli mieszkańcy przed wrogiem. Bo obszar to wyjątkowo niespokojny był w owe czasy. Polacy, Zaporozcy, Tatarzy zmagali się ze sobą o prawa do tych ziem. Boć to przecież sławne Dzikie Pola. „Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie pamiętał” — pisał Henryk Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem”.

Informacje powyższe zaczerpnąłem z wielotomowego „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, który ukazywał się w latach 1880 (tom I) — 1902 (II część tomu XV stanowiącego uzupełnienie).

Druga połowa XIX wieku i początek naszego stulecia obfitował w cenne wydawnictwa. Na pewno do jednych z najciekawszych pozycji należał „Słownik Geograficzny”. Autorzy przed sobą i współpracownikami postawili bardzo poważny cel: opisać miejscowości Królestwa Polskiego, zachodnich, południowych i nadbałtyckich guberni Rosji, także stacje kolejowe, telegraficzne, pocztowe, miasta gubernialne w europejskiej części cesarstwa, dalej: miejscowości leżące w Prusach zachodnich i wschodnich, w Wielkim Ks. Poznańskim, na Śląsku, Morawach Słowackich i Galicji.

Pomysł do wydania Słownika rzucił w 1878 roku na łamach warszawskiego czasopisma „Wędrowiec” jego redaktor i właści-

Podróż po drogach przeszłości

ciel Filip Sulimierski. Sprawami finansowymi zajął się ziemianin Władysław Walewski, który wyłożył na ten cel ponad 15.000 rubli, co stanowiło bardzo pokątną sumę. Współredaktorem wydawnictwa został znany krytyk literacki Bronisław Chlebowski. Nie od razu dzieło obdarzone zostało uznaniem. Już w pierwszych zeszytach pojawiły się, najpierw na łamach czasopisma, potem w osobnej książce uwagi krytyczne literata, historyka i geografę poznańskiego — Edmunda Calliera, Callier proponował między innymi zmienić tytuł wydawnictwa na „Słownik geograficzny ziem polskich i pogranicznych”, autor miał na myśli oczywiście granice przedrozbiorowe, bo niby jakie inne mógł brać pod uwagę. Krytykował także używanie w słowniku nazw niemieckich zamiast polskich. Jego zastrzeżenia, których było dużo więcej niż przedstawiłem, uwzględniono. Nie został, co prawda, zmieniony tytuł dzieła, ale Callierowi zaproponowano współpracę, z czego chętnie skorzystał i od 1884 roku wysyłał z Poznania swoje artykuły do „Słownika”.

A teraz, po wstępnych uwagach, w drogę! Tym razem trasą dobrą znaną z naszej literatury. Oto Zagłoba pod osłoną nocy ucieka wraz z Heleną z Rozłogów. Dla zmylenia Bohunowej pogoni nie udają się na Lubny, gdzie była rezydencja księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, a w stronę przeciwną, na Czerkasy. W drodze odbijają na zachód, by dotrzeć do Złotonoszy.

I tutaj sięgam do „Słownika”. Po podaniu szerokości geograficznej pod jaką leży miejscowość, po wymienieniu ilości domów murowanych, drewnianych, sklepów, cerkwi, synagog i domów modlitwy, następuje krótki rys historyczny. Była Złotonosza własnością księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, co zresztą w tych czasach po tej stronie Dniepru nie należało do księcia; „...posiadał tu zamek obronny, służący za punkt zborny podatków ściażanych z rozległych dóbr (...) Za jego czasów w Z. było 273 gospodarzy i 13 kół młyńskich”. Ze Złotonoszy niedaleka już droga nad Dniepr, do wsi nazwanej Prochorówka, gdzie pan Zagłoba w swoim przebraniu musiał grać na lirze i śpiewem zarabiał na pożywienie. Dzięki sprytowi udało mu się w końcu przeprowadzić z Heleną przez Dniepr i uknąć przed bliską już pogonią. Wsi o nazwie Prochorówka jest w „Słowniku” kilka, oczywiście znajdujemy też wzmiankę i o tej nas interesującej: „Prochorówka, wieś cerkiewna, powiat złotonoski gub. pottauskiej, na zach. od Złotonosza...”.

Po szczęśliwym przekroczeniu Dniepru udali się z Heleną do miasta, w którym obozem rozłożyły się wojska Chmielnickiego. A ponieważ miasto to było ważnym punktem na kresach dawnej Rzeczypospolitej, tak też miejsca w „Słowniku” nie żałowano. Dość dokładnie została opisana jego historia od czasów najdawniejszych poczynając.

Oto jak autor przedstawił bitwę pod Korsunem. bo o tym miście mowa: „...25 maja już byli się ukazali po drugiej stronie rzeki Tatarzy i Kozacy i przeprawiać się zaczęli jedni poniżej Korsunia, drudzy przez sam K. Kiedy się ich naciśnięło do miasta, hetman [Potocki] kazał folwark najbliższy miasta zapalić, z którego zajęto się wszystko miasto, i wszystko zgorzało, jeno sam zameczek (przygródek) został, a cerkiew na stronie. (...) Chmielnicki umyślił fortelnie odjąć wodę Polakom, odwracając w Stebłowie koryto rzeki (...). Potocki biorąc za pretekst niepodobieństwa, a przynajmniej trudności utrzymania się przydługim w okopach, wbrew zdaniu przechodzonego hetmana polnego, który chciał wydać wstępnym bojem bitwę, rozkazał wojsku mieć się do odwrotu (...) ale w drodze na t.z. Krutej balce, upadłszy niespodzianie na przygotowaną zasadzkę (...) ze szczerem zniszczone zostało”. Jak widać, można „Słownik” w wielu momentach traktować jako uzupełnienie czytanej lektury.

W Korsuniu Zagłoba został przyjęty jako swój, otrzymał manifest do chłopów i jako kozacki szpieg ruszył na Podole. Dotarł do Winnicy, miasta, jak informuje „Słownik”, niezwykle piękności, a stąd już jeden skok do Baru, gdzie zakończyła się droga Zagłoby i Heleny.

„Nazwisko Bar nadała miastu Bona na pamiątkę dziedzicznego królestwa swego Bar we Włoszech; wykupiła je Bona od Stanisława Odrowąża i wzmocniła jako pograniczną twierdzę...”. W XVII wieku miasto często przechodziło w różne ręce; zdobywali je Tatarzy, Kozacy, Turcy. W 1768 roku zawiązała się tutaj Konfederacja Barska. Natomiast pod koniec wieku XIX Bar liczył 8277 mieszkańców, w tym liczbie około 5000 Żydów. Posiadał 703 domy i 114 sklepów, „...kilka garbarni; 12 jarmarków, 2 cukiernie; sławne są tu błota na wiosnę i w jesieni; gruzi kościółów i zamku świadczą o jego przeszłości”.

Janina Grossowa napisała, że jest „Słownik geograficzny” bezcenną kopalnią wiadomości dla geografów, historyków, zwłaszcza dla literatów-powieściopisarzy historycznych i historyczno-geograficznych”. Dorzuca, że dla wszystkich, którzy lubią wędrować, szczególnie gdy nie mogą z miasta wyjechać, dla nich „Słownik” jest niezastąpionym przewodnikiem, wiodącym po drogach naszej przeszłości.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

Pod prąd

Straszne skutki awarii telewizora

Mniej więcej dwa miesiące temu zepsuł mi się telewizor. Mrugał, mrugał, aż zupełnie zgasł i zamilkł. Przerażony zadzwoniłem do znajomego elektryka, który zna się na telewizorach (choć na co dzień robi gipsowe popielniczki i wazoniki) w nadziei, że to tylko jakaś blachostka. Ale ten orzekł, że nie może mi pomóc, gdyż uszkodzenie jest poważne, tak poważne, iż chyba w ogóle nie oplaca się staruszka „Beryla” naprawiać. Lepiej kupić nowy. I tak oto zupełnie niespodziewanie zostałem bez telewizora na czas bliżej nieokreślony jako, że choć mam trochę pieniędzy, to jednak nie jestem młodym małżonkiem, a lapówek dawać jakos się jeszcze nie nauczyłem.

Pierwsze dni były trudne i męczące, zupełnie jak nasze życie podczas styczniowych mrozów. Co gorsza, trwały niewyobrażalnie długo. I wtedy dopiero miałem okazję przekonać się, czym dla współczesnego człowieka naprawdę jest telewizor. Wszyscy wokół mnie do woli sycili oczy ciekawymi filmami, transmisjami z zawodów sportowych, a niechby i dziennikami telewizyjnymi. Ja zaś... Ja chodziłem z kąta w kąt, czując się jak nalogowy palacz bez papierosa, alkoholik bez jednego gębszego, czy narkoman bez codziennej porcji „kompotu” i zupełnie nie wiedziałem, co ze sobą zrobić gdy przyszło popołudnie i wieczór. Cały porządek dnia, jaki przez lata sobie wypracowałem, legł nagle w gruzach.

Na przykład kolacja... Zawsze, gdy zaczynał się dzień, jak na rozkaz wzmagalo się w mym grzesznym ciele wydzielanie soków żołądkowych, a kiedy kończył — nieodmiennie siadałem do posilku, łącząc przyjemne z pożytecznym, czyli jedzenie z oglądaniem filmu lub na odwrót. Teraz nie słysząc znajomego sygnału, wcale nie czułem o pół do ósmej głodu, albo wręcz przeciwnie — dośkwierał mi niemal zaraz po obiedzie. Podobnie z sennością: dotychczas nawiedzała mnie regularnie wraz z pierwszymi taktami Mazurka Dąbrowskiego. Ale Mazurka zabrakło i poczułem zasypiać tuż po kolacji lub też nie mogłem zasnąć do samego rana, co — jak wiadomo — nie bywa oznaką zdrowia.

Po miesiącu myślałem, że zwariuję. W niedzielę obiad bez telewizyjnego koncertu byłby absolutnie mi nie smakował, choć na talerzu spoczywał ulubiony kurczak z wołowiną z kocią, zaś wieczór bez kolejnego odcinka serialu bardzo mi smakuje. Nie czytałem już kartki papieru. A już najgorzej było podczas odwiedzin znajomych i rodziny, bo przecież coś to za spotkanie towarzyskie bez telewizora! Po pierwsze — jak długo można siedzieć przy stole i gapić się sobie wzajemnie w oczy? Po drugie — o czym rozmawiać, co krytykować i z czego się śmiać, gdy „czarodziejska skrzynka” nie podsuwa tematów do dyskusji? Po trzecie wreszcie — człowiek wyłączony z telewizyjnego obiegu przestaje się liczyć w towarzystwie, bo tego nie widział, tamtego nie widział — znaczy, nie wie, co się wokół naprawdę dzieje. Czy taki człowiek w ogóle może być partnerem do rozmowy? Mając zamknięte okno na świat, przestaje wczuć, noliens volens, interesować się, pasjonować tym, czym wszyscy, myśli o Bóg wie jakich rzeczach i nawet kiedy o tym mówi, nikogo to w rzeczywistości nie obchodzi, gdyż każdy głowę zaprzętniętą ma na przykład problemem niewolnictwa w Brazylii czy plagą krokodyli w Australii, by ograniczyć się do tych dwóch tylko jakie poważnych problemów współczesnego, a i dawniejszego, nieco świata. Inne sprawy przy nich, to pestka!

W tydzień później poczyniłem kolejne obserwacje. I tak zau-

ważyłem, że bez telewizora coraz częściej zaczynam koncentrować uwagę na samym sobie, co — jak powiedział mi pewien lekarz — prowadzi może do skrajnego egoizmu i obojętności wobec bliźnich. Jakli naprawdę jestem? Czego dokonałem w życiu? Co było w nim najważniejsze? Jak chciałbym spędzić następne dni, miesiące, lata? Nigdy wcześniej nie zadawałem sobie takich pytań, bo ani nie widziałem w tym większego sensu, ani też — prawdę powiedziawszy — nie było kiedy. Od wczesnego rana do obiadu pracowałem jak każdy szanujący się obywatel, po obiedzie zaś wciskałem klawisz... i tak schodziło jakoś do wieczora. Teraz czasu miałem aż nadto, a czego za dużo, to niedobro, no i — z nadmiaru czasu przychodzi ludziom do głowy różne dziwne pomysły. Okazało się — święta prawda! Oto bowiem mi stał na zawadę pomysł pewnego dnia, że już ze trzy lata chyba nie zapytałem żony, jak się czuje, z pięć lat nie byłem z nią na spacerze, ani w teatrze, a ostatni raz widziałem ją nagą, zdaje się, jeszcze za Gomulki. Ech, młodość, młodość szalona! Pomyślałem również — że całkiem niedawno — ze przed kolejkami zamiast karać grzywną, można by odbierać winnym telewizory. Niech się oszuści i spekulanci męża, a co? Jak kara, to kara. Żadnej pobłażliwości.

Nie wiem tylko, za co i przez kogo ja zostałem tak surowo ukarany. Bo, że zostałem, nie ma chyba wątpliwości. Boję się, że jak tak dalej pójdzie, rzeczywiście mogę skończyć u czubków. A przecież nie złego nie zrobiłem. Oglądałem tylko telewizję.

JÓZEF RETMAN

2

Odrobina szacunku

Najbardziej lubię, kiedy ktoś udaje idiotę. Na przykład facet uważający się za wybitnego felietonistę udaje, że nie wie, co to jest felieton. A przecież wystarczy zajrzeć do wydanej niedawno książki Stanisława Sierotkińskiego „Słownik terminów literackich”, aby przekonać się, że felieton, to „krótki utwór publicystyczny, literacki lub popularnonaukowy, w formie lekkiej i dowcipnej poruszający nieraz sprawy poważne, ogłaszany w czasopiśmie”. Inna sprawa, że u nas formy twórczości dziennikarskiej wymieszane są dokładnie z sposobem myślenia felietonistów wypiera rzetelną publicystykę. Z raportem dzieje się nie lepiej.

Zwróciłbym jednak uwagę, że w definicji felietonu nacisk kładzie się na lekką formę i dowcip. Redakcje na ogół wyróżniają felietony miejscem druku lub w inny sposób. Czytelnicy czasopism powinni to rozumieć. A okazuje się, że nie pojmują lub — co bardziej prawdopodobne — udają, że nie pojmują. Oto Witold Borowy obśmiewa w „Odgłosach” pomysły Polskiego Związku Wędkarskiego rejestrowania połowów wędkarskich, choć może w tym i jest jakiś głębszy sens, ale dla pokazania absurdu — jego zdaniem — strony tego pomysłu — ironizując — sposób rejestracji zbioru grzybów. Czytelnik się na to nabiera. Pisze do redakcji list pełen oburzenia, wymyślając autorowi, że chce biednych emerytów ze szczerem ograbić. List wprawdzie podpisuje imieniem i nazwiskiem, ale „zapomina” podać adresu. A poza tym wszystko wskazuje, że i to imię i nazwisko jest zmyślone, gdyż Czytelnik traktuje felietonistę jak idiotę. Stylizuje swój list na pismo nieuka, prymitywa, który niemal w każdym słowie robi po dwa błędy ortograficzne, ale nazwę

niemieckiej gazety, wychodzącej w Łodzi podczas okupacji pisze bezbłędnie. I tak, robiąc czasem „glupa” z drugiego, samemu ujawnia się swoją głupotą.

Mam takie wrażenie, że powinniśmy się jednak szanować wzajemnie. Możemy się wysmiewać, żartować, szydzić, ale z szacunkiem, kulturą i w dobrym tonie. Przecież cała nasza publiczna działalność jest różną formą porozumiewania się i nieustannie zawieramy między sobą umowy. Telewizja Polska na przykład, kupując i emitując serial „Quo vadis”, wydaje się gwarantować widzowi propozycję interesującą i popularną. Powieść Henryka Sienkiewicza choć cieszy się na ogół wzięciem u młodszych czytelników, jest przecież wyróżniona Nagrodą Nobla, a więc wszystko wskazywałoby, że powinna to być pozycja do obejrzenia w niedzielne wieczory. Jak do tej pory nudne to i raczej demerwujące nieprzystawalnoscą do naszych pojęć. Ale takie są losy popularnych powieści, gdy biorą się za nie ludzie od ekranowania literatury, którzy nie mają szacunku dla widza.

Wydawnictwo Łódzkie wydało „Ilustrowaną historię świata” J. M. Robertsa i chwalił mu za to. Książkę drukowały Łódzkie Zakłady Graficzne, mieszczące się przy ul. PKWN nr 18, które w sposób straszny spartoliły tom I. Okładka pułchnie, farby położono niechlujnie i niektóre rysunki są nieczytelne. Rzecz natomiast sprzedaje się w subskrypcyjny. Aby otrzymać tom I trzeba zapłacić 2 tysiące złotych: tyśiąc za tom I i awansem tyśiąc za tom II, czego dokonałem wykupując bon subskrypcyjny. Zawariem zatem z „Domem Książki” umowę, w której mam sporo różnych obowiązków, ale żadnych praw. Nie pierwsza i — niestety — nie ostatnia taka umowa. Na przykład jestem zobowiązany do „terminowego wykupienia kolejnych tomów”.

Otóż posiadam inny bon subskrypcyjny o wartości 2 tysięcy, które to 2 tysiące złotych wpłaciłem w styczniu 1984 roku na 4 tomy „Świata antycznego” Tadeusza Zielińskiego. I do tej pory nie mogę wykupić ani jednego tomu. Przy czym skromnie zauważę, że od 1984 roku dewaluacja złotówki nie stała w miejscu.

Nie mogę się też doczekać tomu II „Encyklopedii sportu”, bezskutecznie czekam na kolejny tom „Słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego”, a moi znajomi na tom IV „Encyklopedii powszechnej PWN”. We wszystkich tych zakupach zawarłszy odpowiednio umowy z „Domem Książki”.

Wiem, że „Dom Książki” ma obiektywne trudności, że nie ma papieru, farby, maszyny drukarskie syją się, a kontrahenci zagraniczni nie dostrzegają terminów. Ale jest coś takiego jak „przepraszam”, jak krótki nawet anons w gazecie, że przepraszamy subskrybentów, niech się nie niecierpliwią, umowy nadal są ważne, choć terminy dawno nieaktualne. Przynajmniej wiem, że mnie traktują poważnie. To już coś!

ZENON POROWATY

3

Sport

Gdy jest szaro

Gdy jest szaro, próbujemy ubarwiać świat. Rozjaśniać go, bo szarość nie jest przyjemna. Świat naszego sportu też jest szary. Liga nasza piłkarska — mimo różnych formalnych zabiegów — jest szara. Cóż więc robi pomysły dziennikarzy „Przeglądu Sportowego”? Wali duży tytuł następującej treści: „We Wrocławiu nie brakuje amunicji, chyba obejdzie się bez niewypałów”. Czytelnik patrzy zaskoczony. O co tu może chodzić? Jakież zawody są perów? A przynajmniej strzel-

ców wyborowych, którym kupiono zły jakości amunicję? Tajemnicę wyjaśnia dopiero nadtytuł: „Mecz rundy: Śląsk — Legia”. Na szarym tle była kolorowa plamka robi wrażenie.

Mamy niedosyt sportowych sukcesów. Trudno się temu zresztą dziwić, gdy wiadomym staje się stan materialny naszego sportu. Nie ma tego, brakuje tamtego, skąpo z owym. Każdy więc sukces staje się krzyżującą odmiennością, plamą na szarym tle. Więc znów ktoś pomysłowy daje w tymże „Przeglądzie Sportowym” atrakcyjny tytuł: „Znów polski pływak podbija Amerykę”. Tytuł nawet ładny. Tytuł logiki w nim żadnej. U nas bowiem często pod pojęciem Ameryki rozumie się USA, a więc tylko jej część. Ameryka to również Kanada, Meksyk i tak dalej. Czy ten pływak podbił wszystkie te kraje? I jakoś to dziwnie brzmi, gdy pływak podbija. A Mariusz Podkościelny odniósł po prostu duże sukcesy w pływackich zimowych mistrzostwach USA rozgrywanych na Florydzie.

Szaro w naszym sporcie i oto znów nam błysnęło. To hokeiści wygrali eliminacje w swojej grupie i awansowali do grupy A. Szczere gratulacje! Ale musimy przypomnieć — wcale nie po to, aby się chwalić, uchować Boże — że w poprzednim felietonie bałam się o trzeci mecz z hokeistami NRD i bałam się słusznie. Nasi przegrali. Ale taka już jest logika turniejów, że w którymś momencie musi przysięść załamanie. Wszystkie wskazywało, że powinno ono przysięść w trzecim meczu. Właśnie z NRD. I przysięzło. Jak to skomentował trener hokeistów, Leszek Lejczak, hokeiści NRD zastosowali taktykę Polaków. Ale aby tę taktykę móc z powodzeniem stosować, trzeba zdobyć pierwszą bramkę. I to Niemcy ją zdobyli. To zadecydowało o przebiegu meczu. Ale myślę, że swoją rolę odegrał tu również ów przysłówowy moment załamania, tym bardziej, że nasi przygotowujący się na równinie, a przyszło im grać 1400 m nad poziomem morza.

Awansowali do grupy A i trzeba teraz zapytać: i co dalej? Z najnowszej historii naszego hokeja wiadomo, że po awansie do grupy A następuje degradacja do grupy B. I wszystko zaczyna się od nowa. Czego więc potrzeba, aby tym razem nie spaść do grupy B?

Trzeba, aby w hokeja na lodzie grało u nas co najmniej 10 tysięcy chłopów. Ilu gra? Jakies 2,5 tysiąca. W CSRS na przykład gra około 80 tysięcy. Jest z czego wybierać. Czego jeszcze potrzeba? Ano drobności. Abyśmy zaczęli produkować dobrej jakości, tanie łyżwy dla hokeistów i pozostały dla nich sprzęt. Przed moim blokiem często zimą grupa chłopów gra w niby-hokeja. Mają kiję i krążek. Nie mają łyżew. Grają na jeźdni, uciekając co chwila przed przejeżdżającymi autami. Mają dużo dobrej woli i zapалу. Może to kandydaci do kadry narodowej i przyszli autorzy wspaniałych sukcesów? Może. A kto się nimi zajmie? Kto w ogóle wie, że oni mają chęć grać w hokeja? No kto?

Hokej na lodzie jest sportem droгим i — co tu ukrywać — nowoczesnym. Na jego nowoczesność pracuje przemysł i handel. My tego nie mamy. Wprawdzie sztucznego lodu u nas przybyło, ale potrzeba jeszcze nowoczesnych metod trenowania i nowoczesnego sprzętu. Potrzeba innego spojrzenia na hokej. Opowiadał mi niedgdy zasłużony mistrz sportu Władysław Król, który też był hokeistą, jak to oni sami przygotowujący się do rozgrywek, sami starali się o sprzęt i odnosili sukcesy. Gdy przywołuję te opowieści, uświadamiam sobie, jak daleką drogę zrobił hokej na świecie. Czy u nas też?

Rzecz w tym, że nie. I dlatego martwię się, że hokeiści, którzy tak dobrze grali w Capi-nazeli, znów mogą spaść do grupy B. Mogą, ale nie muszą. Czy to jest bowiem nieuchronne? Tak, jeśli nie zmienić się sposobu traktowania hokeja na lodzie, jeśli nie zrozumie się, że to dziś jest sport nowoczesny i wymaga nowoczesnego podejścia i wyposażenia. Jest szara, że przynajmniej w hokeju może nie być szaro. Ale czy nie będzie?

BOGDA MADEJ

Sodoma

JACEK KRAKOWSKI



Rys. Janusz Szymański-Głone

Otworzył drzwi do pomieszczenia, którego większą część zajmowały schody wznoszące się i opadające pod różnymi kątami. Niektóre z nich pochylały spiralemi pięły się ku górze, inne szybko znikły w czeluściach piwnic, a jeszcze inne kończyły się przy drewnianych ścianach, przechyłone i zmurszałe, prowadzące donikąd pocerniałe stopnie.

Warunki, szepnął Sylwester, są jednak tutaj bardzo skromne.

O to właśnie chodził, odparł Hieronim. Zwyczajność przede wszystkim. Ludzie na to leżą jak diabli. Atanazjo, zawołał, unosząc do góry lampę. Atanazjo! Niech Atanazja się pośpieszy. Mamy gości.

Ide już ide, usłyszeliśmy dochodzący z góry skrzekliwy, starczy głos i po trzeszczących stopniach zaczęła schodzić w dół przygarbiona staruszka w długiej, czarnej sukni.

Czemu Atanazja tak długo marudzi na górce, ofuknął ją Hieronim.

Pan Lancelot spod szóstki snów miał zachcianki, zaskrzeczała Atanazja. Sam nie wie, czego chce. Obrzydliwe samczyko.

Niech Atanazja tyle nie gada, tylko bierze się do roboty, powiedział Hieronim, wręczając jej lampę. Trzeba panów obsłużyć.

Ach, witam, witam, zaśmiała się zgryźliwie. Pewnie do dwunasteczki, co? Proszę za mną.

Tylko niech Atanazja zmienić chociaż pościel, krzyknął Hieronim schodząc do piwnicy. Zobaczą, co się dzieje na dole i zaraz przyjdą sprawdzić.

Zmieniona, zmieniona, zagderała staruszka. Tych plam nitjak nie dało się wyczyścić. Musiałam wszystko zmienić, powiedziała, odwracając się do nas. Stary rzęda! Chodźcie za mną, rzekła, wstępując na schody, po których niedawno zeszła. Ja już was chyba gdzieś widziałam.

Schody trzeszczały pod naszymi stopami, kołysząc się niebezpiecznie, jednak staruszka, nierzadko się nie przejmując, szła coraz szybciej, a stanowiący na podścielce, zawołała:

Jazda, jazda, nie grzebiecie się tak długo! Mam setkę pensjonariuszy do obsłużenia, a wy się tak gmeracie.

Kiedy już znaleźliśmy się obok niej, poręcz, o którą wspieraliśmy się dotąd, idąc po schodach, oderwała się i opadła z trzaskiem, ale staruszka nie przejmując się tym, prowadziła nas dalej, pewnie torując sobie drogę wśród labiryntu korytarzy zwałonych szafami, komodami i toaletkami, które wysławało z mroku chyboczące światło naftowej lampy. Nieustannie pieliśmy się w górę lub schodziliśmy w dół, skręcając w lewo lub w prawo, przechodząc przez puste pokoje pełne pajęczyn, przeskakując się przez wąskie drzwi, otwierane przez Atanazję zardzewiałymi kluczami, których cały pęk miała przywiązany u pasa.

Dojście do dwunastki jest trochę skomplikowane, powiedziała, kiedy kolejny raz wchodziłmy po strumyńskich niżej drabinach schodach. Ale co tam, przyzwyczajcie się, machnęła ręką. Zresztą, kiedy zobaczycie ten pokój, nie będziecie chcieli z niego wyjść.

Pani ma na imię Atanazja, rzekł Laurenty, przystając na zakręcie. Znamy kogoś o tym imieniu.

To ja, zaśmiała się staruszka, widocznie nie macie pamięci do twarzy. A przecież tak długo ze sobą gawędziłyśmy. Nie zaprzeczam, że wyglądałam nieco młodziej, ale to wyłącznie sprawa makijażu i odpowiedniej fryzury. Tutaj jestem w pracy i nie muszę tak dbać o siebie. Goście zajęci są wyłącznie sobą.

Po co oni właściwie tutaj przyjeżdżają, spytał Sylwester.

Na letnisko, odparła staruszka. Chęć chociaż przez kilka dni odpocząć od tego wielkomiejskiego gwaru. Chęć żyć jak zwyczajni ludzie. I wyobraźcie sobie, tak im się tutaj podoba, że zwykle zostają tutaj na dłużej, a niektórzy nawet siedzą tutaj do końca... Do końca lata, oczywiście. Zadowoleni jesteście? Kto wam polecił „Speranzę”?

Trafiliśmy przypadkiem, odrzekł Laurenty.

Ach te przypadki, przypadki, zaśmiała się, stawiając lampę na podłodze. One zawsze muszą chodzić po ludziach. Niestety, ludzie nie doceniają ich, wymyślając sobie jakieś „nadrzędne cele” albo „powszechnie uznawane wartości”, nie wiedząc, że prawdziwym skarbem jest nieoczekiwana myśl, nie wiadomo skąd biorący się pomysł, przypadkowy zbieg okoliczności, pomysły, a niemożliwy do przewidzenia spłot zdarzeń... Wydaje mi się, że to tutaj, rzekła, kręcąc kluczami w zardzewiałym zamku.

Staliśmy w ślepych korytarzyku, a Atanazja szła w stronę schodów, a niewielkimi drzwiami, nie mogąc ich otworzyć. Wreszcie kopnęła je ze złości nogą i drzwi wpadły do środka pokoju, wzbijając tumany kurzu, wirujące w słupie słonecznego blasku, bijącego z okragłego okienka.

Atanazja weszła pierwsza do pokoju, kłaniając się przez drzwi.

Xeniu, wrzasnęła, ty leniuchu, chodź tu i posprzątaj panom.

Ja muszę już iść, powiedziała do nas. Zapłacie przy wyjściu.

Wzięła lampę i schodząc po schodach, niemal nie zderzyła się z potarganą dziewczyną, ciągnącą za sobą wiadro i szczotkę na kiju.

Szybciej ty smotruchu, popchnęła ją w naszym kierunku. Panowie się niecierpliwią, a ty ledwo przebiegasz kulosami. Pewnie znowu tyłaś?

Płam, zabelkotala dziewczyna, lubię sobie od rana porządnie popić.

Fladra, zaskrzeczała Atanazja, niknąc w mroku schodów. I nie kładź się od razu do łóżka!

A co cię do obchodu stara pokrako, krzyknęła Kenia. Nigdzie nie jest powiedziane, że nie powinien pójść od rana! Albo że można lajdaczyć się tylko wieczorem. Lubie to i już, zwróciła się do nas. Czy to jest jakiś przymus, żeby żyć schludnie i porządnie? A ja wolę brudną i potarganą wstawiać z wyrywa po południu, łazid w opuszczonych pończochach, pić wódkę ze szklanki i puszczać się z byle kim. Co tak się na mnie patrzyte?

Znaliśmy dziewczynę o takim samym imieniu, rzekł Laurenty.

„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicz stał na gwałt, karykaturą i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznym białym z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym”.

Dopiero przyjechaliśmy, powiedział Sylwester, i chcielibyśmy odpocząć jakiś czas.

Mówi nie ma, szepnęła Felixa, musicie stąd wiać jak najszybciej. To pułapka.

Jak to, zachnął się Laurenty, Hieronim mówił nam, że ludzie błagają go o wynajęcie pokoju.

Jacy wy jesteście naiwni, rzekła Felixa, po prostu jadając przed lustrem. Otworzyła okragłe pudełko pełne jasnego pudru, chwyciła duży, niebieski puszek i zaczęła obficie pudrować sobie twarz i włosy. Po pierwsze, rzekła, to na pewno nie był Hieronim, a po drugie ludzie mieszkający w tej willi starają się wyłaznić o to, aby stąd odejść. Cóż, każdy to robi na swój sposób. Przeważnie czekamy...

Czekacie, zdziwił się Sylwester, przecież stąd można wyjść w każdej chwili.

Tak ci się tylko wydaje, odrzekła Felixa do Maitre, która przestała się pudrować, obejrzała się dokładnie w lustro i zaczęła szminkować usta na fiołowo. Nie po to intensywnie czekamy tyle lat, aby ot tak, po prostu wyjść. Trochę obawiamy się, szepnęła, że to co napotykamy, po wyjściu stąd, będzie inne od tego, co jest tutaj. Inne, podkreśliła, bowiem nie jesteśmy w stanie stwierdzić co jest gorzej, a co lepsze, gdyż z niczym takim nie mieliśmy dotychczas do czynienia.

Na pewno lepiej jest mieszkać w czystym pokoju z łazienką, rzekł Laurenty, rozglądając się po brudnej komórze Felixy.

Nigdy nic nie wiadomo na pewno, powiedziała, owijając szyję czarnym, wyleśnionym boa. Spójrzcie chociażby w to stare lustro. Nic w nim właściwie nie widać i całe szczęście. Mogłabym oszaleć, gdybym zobaczyła siebie w takim stanie. Co prawda, można by je stąd usunąć, ale...

Nie dokończyła zdania, gdyż do naszego pokoju wbiegła Kenia. Postawiła wiadro na podłodze, wyjęła z niego ścierkę, wykręciła ją i krzyknęła:

Felixo, znowu rozmawiasz z nieznajomymi! Tyle razy mówiłam ci, żebyś nie zaczepiała gości. Ale ty wciąż swoje i swoje. Pójdźesz teraz ze mną. Nie opleć się, bo to i tak nie ci nie pomoże.

Ależ, zachnął się Sylwester, pani Felixa... Nie wtrącajcie się, wrzasnęła Kenia. Nie wtrącajcie się do naszych domowych spraw, bo i tak z tego nic nie zrozumiecie.

Pociągnęła Felixę za włosy, która poddała się jej z uległością i po chwili obie zniknęły na ciemnych schodach.

Staliśmy oniemiałi, patrząc jeden na drugiego, gdy wreszcie Laurenty podszedł do okna i po chwili przywołał mnie ruchem dłoni.

Na gazonie przed domem Kenia i Felixa szorowały szczotkami na kijach nagiego Hieronima, stojącego w balii pełnej mydlin.

Mocniej, mocniej, krzyczał Hieronim. Muszę być gotowy na wieczór, inaczej wszystko przepadnie. Sylwesterze, zawołał, niespodziewanie zadzierając głowę do góry. W toalecie Felixy jest ręcznik. Przynieś mi go tutaj. Tylko szybko! Mydło mi wchodzi do oczu. A ty Laurenty idź po Lancelota, nie mam już siły do tych kobiet.

Wyszedłem na ciemny korytarz, rozglądając się bezradnie, gdy z dołu schodów, prowadzących do naszego pokoju, usłyszałem głosy Keny. Z obawą zszedłem po strumyńskich, chwilejających się stopniach i pchnąłem uchylone drzwi, prowadzące do pokoju naprzeciw schodów.

Młody mężczyzna w rozchełstanej pidżamie zwił się na suficie na szelkach, obejmujących jego ramiona i pachwiny. Ostre światło bijące przez szpary w suficie rzucało na jego rękach i nogach jasne pęgi, ujawniając sine ślady razów.

Hieronim mnie tu przysłał, powiedziałam. Czy pan jest Lancelotem?

Mężczyzna podniósł twarz okoloną kilkudniowym zarostem i szepnął: Ja... Nie poznaję mnie ty śpijcie.

Ależ to jakieś nieporozumienie... Hieronim prosił, żebyśmy przyprowadził pana do niego. Właśnie się kąpie.

Jak zwykle, jak zwykle, powiedział znikającym głosem Lancelot. Ale i tak nie zmyle z siebie tego brudu, tego świństwa... A wy musicie mu jeszcze w tym pomagać.

Zwiślił znowu głowę i kłął głośno, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi.

Proszę mi wierzyć, to jakaś pomyłka. Naprawdę nie rozumiem o co panu chodzi.

Najlepiej tak powiedzieć, obruszył się Lancelot. Nikt niczego nie rozumie. Ani tego domu, ani Hieronima, ani mnie. Ale trafiłicie tutaj od razu, prawda? Niech pan tylko nie zaprzecza, zawołał, wymachując rękami i nogami. Rozkołysał się przy tym tak bardzo, że sufit zaczął niebezpiecznie trzeszczeć, grożąc wyrwanieniem haka, do którego przywiązane były szelki, podtrzymujące Lancelota. Mimo obrotów i wahnięć, nie zaprzestawał wykrzykiwać pod moim adresem:

Teraz udajesz, że mnie pierwszy raz widzisz na oczy, a kto tutaj przyszedł i rozmawia ze mną, nawet się nie przedstawiłszy. Ty podły śpijcie, nawet moja bujna młodość nie umknęła twojej uwadze.

Może mógłbym pana uwolnić, zaproponowałem, porozmawialibyśmy wtedy spokojnie. Wyjaśnilibyśmy panu...

Ani mi się waż, krzyknął Lancelot. Na pewno masz wszystko przygotowane do tego, aby mnie porwać. O nie, nie ruszę się stąd ani na krok. To dom moich ojców i tutaj mam zamierzać spędzić resztę mojego żywota.

Hieronim paws wzywał, powiedziałam. Będę musiał powiedzieć mu jak wygląda sytuacja.

Jest doskonale poinformowany, rzekł Lancelot, kołysząc się trochę spokojniej. Na pewno chodziło mu tylko o to, aby usunąć was z tego pokoju.

Sam nam wynajął to mieszkanie!

Lancelot zaczął się śmiać, trzęsąc się i wymachując rękami. W tym momencie skrzyknęły drzwi za moimi plecami. Lancelot wybaluszył oczy, chciał coś powiedzieć, lecz belka u sufitu złamała się i wraz z hakiem i całym podtrzymującym go rynsztunkiem Lancelot przeleciał przez spróchniałą podłogę, spadając z wrzaskiem w głąb niższych kondygnacji.

C.D.N.